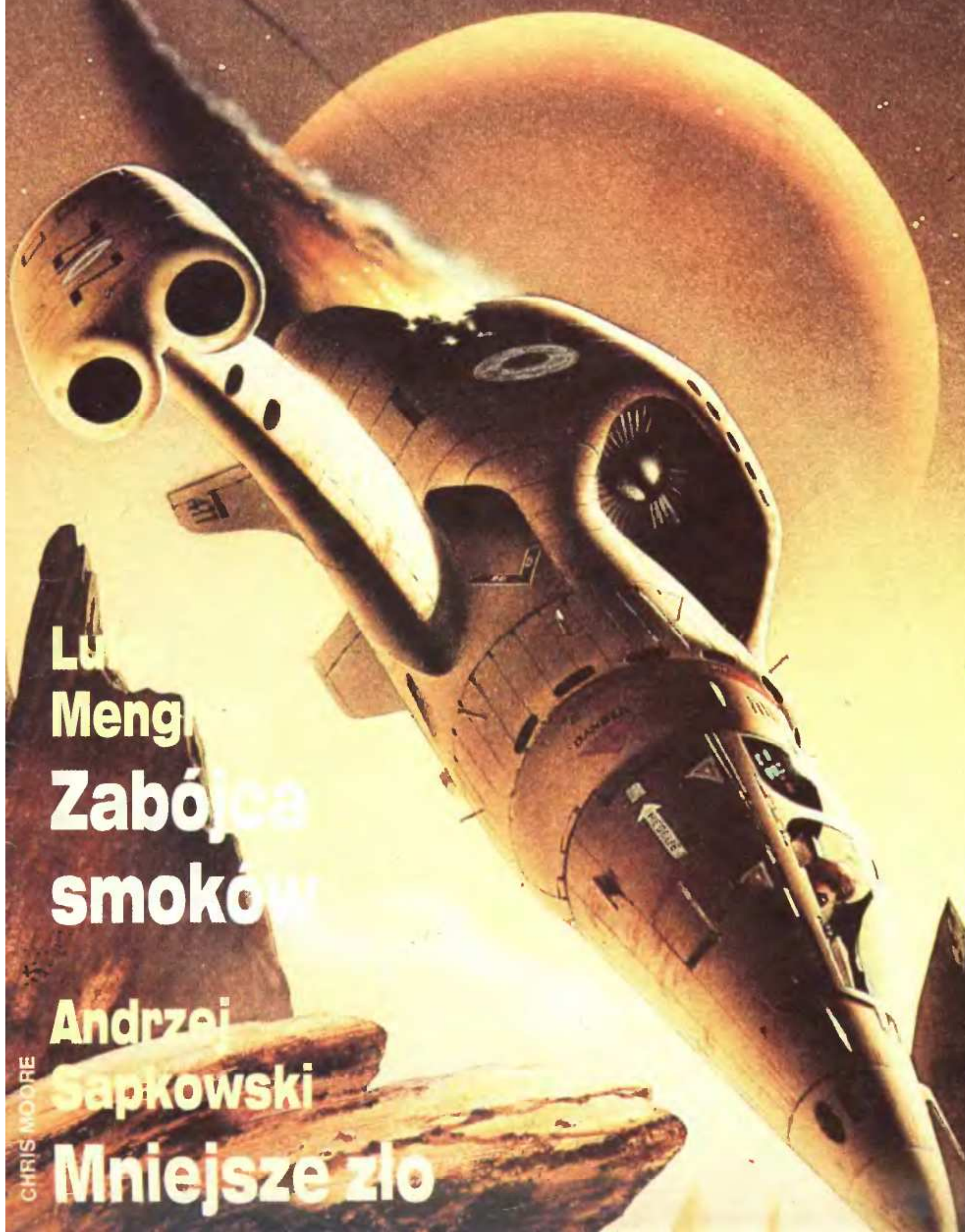
[redacted]

fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



Michał Anioł fantastyki
czyli
SIUDMAK
w Palais de Tokyo

Szanowny Panie Redaktorze, byłem w Palais de Tokyo na retrospektywnej wystawie, która wzbudziła tu duże, bardzo duże zainteresowanie, zarówno wśród zwolenników sztuki naszego, ale bardzo już paryskiego Wojtka Siudmaka, jak i jej przeciwników. Ale nawet i oni twierdzą, że „artysta pnie się coraz wyżej, wybierając coraz to trudniejsze ścieżki ku szczytowi Parnasu". A także, że łączy on rzeczy zdawałoby się tak niespójne jak intymność i podniosłość. Stąd pewnie jego nieustanne powodzenie nie tylko wśród polskich miłośników fantastyki – tych wielkich i tych maluczkich. Cóż więcej powiedzieć? Niech Pan koniecznie reprodukuje ilustracje z jego najnowszego albumu, czwartego już w dorobku. Przedmowę napisał Jean Jacques Annaud, zdobywca Oscara za „Imię róży". Wśród wypowiedzi na temat sztuki Wojtka znanych osobistości warto odnotować tę George'a Lucasa (też filmowiec), który porównuje Siudmaka z Dalim, oraz drugą – Michela Nuridsany'ego nazywającego Wojtka Michałem Aniołem science fiction. Znany i u nas pisarz amerykański Robert Silverberg określa dzieło Siudmaka jako „wspaniałość". Czy ten nowy album spodoba się tak w Polsce, jak dotychczasowe, zobaczycie.

Z poważaniem
J. K. Lawristen
prosto z grodu Paryża

Właśnie nadszedł ten album z pozdrowieniami i życzeniami dla Rodaków. Faksymile Wojtka zamieszczamy obok. Zgodnie z życzeniem artysty, będziemy się starać dawać w naszym piśmie ilustracje całostronicowe. Informujemy też, że Węgrzy zaczęli z nami pertraktacje o wydanie z podpisami węgierskimi, polskimi i angielskimi piątego albumu, który ma stanowić wybór z dotychczasowych prac Siudmaka.



W. Siudmak 13. 12. 89.



43

Wiedźmin Geralt znowu w akcji! Kolejny utwór Andrzeja Sapkowskiego! Czy również stanie się „opowiadaniem roku", jak „Wiedźmin" i „Droga, z której się nie wraca"?

Andrzej Sapkowski: „Mniejsze zło"

Życie stało się szybsze od fantazji, pomysły SF pozostały w tyle za tym, co się na świecie dzieje. Jest to rzecz jasna dowód na jakąś niezwykłą kondensację idei romantycznych i romantycznych sytuacji, jakiej nikt dotąd nie doświadczył. I tym bardziej warto się zastanowić czy dawne twory romantycznej imaginacji mają po dziś dzień zastosowanie, czy są żywe, czy też należą już do bezpowrotnej przeszłości.

A może te dawne twory nigdy nie pasowały do polskiej rzeczywistości, nawet w czasach Mickiewicza? Na przykład Konrad Wallenrod, ta raczej nie mająca precedensu w naszej historii i legendzie postać, można by rzec superromantyczna, skłócona z samym sobą – z nurtem własnego życia, z pojęciem wielkiej miłości, z wrodzonym morale, z poczuciem potrzeby i radości egzystencji.

Wallenrod poświęca ojczyźnie i zemście nie tylko siebie, chce „jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny zwalić gmach cały i runąć pod gmachem". Chodzi oczywiście o gmach wrogiej ojczyźnie państwowości. Ten swój zamysł wieszcz umieszcza nie tylko w poemacie o Wallenrodzie, lecz także, jak świadczy przytoczony cytat w Wielkiej Improwizacji z Dziadów, i w poemacie Alpuhara: – „Patrzcie o giaury jam siny, blady, zgadnijcie czyim ja posłem, jam was oszukał, wracam z Grenady, ja wam zarazę przyniosłem". Antymoralne, antychrześcijańskie, podstępne, można by rzec podłe działanie spełnia w pojęciu Mickiewicza zasadniczą, decydującą rolę.

Idea zemsty w imię wielkich ideałów jest tu silniejsza od motywacji i pasji osobistych. Wallenrod, choć kocha wielką romantyczną miłością Aldonę, zamkniętą w wieży, nie waha się poświęcić nie tylko swego i jej szczęścia. Nie ulega wątpliwości nie najwyższa jakość moralna bohaterstwa Konrada. Wallenrodyzm bowiem polega na bezlitosnym, doprowadzonym do absurdu, zbrodniczym oszustwie, chociaż zapewne jest ono wyższej moralnej rangi niż podyktowane egotyzmem działanie Makbeta z tragedii Szekspira. Czy jednak można różnicować, ważyć i odmierzać rozmiar zbrodniczości?

Konrad Wallenrod pragnie sam wymierzyć sprawiedliwość nieprzyjaciołom całego swego narodu, on cierpi za

...3...2...1...



Czy Wallenrod potrzebny?

miliony swych ujarzmionych współobywateli i dla nich popełni (waham się czy tak to nazwać i wyartykułować) masową zbrodnię. Bo musi przecież zginąć mnóstwo w odwecie za ujarzmione miliony rodaków. A może dałoby się potraktować ten czyn wallenrodowy jako czyn wojenny, konieczny, jak każda wojna obronna? Może i byłoby to możliwe. Pamiętam jednakże z jaką zgrozą przeżywałem lekcje przedwojenne, poświęcone Wallenrodowi, owe lekcje w całkiem wolnym, całkiem jeszcze zdawało się nie zagrożonym niczym kraju. Myślałem sobie wtedy, że na przykład Józef Piłsudski, choć mógł w czasie I wojny światowej zostać prawdziwym Wallenrodem, odrzucił tego typu szanse. Gdy mógł się zakamuflować, podszyć pod mundur okupanta, aby go potem podstępnie zdradzić, wolał otwarcie z tym okupantem zerwać, odmówić mu fałszywej przysięgi, tak zresztą za jego przykładem postąpili prawie wszyscy legioniści i mimo to później odnieśli zwycięstwo. Okazało się, że niepodległość da się uzyskać bez wywierania zemsty.

Pamiętam jak w czasie pierwszej Solidarności znany krytyk, a mój przyjaciel Włodzimierz Maciąg tłumaczył mi bezkrwawą i pozbawioną elementów mściwości ideologię tej swojej organizacji. Z nim i z jego synem dyskutowaliśmy o tym w jego krakowskim domku pod Kopcem do późnej nocy.

Istotnie, jest coś w tej naszej polskiej naturze, co czyni wallenrodyzm ideą obcą, nie przystosowaną do naszych wyobrażeń i uczuć, do naszej etyki. Za okupacji kolaboracji było w Polsce na lekarstwo, lecz równocześnie niczego nie robiliśmy z zasuniętą przyłbicą, otwartość działań AK była aż niepokojąca. Być może swego czasu kapitan Kloss mógł ludzi interesować swoimi wallenrodycznymi wyczynami, w sumie jednak polski bohater w obcym mundurze, we wrogim mundurze, nie wzbudzał moralnej aprobaty, a w żadnym wypadku entuzjazmu. Nie kochamy się w podstępności i w zbrodniach, nawet gdy chodzi o walkę w imię najświętszych ideałów. Czyżby więc wallenrodyzm w ogóle do nas nie pasował? I w naszych czasach był czymś całkiem nonsensownym? Oczywiście, można się wyśmiewać z tego naszego braku w naturze ciągot do podstępu, do oszustwa, można nawet twierdzić, iż nasze powstania, gdyby były w swoim czasie bardziej kamuflowane, podstępne, zwłaszcza w swych stadiach początkowych, miałyby szansę sukcesu, której absolutnie nie umiano wykorzystać – walcząc otwarcie. Kto wie jednak czy wobec ogromu zbrodni popełnionych na naszym narodzie zarówno przez hitleryzm jak i totalitaryzm stalinowski – nie zakiełkował wallenrodyzm w umysłach naszych współczesnych obywateli, jako jedna z nielicznych szans zdobywania wolności. Tylko bowiem w tak beznadziejnych okresach idea mickiewiczowska mogła stwarzać jakieś szanse powodzenia. Nigdy na to żadnych dowodów nie było i zapewne trudno je będzie znaleźć, ale chyba stąd, z tych spekulacji – i to w stadium beznadziejności, które dziś nagle stało się przeszłością – doszło do upatrywania w niektórych naszych postaciach tu i ówdzie ich wallenrodowskich poczynań.

Mimo to sądzę, że wallenrodyzm nigdy nie miał i nie ma możności stać się u nas ideą całkiem na serio, ponieważ swą ambiwalencją pobudza do negatywnych opinii, pozostaje w sprzeczności z poczuciem naszej narodowej moralności. Jest to przecież straszna gra na ostrzu miecza – gra z sobą, ze swoimi bliskimi a także z wrogami.

Tego rodzaju gry lepiej, żeby w ogóle nie było, a jeśli się zdarzy, niech ją osądzi historia, gdy uda się zidentyfikować bohaterów.

Do następnego orbitowania.
10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

Pisane w początkach grudnia 1989 r.

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel.: 29-83-28, 28-86-41; fax: 28-61-36; telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 120 000 egz. Zam. z. 128/90

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | | Oddano do składu 9 stycznia 1990 r.

Lądowanie LXXXV

● Polcon w Gdańsku, czyli o północy si zjawili ● W Krakowie będzie fantastyczniej, czyli że będą coś wydawać ● SF, czyli Svět Fantastiky – Czesi się także rozkręcają ● World Hello Day spóźniony nie z naszej winy, ale szczery i dla tysięcy i milionów, nie tylko dla dziesiątki ●

__Polcon w Gdańsku__ był udany, dopisały nie tylko przygotowania miłych organizatorów, lecz także i pogoda. Młodzież SF bawiła się znakomicie nie tylko na maratonie wideo, na którym pokazano sporo filmów ze świata. Niestety, nie odnotowałem żadnej rewelacji w tej dziedzinie. Kino SF oprócz naprawdę mistrzowskich wyczynów Lucasa i innych twórców amerykańskich, a także oprócz Anglika Ridleya Scotta, zasiewa w świecie dziwactwa różne i bardzo artystycznie podejrzane.

W przerwach maratonu uczestniczyłem w różnych spotkaniach. W tym na przykład z wydawcami, gdzie wytykano im ich błędy i niedopatrzenia, żądając więcej i lepszej literatury fantastycznej, więcej fantasy. A także w spotkaniu z panem Hollankiem z „Fantastyki", który bardzo się chwalił, że dotychczas pismo to nie znalazło konkurentów w kraju i za bliskimi granicami. Pana Hollanka maglowali fanowie przez dwie bite godziny. Jeden z nich powiedział nawet, że zupełnie nie rozumie co pan H. jako autor pisze w swych książkach. Inni starali się dowiedzieć dlaczego autorzy „Fantastyki" pozwalają na pisanie o swoich utworach recenzji na łamach własnego pisma. Zarówno Krakowianie, jak i Katowiczanie z wielką zaciętością obiecywali swój rewanż na „Fantastyce" w postaci nowych pism, które obydwa ośrodki wystawią dla konkurencji z „Fantastyką". Jak pluralizm, to pluralizm, dobra nasza! O jednej północy zjawili się, jak w sławnej lwowskiej piosence, jakieś dwa czy więcej cywili z ludności miejscowej Gdańska i zaczęli zadymę. Grzeczni fanowie sami ustąpili im pola.

***Jan Grubiński**, nie z Warszawy*

Na razie odnotować wypada nam konkurencję nie rodzimą, lecz czeską. Pod redakcją Jiřiego Blecha i Jany Urbánkowej w tamtejszym, praskim wydawnictwie MON i przy współpracy znakomitego, także już naszego, czeskiego autora Ondřeja Neffa powstał **„Svět Fantastiky"**, jak gdyby pierwszy numer czasopisma jeszcze dokładnie nie umieszczonego w odpowiednich ramach czasowych. Publikuje się utwory Garry'ego Kilwortha, Kira Bułyczowa, Krzysztofa Kosowskiego (z Polski), Renato Pestiniera, Iana Watsona, Clifforda Simaka, Normana Spinrada i wielu innych. Jest także rozmowa z Jeremiejem Parnowem, który twierdzi, że kocha słowo „fan". Życzymy rozkręcenia się tego nowego nabytku SF czechosłowackiej, którą wysoko cenimy.



Wreszcie ten **World Hello Day**. Jak wszystko u nas, bardzo spóźniony, bo właściwy termin tego lansującego pokój i przyjaźń CODZIENNEGO święta odnawiającego się dzisiaj świata przypadał na 21 listopada ubiegłego roku. Ale przecież wiecie Państwo jak my wychodzimy z naszym pismem, więc wcześniej nie mogliśmy o tym napisać.

Że to święto wymyślone przez braci McCormacków przyjęło się w tym nowym świecie, że już się je obchodzi po raz siedemnasty, że wzięło w nim udział 19 Noblistów i Głowy Państwa ze 104 krajów oraz przedstawiciele 137 narodowości. Każda z pozdrowionych osób ma w czasie tego święta pozdrowić 10 następnych. My, przypominając, że ze znanych i sławnych Polaków uczestniczyli w tym święcie-nieświęcie i Papież Jan Paweł II, i Lech Wałęsa, pozdrawiamy serdecznie jego Twórców (*Hello, best greetings to brothers McCormack*), oraz nie dziesięciu, lecz dziesiątki i tysiące fanów w Polsce i na świecie, prosząc aby przy okazji dnia Hello równie przyjacielsko i serdecznie pozdrowili każdy co najmniej dziesięć sprawiedliwych, wartych tego pozdrowienia osób. Bierzemy więc odtąd, moi drodzy, udział w World Hello Days, co roku, o czym donosi w imieniu „Fantastyki" redaktor tej rubryki oraz redaktor naczelny pisma Adam Hollanek.

Hello!



Hello	English
Bonjour	French
Buenos días	Spanish
你好	Mandarin
Guten Tag	German
Saudações	Portuguese
Поздравляем Вас	Russian
Ciao	Italian
السلام عليكم	Arabic
Tervehdys	Finnish
שָׁלוֹם	Hebrew
Goddag	Danish
今日は	Japanese
Pozdrawiam	Polish
[illegible]	Cantonese
Morn	Norwegian
অভিনন্দন	Bengali
Salutare	Romanian
Kia Ora	Maori
안녕하세요	Korean
Hou	Lakota
ආයුබෝවන	Sinhala
Salamu	Swahili
Hallo	Dutch
Sveikas	Lithuanian
[illegible]	Hindi
Hafa Adai	Polynesian
Molo	Bantu
สวัสดี	Thai
Dai duit	Irish
Te Mauri	Gilbertese
Χαίρετε	Greek
[illegible]	Gujurati
Nabad	Somali
Hola	Catalan
سلام بندگی	Urdu
Mbote	Lingala
Namaskaram	Malayalam
Moni	Chichewa
Tere	Estonian
Hej	Swedish
Szervusz	Hungarian
Dobar Dan	Serbo-Croat
Thân Chào	Vietnamese
[illegible]	Dzongkha
Hoe gaan dit	Afrikaans
Merhaba	Turkish
Apa kabar	Indonesian
ជំរាបសួរ	Khmer
Góðan dag	Icelandic
ጤና ይስጥልኝ	Amharic
Pozdrav	Czech
Bun di	Romanche
Merhba	Maltese
Talafa	Tuvalu
Inuugujog	Inuit
Felican Tagon	Esperanto
Lumela	Sesotho
Sallutin	Albanian
ສະບາຍດີ	Lao
G' day	Australian



Luigi Menghini

Zabójca smoków

(L'uccisore di draghi)

Nie opodal przepływała rzeka: dawało się słyszeć jej chrapliwe pomrukiwanie przypominające oddech astmatycznego starca. Wilgoć materializowała się w gęstych oparach widocznych w biegnącym wzdłuż polnej drogi nieśmiałym promieniu samochodowych reflektorów.

Beata Nyczaj

Wydawało się, że cały świat zmieścił się na tych kilku metrach emanujących niepokojem, uniwersum-klatka o drażniąco nieokreślonych granicach, więzienie, z którego siedzący za kierownicą mężczyzna usiłował się ze wszystkich swoich mizernych sił wyrwać.

Droga kończyła się przed zrujnowanymi zabudowaniami. Kierowca zatrzymał samochód, wyłączył reflektory, ale nie ruszył się, jakby niezdolny do podjęcia jakiejś decyzji. Wtedy uchyliły się drzwi domu, przecinając ciemność blizną światła. Ktoś zawołał go... a może tak mu się tylko wydało. Jednak opuścił swoje bezpieczne schronienie i skierował się ku wejściu do budynku.

– Miło znów pana zobaczyć, panie buchalterze. – Wsparta na podtrzymującym jej wychudłe i pokurczone ciało kosturze wiedźma uśmiechała się drwiąco. Dobrze wiedziała, dlaczego tu się znalazł, zawsze to wiedziała...

– Chcę tam wrócić. I tym razem już nie tylko na parę godzin.

– Ostatnim razem nie był pan tego taki pewny – zauważyła, usuwając się jednocześnie nieco na bok tak, by mógł wejść do środka.

– Proszę nic nie mówić... – W jego głosie dawało się wyczuć wyraźne naleganie. Znał ten dom i nie czekając przeszedł przez sień, schodząc od razu do przyległej izby. Za sobą słyszał ciężkie człapanie staruchy. Na zasypanym okruchami stole stała filiżanka gorącego, parującego mleka. Pomyślał, że przyszedł w nieodpowiednim momencie.

– Nie przeszkadzam pani, Leonio? Widzę, że właśnie pani jadła... ale ja musiałem, rozumie pani... musiałem... – tłumaczył się, siadając na zżartym przez czas i korniki krześle. – Przez cały tydzień myślałem tylko o tamtym ciele... prawdziwym... męskim. I ten pojedynek... Tutaj wszystko jest bezsensowne, banalne! Chcę tam wrócić. Już teraz, zaraz. Na zawsze!

Wcale go nie słuchała. Z trudem dowlokła się na swoje miejsce, usiadła z westchnieniem ulgi i bez pośpiechu kończyła kolację. Mężczyzna, niespeszony, wypełniał chwile oczekiwania potokiem słów, wylewając to, co mu leżało na sercu: rozczarowania, wspomnienia, pustkę egzystencji pozbawionej nadziei, wciąż takiej samej, zawsze monotonnej...

Stara z niewzruszoną obojętnością posilała się dalej, aż do ostatniego łyka mleka. Dopiero wtedy spojrzała z ironią na swego gościa.

– Żeby przejść na drugą stronę trzeba czasu i umiejętności koncentracji – stwierdziła. – I nie jest powiedziane, że niesie to ze sobą zawsze tylko miłe skutki, zwłaszcza jeśli ktoś chce tam pozostać na dłużej.

– Błagam. Mimo wszystko spróbujmy. Przyniosłem wszystkie swoje oszczędności.

Ponownie zapadła cisza. Chwila, przez którą usiłował wyczytać w nic nie wyrażających oczach rozmówczyni możliwą odpowiedź.

– Jak to się chce zmieniać życie... – westchnęła, jakby recytując słowa monotonnej, od zbyt już dawna powtarzanej litanii. Jej wzrok zdawał się zagubiony w pustce.

– Przygody, silne wrażenia, sława, sukcesy, piękne kobiety, władza... Zmienić ten świat, zbyt ciasny, żeby zmieścić wasze życzenia... Kiedyż wreszcie to wy się zmienicie? Ale sądzę, że namawiać was do tego byłoby daremnym trudem.

– Ja już się zdecydowałem! – stwierdził w jakimś odruchu męskiej godności. – Wszystko, byle nie było jak dotąd. – I, już bardziej ulegle, dodał: – Wystarczy mi silna osobowość. Nie mam zbyt wielkich wymagań – jakiś wojownik, niekoniecznie ktoś z tych największych bohaterów...

– Tam, gdzie pana wysyłam, nie ma niedorajdów. Albo jest się gigantem, albo nikim! – roześmiała się, ukazując pożółkłe, pełne szczerb uzębienie. – Kładź pieniądze na stół i siedź spokojnie. Potrzebuję chwili ciszy.

Zamknęła oczy, oparła obie dłonie na chropowatym blacie stołu i zamarła w bezruchu. W milczenie wdzierał się odległy szum rzeki, jak refren, wokół którego zdawała się krystalizować przejmująca cisza.

Mężczyzna wpatrywał się uporczywie w kobietę, próbując w zmarszczkach, po których pełzało, tworząc sfery blasku i cienia, słabe światło lampy, odcyfrować to, czego jednocześnie oczekiwał i bał się. Oczekiwanie przedłużało się, nie do powstrzymania i nie do odparcia, jak nadzieje i lęk, które opanowały jego umysł. Zaledwie spostrzegł kładące się na pobielanych ścianach cienie, nie widział wcale zmian zachodzących w otaczających go przedmiotach. Była tylko ona, jej pomarszczona skóra, jej ciało, jakby już martwe.

Wreszcie i on zaczął się przemieniać. Nie było w tym nic dramatycznego. Nie cierpiał. Wystarczył moment, tyle ile trzeba, żeby zamknąć oczy, chwilka na przepędzenie niespodziewanej myśli i ten ktoś, kogo znał, po prostu przestał istnieć.

Ta świadomość pozwoliła mu zapomnieć o starej kobiecie, pomrukiwaniu rzeki, a także o swoim lęku. Przez chwilę przypatrywał się wielkiej masywnej ręce, którą trzymał wzniesioną na wysokości nosa.

– Co się dzieje? – zapytał niepewnie.

– Chciałeś stać się siłaczem – przypomniał mu zagubiony w otaczających go ciemnościach głos staruchy. – Chciałeś mieć życie nieprzeciętne... no więc dostałeś buchalterze, to, czego chciałeś.

– Gdzie jestem?... Kim jestem?

– Jakie znaczenie mają imiona? To tylko puste symbole. Jesteś kimś, nie wystarcza ci to? – Głos megiery dobiegał z bardzo daleka, co jeszcze powiększało w nim uczucie zagubienia.

Podniósł się. Zakręciło mu się mocno w głowie; objął ją mocno dłońmi i poczuł gęstą czuprynę. Pełen niedowierzania przejechał dłonią po potężnym byczym karku, mocarnej klatce piersiowej, gdzie pod skórą grały powrozy twardych mięśni. Odetchnął z ulgą i starał się uspokoić walące z emocji serce.

– Ale kim jestem?

Nie czekał na odpowiedź. Nowe ciało dawało miłe uczucie potęgi. Spostrzegł, że wszystkie członki reagują posłusznie na bodźce umysłu. Był... wspaniale silny.

Roześmiał się, a otaczający go mrok odbrzmiał dźwiękiem jego męskiego głosu, jak letnie niebo odbija huk niespodziewanego grzmotu. Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozbłysło światło, ukazując wyraźnie otoczenie: splecione z trzcin ściany, ozdobione matami w jasnych kolorach, rozmieszczone w regularnych odstępach słupy, na których rozwieszone były różne przedmioty: tarcza, na wpół obwisły bukłak, czaszka jakiegoś nieznanego zwierzęcia... na ziemi zaś, na warstwach skór, dwie półnagie dziewczyny, wpatrujące się w niego z przestrachem w oczach. Ich widok przygasił w nim ciekawość wszelkich innych rzeczy, rozpalając w umyśle płomień, który ogarnął szybko całe ciało.

– Kim jesteście? – spytał kobietę, która trzymała w ręku glinianą lampkę o drżącym płomieniu.

Trzeba było powtórzyć pytanie, żeby wyrwać biedaczkę z paraliżującego ją strachu.

– Twoje posłuszne niewolnice – szepnęła. – Proszę, nie bij nas, spełniałyśmy wszystkie twoje życzenia.

Dziwnie cieszył go lęk, który mógł wyczytać w oczach tego zbyt szybko dojrzałego dziecka.

– A jakie były moje życzenia? – zapytał już mniej stanowczym tonem.

Zaczerwieniła się. I zwiesiła głowę na piersi.

– Nie będziesz się na nas skarżył staremu Cravorowi, prawda? – wtrąciła druga, wyraźnie śmielsza od towarzyszki. – Posiadłeś nas i nie stawiałyśmy ci oporu...

Buchalter opanował chęć rzucenia ich na skóry i pozwolił sobie na chwilę zastanowienia: Leonia dotrzymała obietnicy, niewiele jednak zrobiła, żeby go oświecić co do sytuacji, w której się znalazł. Mógł tylko przypuszczać, że pojawił się ze swoim wspaniałym ciałem w jakichś barbarzyńskich czasach... Ale głowa z takim trudem nadążała za tysiącem goniących się myśli...

– Kim jest Cravor?

Dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawiał, nie ukrywała niedowierzania. Głaszcząc swoje długie, czarne włosy uśmiechnęła się. – A jednak byłeś pijany – powiedziała z drwiną w głosie. – Cravor jest naczelnikiem naszej wioski: wynajął cię, a ja i Verena jesteśmy częścią twojej zapłaty. Dziewice, jak sobie tego życzyłeś.

Nieoczekiwane wahanie pojawiło się w tak pewnym aż dotąd głosie. – Nie możesz zaprzeczyć... Rozerwaliby nas na strzępy, gdybyś...

– Nie mam zamiaru niczemu zaprzeczać – mruknął, nie mając ochoty na zmianę tematu rozmowy. – A czego chce ode mnie Cravor za tak szczodre wynagrodzenie?

Niedowierzanie ponownie pojawiło się w szeroko otwartych oczach dziewczyny. – Na wielkiego Boga Słońce, czyżbyś nie był może Manisem, zabójcą smoków? Mężnym wojownikiem z Północy?

– Oszczędź sobie pytań i odpowiadaj mi – przerwał.

– Przyrzekłeś zabić potwora, który zagraża naszej osadzie – pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Jest już prawie pora żniw, a ludzie boją się wyjść na pola. Powiesz, że byłyśmy miłe dla ciebie?

„Manis", powtórzył w myślach, „zabójca smoków..."

Heroiczny obraz wielkiego wojownika, obrońcy słabych, zaćmił swoim promiennym romantyzmem wszystko inne. Trzeba powie-

dzieć, że wiedźma stanęła na wysokości zadania i dała mu to, o czym tylko mógł marzyć: nieujarzmiony świat, po którym wciąż krążyły potwory wyolbrzymiane jeszcze strachem prostaczków. A także posągowe ciało giganta, który w zamian za proste dary w naturze stawia czoło niebezpieczeństwom, by ratować dobra i życie bezradnych osad.

Kto wie co zrobiłby prawdziwy Manis? Z tym ciałem... z pewnością nie powinien bać się smoka! Zaniepokoiła go ta myśl. Smok... Jak stawić czoło smokowi? Przez lata napychał się fantastycznymi historyjkami o ogromnych gadach ziejących ogniem, które bezlitośnie wykańczali rycerze bez zmazy i lęku, uzbrojeni tylko w swoją odwagę i czystość...

Nowo kreowany heros spojrzał na dwie dziewczyny i szybko odrzucił ideę czystości... Nie, w tych barbarzyńskich czasach brutalność i gwałt towarzyszyły sile ciała i ducha. Żadnych niepokalanych istot, a tylko mężczyźni z krwi i kości... Uśmiechnął się do dziewcząt i gestem ręki zachęcił je, żeby podeszły bliżej. Zobaczył w oczach Vereny błysk zdziwienia i coś jakby wyzwanie w oczach jej sprytniejszej towarzyszki.

– Dziewica... – pomyślał z ironią. – Ta to już musiała poznać niejednego...

– Manisie! – Głos dobiegał tuż zza trzcinowej ściany, niwecząc czar chwili.

Zabójca smoków odepchnął w geście irytacji obie przytulone do niego kobiety i wściekle uniósł głowę. – Kto tam?

– Cravor, panie – odpowiedział natręt. – Świt już blisko... musisz dotrzymać umowy.

Manis, owijając się w obszerny płaszcz znaleziony na progu, wyszedł z ociąganiem. Słaba poświata widoczna spoza ciemnych szczytów pobliskich gór zdradzała powolne nadciąganie dnia. Heros wciągnął w potężne płuca kłujące nocne powietrze i utkwił wzrok w niewielkim zgromadzeniu stojącym nie opodal. W słabym świetle dymiących łuczyw dostrzegł ogłupiałe od biedy twarze, puste spojrzenia, w których dawało się wyczytać tylko wieczny głód, chłód, strach i zawiść. Tyle zawiści. Przerastał ich o dobre dwie dłonie. Starał się bezskutecznie dociec kto z tego tłumu mógłby być naczelnikiem osady.

– Daliśmy ci nasze najpiękniejsze córki – płaczliwie zabeczał Cravor ukrywając zdenerwowanie pod kapturem z koziej skóry. – Całe pożywienie oddaliśmy dla ciebie... i teraz powinieneś uwolnić nas od smoka, zanim zmarnują się całkiem zbiory.

Szef osady wydał mu się nudny ze swoimi pretensjami i bohater miał chwilę czasu na to, żeby się zastanowić, żeby pomyśleć... Jak można stawić czoło smokowi? Był prawdziwym wielkoludem, ale jak duża będzie bestia, z którą przyjdzie mu się zmierzyć?

– Boisz się? – szyderczo uśmiechnął się jeden z wieśniaków wyglądający jeszcze głupiej niż pozostali. Natychmiast zresztą przestraszył się swego zuchwalstwa i tchórzliwie skrył się w mroku. Ale wojownik nie był w nastroju do wymierzania kary.

– Przynieście mi broń – ryknął. – Co przyrzekłem, tego dotrzymam. Ale będzie mi potrzebny przewodnik. Nie znam tych okolic, a nie chcę tracić czasu na błądzenie bez sensu.

Staruszek szedł posapując ze zmęczenia i strachu. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby złapać oddech, pochuchać na zsiniałe ręce, ukradkiem zerknąć na olbrzyma pogrążonego w kto wie jakich myślach.

– Słońce coś dziś ociąga się ze wstaniem – odważył się w końcu wyjąkać, chcąc przerwać otaczający go mur ciszy.

Manis wyrwany z zadumy spojrzał na przegub, szukając informacji, której oczywiście nie znalazł. Jego gest wydarł z gardła starca pełne niepokoju westchnienie. – Chciałeś... – wyszeptał – chciałeś spojrzeć na zegarek...

– Nie wiem o co ci chodzi, starcze – z irytacją odezwał się Manis.

– Pochodzisz z dwudziestego wieku – nieufnie kontynuował stary. – Znasz czarownicę Leonię. Kazałeś się tu przenieść... Powiedz, że tak właśnie jest...

Nieoczekiwane słowa wstrząsnęły zupełnie nie przygotowanym na nie bohaterem. Spojrzał niedowierzająco na swego rozmówcę. – Skąd wiesz to wszystko?

Przewodnik jęknął i bezwładnie oparł się o jakiś głaz, żeby nie stracić równowagi. – Ja także przybyłem stamtąd... Nazywałem się Aldrisi... To było już tak dawno... To był czas regulowania rachunków. Musiałem szybko wiać... Ale ty?

– Nieważne, jak się nazywałem – odpowiedział olbrzym. Usiłował stłumić w swoim sercu nostalgię za przeszłością. – Przybyłem tu, żeby odmienić swoje życie... na lepsze. – I bardziej, żeby przekonać samego siebie, niż z potrzeby bezużytecznej demonstracji własnej siły, rąbnął toporem w pień najbliższego drzewa, które upadło z jękiem łamanych gałęzi. Stary odzyskawszy trochę swoich mizernych sił roześmiał się i rozkaszlał jednocześnie. – Brawo, brawo – zaskrzeczał. – Leonia zawsze dotrzymuje swoich obietnic... A w stosunku do ciebie okazała się ponadto wyjątkowo hojna. Także i mnie nieźle zaczarowała. Kiedy tu przybyłem wyglądałem jak Apollo... Zostałem nawet członkiem przybocznej gwardii wielkiego króla z równin... Szkoda, że czas płynie tak szybko. Popatrz na mnie... Ile lat mi dajesz? Osiemdziesiąt? A może tylko siedemdziesiąt? Nie, nie... Mam zaledwie pięćdziesiątkę i już jestem jedną z bezużytecznych gąb do żywienia. Cravor, to bydlę, wysłał mnie z tobą jako żarcie dla smoka... Tak skończył Aldrisi, doktor Aldrisi... – Rozpłakał się.

Heros poczuł coś jakby chłód, który nagle stłumił jego gorące marzenia i nadzieje. Był gotów stawić czoło smoczej bestii... ale nie lamentom ludzkiego strzępu, smutnej przepowiedni, o którą bynajmniej nie prosił.

– Rozumiem – mruknął po chwili pełnego napięcia milczenia. – No, ale zawsze miałeś przez te lata swoje sukcesy...

– A tak. Moje sukcesy... – odezwał się płaczliwie staruch. – Tu jest tylko jeden sukces. Zdeptać albo zostać zdeptanym. Dopóki byłem w stanie utrzymać miecz, to coś miałem z życia: oklaski, złoto i dziwki wszelakiego rodzaju... Ale nigdy nie znalazłem nikogo, z kim mógłbym czuć się naprawdę dobrze: przyjaciela, żony, kogoś, kto chciałby być ze mną nie tylko dla moich mięśni.... Nie znalazłem wypoczynku, żadnego miejsca, w którym mógłbym odetchnąć czy ogrzać się zimą...

– Wystarczy, dziadku – zaprotestował nerwowo Manis. – Mam tu coś do załatwienia. Pogadamy innym razem.

Złowrogi ryk, dobiegający znikąd, przerwał spokój świtu.

Wojownik zdrętwiał, a jego członki zastygły w bezruchu, jakby z przerażenia. Ale świadomość własnej siły wzięła przewagę nad lękiem: Manis nie ucieknie, jak zrobiłby to mdławy buchalter z poprzedniego życia! Na tę myśl zniknęły wszelkie rozterki, pozostała tylko jasna świadomość zabójcy smoków, badającego teren, oceniającego działania, które należy podjąć, ruszającego naprzód bez wahania.

Kilkoma skokami dostał się na spłaszczony wierzchołek skalnej ostrogi, która górowała nad ścieżką. Stamtąd, stojąc mocno na nogach i ściskając w obu dłoniach topór, obserwował parów, gdzie powinno pojawić się niebezpieczeństwo.

Potwór nie był zbyt wielki. Stojąc na tylnych łapach dosięgał zaledwie czterech metrów; wbrew oczekiwaniom herosa nie ział ogniem. W mroźnym powietrzu poranka jego oddech tworzył chmury pary. Mógł być gadem, który uniknął zagłady swojego gatunku, albo po prostu wybrykiem natury, a z góry nie wydawał się nawet tak groźny, jak zapowiadałby to jego ryk. Poruszał się powoli i niezdarnie i tylko ogon, który uderzając w kamienistą drogę wznosił tumany skalistych odłamków mógł stanowić jakieś niebezpieczeństwo.

Manis czekał spokojnie, aż bestia bardziej się zbliży. Zapomniał o staruchu i jego łzawych kolejach losu. Zapomniał o strachu, który opanował go w pierwszej chwili.

Smok kierował się prosto na niego. Rozwarty pysk znalazł się na wysokości jego piersi. Bez wahania pozwolił zwierzęciu wyładować swoją wściekłość. Dopiero kiedy przybliżyło się jeszcze bardziej, rąbnął je w paszczę. Pojawiła się smużka krwi. Cios nie był z pewnością śmiertelny, ale wystarczył, żeby rozjuszyć potwora, który ponowił atak.

Pod naporem gada zadrżała skała. Ale człowiek stał nieporuszony.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Zrobiło się upalnie. Atakująca na oślep od wielu godzin bestia zaczęła zdradzać pierwsze oznaki zmęczenia. Nawet jej ryk stracił pierwotny ton groźby. Zdradzał już tylko bezsilną wściekłość i zmęczenie. Tymczasem on wciąż był wypoczęty i świeży. Kiedy wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment jednym skokiem opuścił swoje bezpieczne schronienie i czekał, jak torreador na arenie, na ostatni akt dramatu, na atak wycieńczonej już bestii.

Tak też się stało. Wyminął z gracją atakującego smoka i zadał potężny cios, który pozbawił zwierzę tylnej łapy. Potwór padł z wyciem na ziemię. Manis, unikając uderzenia ogona, z równą siłą odciął łeb smoka. To był już koniec.

Jęk jego współtowarzysza rozwiał nachodzące go uczucie rozczarowania.

– Jesteś ranny? – spytał, podchodząc do kompletnie wykończonego starca, który z trudem obrócił głowę.

– Nie jestem już nic wart nawet jako żarcie dla smoków... – uśmiechnął się gorzko. – Serce już nie chce pracować...

Chris Moore



Prace Chrisa Moore'a przedstawialiśmy już w „Galerii" poświęconej robotom („Fantastyka" nr 1/87). Nie będę ukrywał, że szykując właśnie tamten materiał, po raz pierwszy zetknąłem się z jego twórczością. Wtedy, decydując się na drukowanie prac Moore'a, pomyślałem, że to jeszcze jeden szalenie sprawny warsztatowo facet, który posyła nam „obrazki stamtąd".

Niedawno otrzymałem od jednego ze znajomych książkę „Steps" Jerzego Kosińskiego, wydaną przez wydawnictwo Vintage Books z Nowego Jorku. Okładka do tej książki, autorstwa Moore'a, zaskoczyła mnie pomysłem, który tak mało mając wspólnego z jej fabułą, jednocześnie tak jednoznacznie ją puentował. Wtedy to postanowiłem zebrać więcej materiałów o Chrisie, aby przedstawić go w naszej „Galerii".

Chris Moore jest Brytyjczykiem, mieszka w hrabstwie Kent. Zamówienia przyjmuje praktycznie tylko od wydawców amerykańskich. Jak twierdzi, woli rynek amerykański, ponieważ panuje tam większa konkurencja, a więc ma stały doping do pracy – to lubi; honoraria są wyższe niż w Europie, a podatki dla twórców niższe – co też lubi; negocjacje z wydawcami są cięższe, tego nie lubi, lecz w zamian ma większą swobodę w przedstawianiu zamówionego tematu. Ilustruje różne książki. Zdarzają się wśród nich zwykłe „czytadła", gdzie musi się wykazać tylko swoją sprawnością warsztatową, aby w jak najwierniejszy sposób przedstawić głównych bohaterów lub jedną z sytuacji opisanych w tekście. Za takimi zamówieniami nie przepada, choć wie, że są lepiej płatne. Woli ilustrować teksty, które pozwalają rozwinąć się jego wyobraźni, znaleźć symbole najlepiej oddające sens książki. Z tego też powodu związał się ze wspomnianym już wydawnictwem Vintage Books, dla którego zaprojektował między innymi okładkę do książki Kaye Gibbons „Ellen Foster". W pierwszej wersji (pomysł wydawcy) na okładce miały być postacie białej i czarnej dziewczyny, trzymające się za ręce na tle zburzonego domu. Chris Moore wykonał to zamówienie oraz przedstawił drugą, własną propozycję. Był mile zaskoczony, gdy zaakceptowano właśnie jego wersję.

Punktem wyjścia do większości jego projektów są zdjęcia, które aranżuje i wykonuje. Jednym ze środków wyrazu artystycznego są deformacje, jakie można uzyskać używając aparatu fotograficznego. Prace Moore'a bardzo często zawierają w sobie przerysowania czy dowcip, co pozwala mu zachować niezbędny dystans do bezsensownych niekiedy tekstów.

A więc zapraszam do „Galerii".

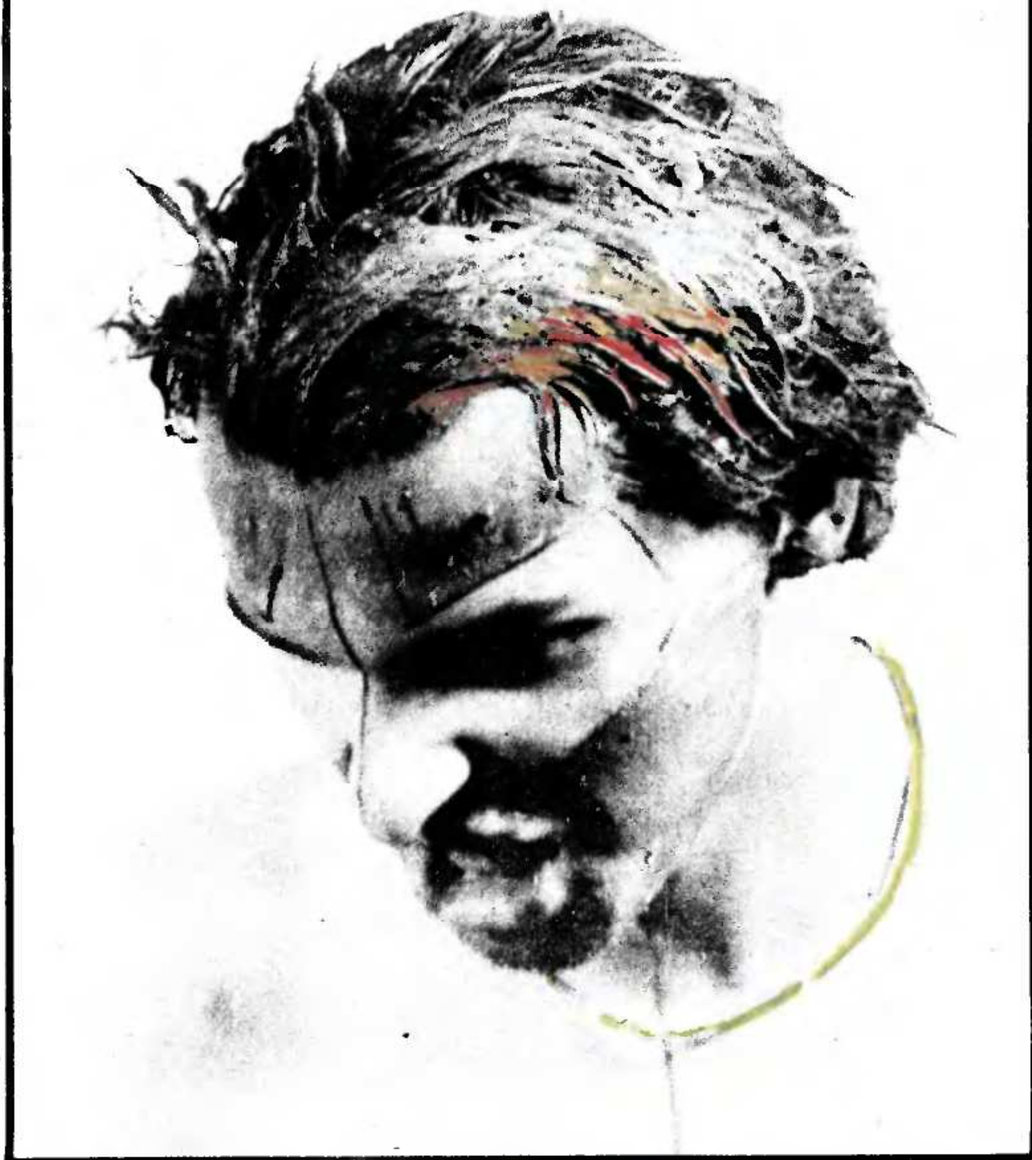
Andrzej Brzezicki



– Zabiorę cię do wioski.
– Nie warto – westchnął starzec. – Muszę zdechnąć... i wolę żeby to stało się tutaj...
Każde słowo wymagało od niego strasznego wysiłku, ale Manis czytał w jego oczach chęć rozmowy, jak gdyby chciał w ten sposób zostawić jakiś ślad po sobie, chociaż słowa.
– Bądź jeszcze przez chwilę cierpliwy – kontynuował starzec. – Wybacz mi to, co ci przedtem powiedziałem. W końcu i tu można nieźle żyć... To tylko ja miałem pecha. Jak ktoś ma takie ciało, jak ty, to może tak nie skończy... Ale jeślibyś któregoś dnia poczuł się zmęczony, chciałbyś wrócić... Wiem, że to możliwe, trzeba tylko chcieć. Wystarczy zmusić Leonię, żeby wypowiedziała jedno ze swoich zaklęć...
– Leonia jest tutaj?
– Oczywiście. Ona żyje we wszystkich czasach. Wie jak przenosić się z jednego świata w inny... – odpowiedział Aldrisi. – Długo ją śledziłem, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę... A teraz jest już za późno.
Manis przez chwilę rozkoszował się szaleńczym pomysłem. Wreszcie zapytał: – Gdzie ją mogę znaleźć?
– Na wschodzie... idź wzdłuż rzeki. Odnajdziesz miasto drewnianych wież.
– Jak je rozpoznam?
Oczy Aldrisiego zwrócone już były poza otaczający go świat. Potrząsnął głową, jakby chciał przeciwstawić się niewidocznemu rozmówcy.
– Tak bardzo chciałbym zobaczyć dom... – wyszeptał niepewnym głosem – ...miałem dwóch synów... kto wie gdzie są teraz... Tutaj zawsze jest za ciepło albo za zimno.
– Powiedz jeszcze coś o Leonii! – nalegał wojownik.
– Ona jest... – wyzionął ducha.
Manis nadaremnie potrząsał nieszczęśnikiem, usiłując wydobyć odpowiedź. Musiał przyjąć to, co stało się faktem. Wiedział niewiele, ale przecież coś jednak wiedział. Leonia mogła swobodnie przemieszczać się pomiędzy światem, który odrzucił i tym, który być może zbyt pośpiesznie zaakceptował.

Uroczystości trwały cały dzień. Mięso pociętego na kawałki smoka było zasadniczym daniem niekończącej się uczty. Manis znalazł się w samym centrum zamieszania, otoczony tymi, którzy czuli się w obowiązku poić go, zasypywać pochlebstwami, schlebiać bez miary. Imię Leonii zostało przegnane w najgłębsze zakamarki świadomości. Wino i starania Vereny oraz jej przyjaciółki sprawiły, że szybko o nim zapomniał.
Cała reszta była zapomnieniem. Dni, które spędził w osadzie stanowiły nieprzerwany ciąg następujących po sobie orgii i pijatyk. Ale poza nim nikt już nie świętował i w rzadkich momentach pełnej świadomości napotykał zawistne spojrzenia wycieńczonych pracą w polu wieśniaków i zmęczonych obsługiwaniem go kobiet.
Któregoś dnia, niespodziewanie dla bohatera, dał się słyszeć tętent końskich kopyt.
– Kobieto, gdzie mogę znaleźć Manisa, zabójcę smoka?
– W tej chałupie.
– Sądzisz, że mnie przyjmie?
– Jeśli nie jest zbyt pijany, żeby cokolwiek zrozumieć – odpowiedziała kobieta głosem pełnym sarkazmu.
Wojownik usiłował nie zwracać uwagi na palącą obręcz, która ściskała mu głowę. Wywlókł się na próg.
– Tum jest! – zawołał ze źle kontrolowaną energią.
– Cześć ci – rzekł zsiadając z konia nowo przybyły. – Jestem wysłannikiem miasta Asgrew. Między moimi panami, handlarzami wełny a pewnym obcym księciem wybuchł spór i potrzebują oni dzielnego wojownika do udziału w sądzie bożym, od którego zależy ich los...
Mówił zbyt afektowanie, zbyt starannie, a przede wszystkim za dużo! Manis z trudnością nadążał za jego słowami, zagubiony pośród komplementów i nie kończących się parafraz. Wreszcie, przeklinając oszałamiające go wino, wzniósł ramię. Wydał z siebie pełen zmęczenia pomruk.
– Dobrze, dobrze, jadę.
Wysłannik wydawał się zaskoczony. – Nie pytasz o zapłatę?
Heros uśmiechnął się. Przyszła mu do głowy cięta i pełna ironii odpowiedź, ale po chwili wszystko się pomieszało i tylko skinął potakująco głową.

Odjechał nie żegnany i kiedy znalazł się już po drugiej stronie wzgórz po raz ostatni spoglądając na uratowaną przez siebie wioskę, zdał sobie sprawę, że nie zabiera ze sobą nawet nazwy osady.
Ale może tak właśnie powinno być? Nowi przyjaciele przyjmą go i obsypią łaskami. Będą wiwatować, kiedy pokona przeciwnika, będą schlebiać, a kiedy ich opuści, zmęczony zbyt tłustymi kobietami, zbyt ciężkim złotem i zbyt mocnym winem, znów okaże się kimś, o kim się nie pamięta, kimś kogo nie warto ani nienawidzieć, ani opłakiwać.
Nie miał jednak nigdy czasu, by się nad tym zastanawiać, by próbować coś zrozumieć. Wciąż ktoś błagał go o ratunek: ciągle trzeba było komuś stawiać czoło, odcinać głowy... i zawsze ten zamęt, hałas, płacz, śmiech, rzężenie, miłosne zaklęcia...
– Czy ty jesteś Manisem, bohaterem z Asgrew, zabójcą smoków?
Cudzoziemiec nosił cieniutką, lekką szpadę, jaką zwykli przypasywać panowie, pełni żądzy sławy nieproporcjonalnej do siły ich ramion.
Wyrwany z miłej nieświadomości, w której pogrążyła go noc przepędzona na pijatyce, heros z mruknięciem uniósł głowę, zastanawiając się, czy by nie warto pozbyć się natręta. Ale nieznajomy był szybki w języku.
– Twoja sława dotarła aż do mego władcy, Aktera, króla Tautoru. Chciałby mieć cię na swoje usługi.
– Komu tym razem powinienem poderżnąć gardło? – wymamrotał Manis. – Nieposłusznemu księciu, jakiemuś jaszczurowi, który zakłóca spokojny sen obywateli, czy może twój pan chce mnie tylko wystawić do pojedynku ze swoim zawodnikiem?
Przybysz uśmiechnął się i nie proszony siadł na stołku, przystawionym do stołu.
– Nic takiego – oświadczył. – Niebezpieczeństwo, z którym masz się zmierzyć, jest zupełnie innego rodzaju i być może nawet ty z twoim toporem nie zdołasz wiele zrobić.
Heros parsknął ze złości. Jeszcze nie trafił się nikt wśród tych, którzy prosili o jego pomoc, kto by nie uważał za swój obowiązek określić jego przeciwnika mianem „specjalnego", „innego"... Ale przez wszystkie te trwające całą wieczność miesiące, które przepędził w tym świecie, znajdował zawsze tylko dające się porąbać mięso, kruszące się kości, pękające pancerze. Przez chwilę przebiegały mu przez głowę całe setki jego wyczynów, ulotność daremnego bohaterstwa, monotonia zawsze takiego samego scenariusza wydarzeń. Instynktownie sięgnął swoją potężną dłonią po pełny jeszcze kielich, ale rozmówca powstrzymał go.
– Chcę byś zgodził się lub odmówił trzeźwy.
Zabójca smoków poczuł się podrażniony bezczelnością tego stwierdzenia. Jego sława pijaka była wcale nie mniejsza niż wojownika, ale nikt z żywych nie ośmielił się mu o tym nigdy przypomnieć. Spojrzał uważnie na młodzieńca. Nie nosił żadnych niewieścich fintifluszków, ani też jakichś symboli poddaństwa... być może zasługiwał na to, żeby jeszcze trochę pożyć.
– Mój król wzywa cię do walki z przeciwnikiem, który posługuje się magią – kontynuował przybysz. – Tajemne siły, zaklęcia, piekielne potwory, przeciwieństwa, które przezwyciężyć może tylko człowiek zupełnie wyjątkowy. Wiem, że nigdy nie pytasz o wynagrodzenie, ale jeśli uda ci się spełnić zadanie, będziesz mógł zażądać wszystkiego, czego zechcesz. Mój pan jest gotów oddać ci władzę nad całą prowincją z równym mu tytułem suwerena i...
– Dobrze rzekłeś – uciszył go wojownik. – Nigdy nie żądam niczego wcześniej.
Młodzieniec poczerwieniał. Prawdopodobnie nie przywykł, by mu przerywano, ale nie odważył się zaprotestować. Manis poczuł tajoną satysfakcję – ani mniejszą, ani większą niż wtedy, gdy napotykał pełen zawiści wzrok wieśniaków błagających go o pomoc, czy owych bogaczy obawiających się utracić swoje złoto albo swoje kobiety, które na równi bały się go, co i pożądały. Im więcej było zwycięstw, im więcej rozlanej krwi, tym czuł się potężniejszy. Nawet jeśli w końcu wszystko sprowadzało się do kilku chwil tajonej satysfakcji.
– Wobec tego dobrze by było wyruszyć natychmiast – zaproponował posłaniec. – Będziemy mieli okazję poznać się lepiej w drodze.
Kazał nazywać się Fredo, co na kilometr pachniało fałszem, ale Manis nie przywiązywał wagi ani do imion, ani do więzów przyjaźni. Toteż dni galopady ku nowej przygodzie nie przyczyniły się do powstania choćby poczucia koleżeństwa pomiędzy dwoma mężczyznami: jeden trwał pogrążony w swoich rozmyślaniach, drugi pozostawał obojętny i pełen wyniosłości.
Dotarli wreszcie do ściany lasu, którego drzewa tworzyły gęstą plątaninę, niemożliwą do przebycia, jak mury potężnej fortecy, nad którą górowały podobne strażniczym wieżom potężne dęby.
– Oto Zielone Miasto – odezwał się z drżeniem emocji w głosie Fredo. – W nim kryje się nasz przeciwnik.



Beata Nyczaj

– Dziwna nazwa jak na las – zauważył heros. Tknęło go jakieś przeczucie.

– Żyją tu najpotworniejsze istoty – mówił dalej towarzysz drogi. – W ich ciernistych kryjówkach czai się strach i śmierć, a w najtajniejszym miejscu ukryty jest najbardziej pożądany przez człowieka skarb. Żadne wojsko nie zdołało go nigdy zdobyć – a zresztą żaden rozsądny człowiek nie odważyłby się tam wedrzeć.

– Świat pełen jest szaleńców – zauważył sceptycznie Manis, bynajmniej nie przejęty całą przemową. – A twój król właśnie znalazł jednego!

– Dwóch – odpowiedział Fredo. – Bo ja jadę razem z tobą.

– Boisz się, że ucieknę ze skarbem?

Fredo potrząsnął jedynie przecząco głową, nic więcej nie mówiąc. Zadął tylko w róg wyciągnięty z juków przewieszonych przez koński zad.

Przez chwilę wydawało się, że dźwięk zamarł, ale po chwili spoza horyzontu dobiegło podobne granie, przebiegające ponad polami, aby w końcu utworzyć jeden żałosny koncert.

– Twój król nie ma wielkiego zaufania do swoich szaleńców – zachichotał Manis. – Albo też skarb, którego szukamy jest taki wielki, że trzeba całej armii, by go przetransportować.

– Będą na nas czekać, aż wrócimy. Jeśli wrócimy – mruknął posłaniec. – Teraz nie traćmy czasu na gadanie. Dzień jest jeszcze długi, ale przecież nie wieczny.

Zostawili konie przy pierwszych kolczastych zaroślach, które zagrodziły im drogę. Dalej poszli na piechotę, nie zważając na czepiające się ich ubrań i pozostawiające krwawe pręgi na nagich ramionach krzewy jeżyn. Wkrótce palące ich dotąd promienie słońca zniknęły, zduszone gęstą siatką gałęzi i wraz z tym zerwały się ostatnie więzi łączące ich z uspokajającym codziennym światem. Nieznane były drzewa o chropawych konarach, podtrzymujące jak kolumny ogromne sklepienia zielonych liści, nieznane szmery, krzyki, wołanie niewidocznych zwierząt, nieznane nawet chwile ciszy, wypełnione tajemniczą groźbą.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, natknęli się na pierwsze ślady śmierci: szkielety ich poprzedników. Pogruchotane kości rozrzucone na dywanie mchów, otaczających je zielonym całunem.

– Jakie zwierzę mogło coś takiego zrobić z człowiekiem? – zapytał z lękiem Fredo, wskazując zmiażdżoną czaszkę.

– Takie, które raczej trudno by ci było powstrzymać twoją złoconą szpadką – z ironią odrzekł Manis.

Jego towarzysz nie podjął zaczepki. Ścisnął mocno intarsjowaną gardę i ruszył dalej. Ale po chwili zatrzymał się.

– Co to?

Manis pokręcił głową.

Hałas przypominał odgłosy zbliżającej się letniej burzy, ale nie dobiegał z nieba. To drżała ziemia, jakby wstrząsana tysiącami ton ogromnego ciężaru. Później dotarł do nich potworny, powtarzający się i coraz bliższy, ryk.

Fredo stał jak sparaliżowany. Prawdopodobnie nigdy nie musiał walczyć ze smokiem i nigdy nie widział kilkutonowego potwora, pod którego ciężkimi łapami drży ziemia. Dla wojownika taki dźwięk był raczej czymś zwyczajnym, tym razem jednak wydawał się niewiarygodnie zwielokrotniony, jakby smoków były dziesiątki czy setki. Ale przecież tak umysł jak ciało były dobrze wytrenowane i chociaż ściana zieleni kryła jeszcze napastników, dobrze wiedział, że muszą już być blisko i trzeba będzie za chwilę stawić im czoło.

Manis nie wahał się. Jednym skokiem znalazł się na upatrzonym konarze pobliskiego drzewa, wciągając pośpiesznie w górę swego kompana.

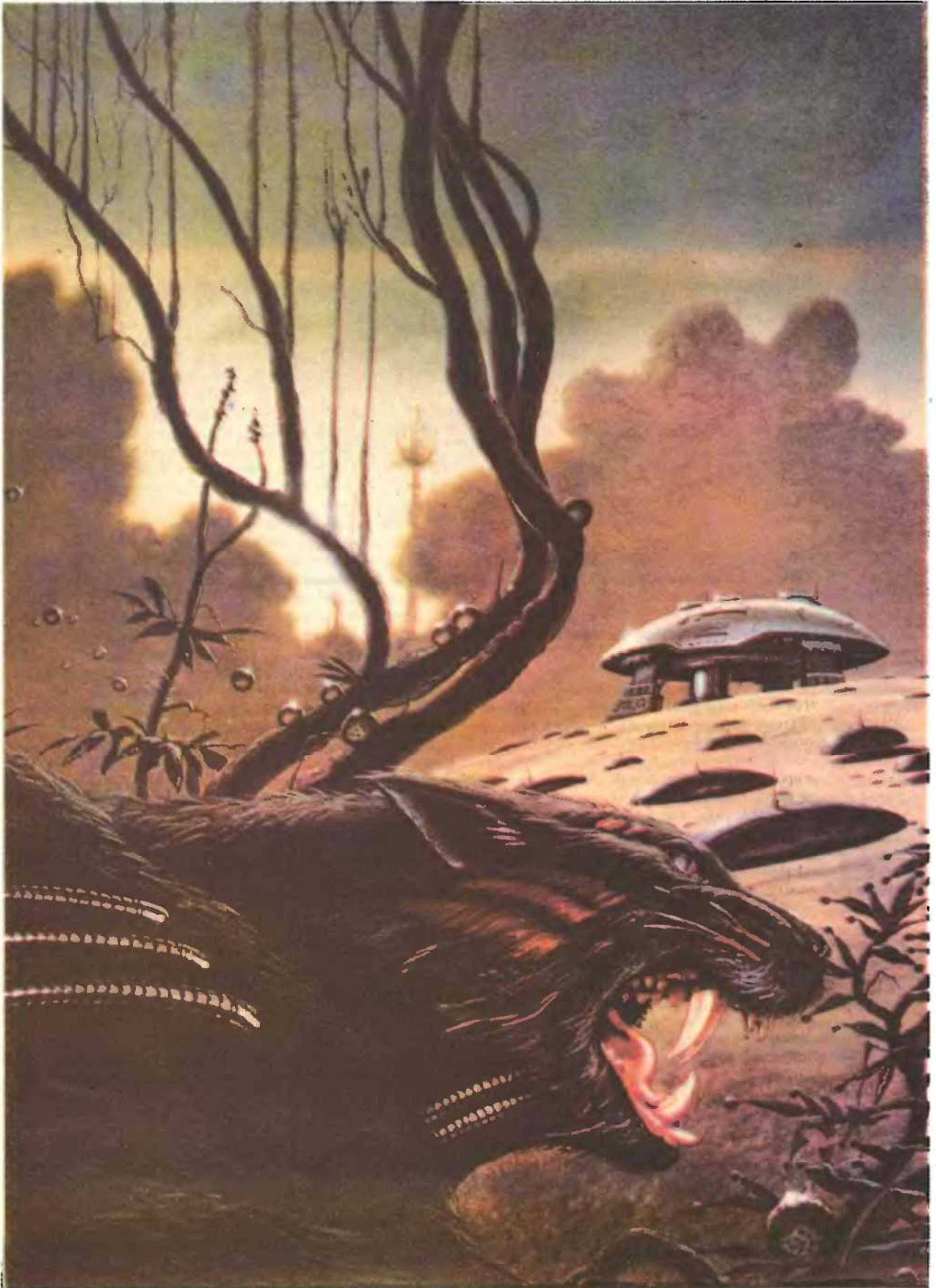
Chwilę później zaroiło się u ich stóp od rozwścieczonych potworów, które błyskawicznie zniknęły ponownie w leśnej gęstwinie, ścigane jedynie własnym rykiem.

– Co to... co to było? – wyszeptał Fredo z niedowierzaniem.

Manis miał najpierw zamiar odpowiedzieć, ale potem pomyślał, że dla tych prymitywnych ludów słoń musiał się wydawać równie nieznany i potworny, jak każde inne wielkie zwierzę.

– No i mamy wytłumaczenie, gdzie się zapodziały poprzedzające nas tu zastępy – powiedział tylko. – No, ruszajmy stąd, zanim wrócą...

Chris Moore



Zagłębili się ponownie w las, korzystając dopóki to było możliwe z duktu wydeptanego przez gruboskóre bestie. Później drogę zamknęły im znowu splątane kolczaste krzewy.

– Jak tu się można w ogóle zorientować? – zaprotestował zagubiony Manis. – Nie widać nawet, gdzie jest słońce!

– Idźmy przed siebie. Wcześniej czy później dokądś dotrzemy – odrzekł Fredo.

– No to wyciągaj szpadę i zróbmy sobie przejście. Mam już dosyć tych zadrapań na skórze.

Fredo przecząco pokręcił głową. – Dasz sobie radę swoim toporem. Nie chciałbym stępić ostrza klingi.

Heros parsknął ze złością, ale nie nalegał. Kątem oka zauważył lekkie drganie liści za swoimi plecami i wolał zająć się torowaniem drogi, zostawiając nową przygodę swojemu współtowarzyszowi. I rzeczywiście – uszli zaledwie parę kroków, gdy Fredo, klnąc głośno, padł na ziemię w splotach ogromnego gada.

– Nadszedł właściwy moment, żebyś wreszcie stępił trochę klingę twojej bezcennej szpady – powiedział z ironią Manis, nie mając najmniejszego zamiaru interweniować. Jego współtowarzysz nie miał czasu na odpowiedź. W rozpaczliwym szarpnięciu zdołał wyciągnąć sztylet i ugodzić w łuskowate cielsko, całkiem go już prawie oplątujące. Ten beznadziejny gest nie mógł powstrzymać napastnika. Fredo odrzucił więc broń i uchwycił zbliżający się w niebezpieczny sposób do jego gardła wężowy łeb.

Manis, stojąc na uboczu, rozkoszował się widowiskiem, którego koniec wydawał się łatwy do przewidzenia. Gad coraz silniej zwierał śmiertelny uścisk, a ofiara z rozpaczą próbowała się nadaremnie opierać.

– Powiedz, kiedy powinienem się wtrącić – wymamrotał.

Zaatakowany zdawał się go nie słyszeć, a w każdym razie nie pozwolił sobie na błaganie. Walczył nadal, aż wreszcie, wbrew wszelkim przypuszczeniom, wąż przegrał: jakby za sprawą jakiegoś zaklęcia sploty bestii rozluźniły się i legły bez ruchu na ziemi. Nieda- [illegible] kilkoma cięciami sztyletu pozbawił gada głowy i rzucił ją wojownikowi do stóp. – Ktokolwiek rządzi tym lasem, wie dobrze, jak przyjmować nieproszonych gości. Zbierajmy się, bo inaczej zaskoczy nas tu noc!

Czas wydawał się zatrzymać w nierealnej drodze pomiędzy cieniami, pełnej oczekiwania na nowe zasadzki. Świat wydawał się znieruchomiały, pusty jak grobowiec opuszczony nawet przez du- [illegible] chnących traw i mchów. Nawet drzewa wydawały się mniej agresywne ze swoimi sterczącymi w górę konarami pokrytymi zielenią.

Nie spotkała ich już żadna przygoda.

Odległe i trudne do określenia głosy zdradzały obecność potworów czy nieznanych bestii, ale były tylko czymś dalekim, pozbawionym wszelkiej grozy. Nagle w owo dźwiękowe tło wdarła się głucha nuta, powolne, drewniane uderzenia, którym towarzyszył cichy szmer.

– Jesteśmy nie opodal rzeki – mruknął zaskoczony Manis.

Jego towarzysz spojrzał na niego z zaciekawieniem. – Skąd wiesz o tej rzece? Byłeś tu już kiedyś?

– Być może – powiedział tylko wojownik, któremu z na wpół zapomnianych kawałków zaczęła się układać w całość mozaika niedopowiedzianego jeszcze do końca przeczucia. Ktoś, dawno temu, mówił mu przecież o mieście z zielonymi wieżami z drewna i o rzece.

Pierwszy strumień, który przegrodził mu drogę był po prostu rowem wypełnionym rwącym strumieniem wody, poruszającym młyńskie koło, zaopatrzone w kije, które uderzając w wydrążony pień, wydobywały z niego żałobne bębnienie.

– To nie jest dzieło zwierząt – zauważył Fredo.

– Słusznie. To taki sam sposób na trzymanie z daleka tych, którzy są zbyt słabi ciałem lub duchem, jak napotkane wcześniej potwory – zgodził się Manis.

– Nasz gospodarz powinien być już gdzieś w pobliżu – odezwał się Fredo z lekkim podnieceniem w głosie i przeskoczył na drugi brzeg strumienia.

Napotkali inne potoki i inne świadectwa działalności przebiegłego umysłu. Wreszcie znaleźli się nad ukrytą za gęstymi łozinami wielką rzeką. Po chwili wahania zdecydowali się podążać zgodnie z majestatycznym biegiem rzeki.

– I to tam miałyby być ukryte owe bajeczne skarby? – roześmiał się Manis, ujrzawszy rozpadającą się ruderę zawieszoną na rozchwierutanych palach.

Fredo wydawał się go nie słyszeć. Jakby pchany tajemniczą siłą [illegible]

ciu i wbiegł do środka, odsuwając gwałtownie matę, służącą jako drzwi.

Zabójca smoków pośpieszył za nim, wiedząc już, kogo spotka wewnątrz.

Leonia nie wydawała się ani starsza ani bardziej zgrzybiała niż ostatnim razem, kiedy widział ją w innym świecie i w innych czasach, kurczowo uczepiona kostura, zgięta pod ciężarem niepoliczonych lat, z oczyma bezlitośnie złośliwymi, zdolnymi przejrzeć do głębi każdego. Naprzeciw niej stał z obnażoną szpadą Fredo. Jego twarz zniekształcał grymas złego uśmieszku. Manis, wyraźnie tu niepożądany, wszedł jednak do wnętrza.

– Oto nasz mistrz – mruknął zirytowany Fredo. – Umiał mnie doprowadzić aż do ciebie. Dostanie swoją nagrodę. Ale najpierw pomyślimy o mojej.

Leonia zachichotała, bynajmniej nie przerażona ostrzem klingi przytkniętym do gardła. – Jego umysł jest przeciwieństwem wspaniałych mięśni – powiedziała kwaśno. – No, ale przecież nie jest aż tak durny, na jakiego wygląda. I mogę z dumą stwierdzić, że ma w stosunku do mnie pewne zobowiązania.

Fredo żachnął się. – Znacie się? – zapytał i nie czekając na odpowiedź cofnął się na bok, chcąc mieć ich oboje pod kontrolą.

– Owszem. Wyciągnęłam go ze świata, w którym żył i dałam mu ciało godne jego pragnień. Zgaduję, że udało mu się osiągnąć pewien rozgłos, skoro sam król przełożył go ponad swoje zastępy jako towarzysza w drodze do mnie.

– Król? – powtórzył machinalnie zaskoczony Manis.

Zawarte w głosie wojownika pytanie wywołało ponownie piskliwy chichot Leonii. – Ach, więc on nic nie wie? – mruknęła współczująco. – Nie zna Jego Wysokości Aktera, pana wielu ziem i wielu miast, zżeranego jednak żądzą zdobycia jedynego skarbu, którego nie posiada: nieśmiertelności.

– Zamilknij, stara! – z groźbą w głosie odezwał się władca. – To, [illegible] za to wszystko, co dla mnie uczynił.

– Tak, tak, mogę sobie wyobrazić nagrodę, którą mu szykujesz... Czy ciągle jeszcze używasz trucizny, czy może raczej wolisz podrzynać swoim przyjaciołom gardła we śnie?

Manis w mgnieniu oka zrozumiał, dlaczego zaledwie draśnięty wielki wąż osunął się bez życia na ziemię i czemu Fredo nie chciał używać szpady przy torowaniu sobie drogi pośród leśnej gęstwiny.

[illegible] nić?

– Twoja szpada... – wykrztusił wojownik. – Jest zatruta, prawda?

Fredo uśmiechnął się. – Owszem. I radzę ci dobrze, żebyś się zastanowił po czyjej jesteś stronie. Wokół lasu tysiąc rycerzy czeka na mój powrót. Sam sobie nie poradzisz...

– Ty też nie! – krzyknął zabójca smoków.

Strach malujący się na twarzy Aktera świadczył, że w krótkim przebłysku świadomości zrozumiał, jaki go czeka los. Nadaremnie próbował się jeszcze bronić. Topór przeciął najpierw wzniesioną w rozpaczliwym geście szpadę, a potem roztrzaskał klatkę piersiową.

– No, to znowu jesteśmy razem – zachichotała starucha, splunąwszy na leżącego u jej stóp trupa. – Ten bękart chciał mnie zabić, ale ja jeszcze bym sobie pożyła.

– Znasz naprawdę sekret nieśmiertelności?

Leonia odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Czyżbyś chciał być nieśmiertelny?

– Ja...

– Naprawdę nie wiesz, czego chcesz – przerwała mu wiedźma. – Nie wiesz nic o światach równoległych, o tajemnych potęgach, o siłach jednoczących wszechświat i jednocześnie dzielących go na tyle nędznych klatek. Jesteś tylko mikrobem, jesteś nikim! I zostań nim, jeśli chcesz być szczęśliwy. Wracaj do swoich kobiet i smoków. I zapomnij o tym dniu...

Manis poczuł się urażony w miłości własnej. Ta słaba starucha traktowała go jak kapryśnego bachora, jego, który jednym ruchem mógł jej skręcić kark!

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Leonio – wybuchnął. – Uratowałem ci życie i teraz musisz mi się odwdzięczyć. Chcę mieć twoją władzę, chcę przenosić się swobodnie z jednego świata do drugiego, chcę być wielkim magiem... chcę być wiecznością!

Jego słowa rozbrzmiewały wyzwaniem. Umysł zdawał się nieoczekiwanie uwolniony od pętającego go całunu ociężałości.

Nie wydawała się specjalnie zaskoczona. Zmrużyła oczy tak, że stały się tylko dwiema kreseczkami na pomarszczonej twarzy.

ter... wszyscy i nikt. Ale czy naprawdę wierzysz, że swoim małym rozumkiem zdołasz zapanować nad podobną potęgą?

Wojownik wypiął z dumą pierś. – Tak! – oświadczył z całkowitą pewnością, podkreślając swoje twierdzenie niebezpiecznym zamachem obosiecznego toporu nad głową wiedźmy.

– Hm... Sam tego chciałeś, zabójco smoków – gorzko oświadczyła starucha. – Bądź czujny, bohaterze, bo teraz to twój umysł będzie decydował kim będziesz i jak będziesz żył.

Z grymasem zmęczenia na twarzy rozchyliła na wysokości piersi szatę i wyciągnęła skórzany naszyjnik, na którym wisiała drewniana głowa demona.

– Nie zwracaj uwagi na formę. Bez sensu byłoby komuś, kto żył w dwudziestym wieku mówić o zaklęciach i magii. I tak byś nie uwierzył... Ten wstrętny łeb skradł mi najpiękniejsze lata młodości... No, ale nie mówmy o tym. Miej go zawsze przy sobie i ucz się używać swojej potęgi: jeśli zdołasz chcieć wystarczająco silnie, będziesz mógł być gdzie tylko zechcesz i przybierać takie kształty, jakie tylko ci się zamarzą. Ale używaj go rozsądnie. Byłoby ci trudno wyjść z opresji, myląc się choćby raz, szczególnie, kiedy ktoś tak jak ty, myli rzeczywistość i marzenia.

Manis zawahał się. – A ty... rezygnujesz z takiej władzy?

Wiedźma roześmiała się, ukazując rzadkie, pożółkłe zęby. – Nie przejmuj się mną. Wcześniej czy później zmęczysz się, a wtedy amulet wróci do mnie. Bierz i próbuj...

Wojownik nie zwracał już na nic uwagi. Trzymając drewniany łeb demona w ręku pomyślał o swoim mieście: ruch na ulicach, ko- [redacted] jakby rozmazywać, rozwiewać.

– Drogi panie! Zawsze z głową w chmurach, tak?

Zawołany zerwał się przestraszony; widział blat biurka, ułożone w stosy teczki ze sprawami do załatwienia, poobgryzany długopis i odpychającą twarz obserwującego go zwierzchnika.

– Przepraszam, panie kierowniku...

– Proszę sobie darować przeprosiny – wysyczał przełożony. – Wystarczy, że obija się pan w ciągu dnia, ale żeby jeszcze w czasie nadgodzin...

Buchalter poczerwieniał, wymamrotał parę słów usprawiedliwienia, pośpiesznie zebrał swoje rzeczy, nałożył płaszcz i wymknął się z biura. Zachowywał się jak automat, a w jego głowie kłębiły się nieuporządkowane myśli. Jeszcze przed chwilą był posiadaczem ciała przypominającego górę mięśni... a teraz stał się marnym pajacem wśród innych ludzkich robaków potrącających się w wieczornym tłumie zapełniającym chodniki.

– To nie sen! – pomyślał. – Ja nie śnię... – Poszukał naszyjnika, poczuł pod ręką amulet. Przejęło go uczucie zarazem ulgi i przestrachu.

– Mogę! – krzyczało coś w nim. – Mogę! – Skoncentrował się cały na szalejących w jego umyśle pragnieniach.

Wszystko zniknęło. Wokół toczyła się zażarta walka; uderzenia szpad, wrzaski, jęki umierających i on, w pozłocistej zbroi, zadający z wysokości wspaniałego rumaka ciosy roztrzaskujące las włóczni, chwiejących się w bitewnym kurzu...

– Mogę! – krzyknął rozgrzany wspaniałą walką i spiął konia, który nagle stał się pełnym żaru kobiecym ciałem...

– Mogę! – Wydało mu się, że sięga nieba, oblodzonych niebotycznych szczytów.

Widział szarżującego na niego potwora, widział jego ślepia rozszerzone okrucieństwem. A on, stojąc pewnie na nogach, czekał [redacted] nędznej beznadziejności jest całkiem dobre, może być nawet przyjemne...

Nagle usłyszał jakiś krzyk. Ale kto krzyczał? Z pewnością nie on. I nie potwór... Ten dźwięk wydarł się z gardła tłumu, dziwnego tłumu, bladego w świetle matowych lamp, niemego i nieoczekiwanego widza jego tytanicznego pojedynku. Ostatniego pojedynku...

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia. Widziałem tylko, jak szedł uśmiechnięty prosto pod tramwaj...

– Chryste! Właśnie mnie musiał trafić się wariat! Czy ktoś by mógł zaświadczyć? To nie moja wina!

Szum, słowa, syrena karetki. Cisza.

Przełożył **jer**

Dopóki nie zobaczyłem tego małego chłopca, przeklinałem wachty jak wszyscy z załogi „Teapinga". Oczywiście oprócz Dziadka – on ich przeklinać nie mógł – jako pilot-kapitan „Teapinga" po prostu je zarządził. Wszyscy piloci, od Numeru Pierwszego począwszy i skończywszy na mnie, pilocie-asystencie, musieli się zmieniać w sekcji dowodzenia według schematu: cztery godziny dyżuru, osiem godzin wolnego. Nikt nie rozumiał, co Dziadkowi przyjdzie z tego, że każe nam po kolei wgapiać się w monitory terminali, skoro łajba i tak trzymała się kursu jak przyklejona. Pikuś był świeżo po regulacji, nie na darmo Dziadek, w mojej asyście zresztą, grzebał się w nim przez dwa dni jeszcze przed startem, kiedy „Teaping" leżał w doku Wrakowiska, nasza działalność więc podczas wacht ograniczała się do stereotypowego nagrania w dzienniku pokładowym: bez zmian.

Na odprawie załogi przed startem Dziadek obwieścił, że choćby ze względu na nazwę statku regularne wachty powinny być pełnione faktycznie, a nie tylko formalnie. „Łatwo mu się gada", mruknął półgłosem siedzący obok mnie pierwszy pilot, „on i tak żadnych pełnić nie będzie".

Z niepokojem obejrzałem się na stojące za nami roboty, ale, jak zwykle, nie wyczytałem z ich min, co myślą. Dziadek tymczasem rozpoczął wykład o pochodzeniu nazwy naszego frachtowca. Swobodnie, z wieloma szczegółami, mówił o kliprach, szybkich żaglowcach, w erze Pierwszej Cywilizacji prujących fale ziemskiego morza, o tym, jak żaglowce te ścigały się przez pół kuli ziemskiej, walcząc o sowitą nagrodę za wcześniejsze do- [redacted] Zasypał nas informacjami o jednych z takich zawodów, kiedy wśród dziewięciu żaglowców był również „Teaping", patron naszego towarowego statku kosmicznego. Wyścigi miały dramatyczny przebieg. U celu, po dziewięćdziesięciu dziewięciu dniach rejsu, różnica między pierwszym „Arielem" a drugim „Teapingiem" wynosiła zaledwie osiem minut. Kapitanowi „Teapinga" udało się wcześniej wezwać holownik i zakotwiczyć w Starym Londynie godzinę przed rywalem. Po długich dyskusjach, kto właściwie wygrał, załogi podzieliły premię na pół.

– Nam się to na pewno nie zdarzy – Numer Jeden nie podarował sobie kolejnej uwagi. – Dawniej ludzie mieli jaja.

– Czego chcesz, ten „Teaping" nie trafi na Bazę za dziewięćdziesiąt dziewięć dni – z drugiej strony rzucił szef inżynier. – W życiu nie widziałem, żeby tak oszczędzano paliwo.

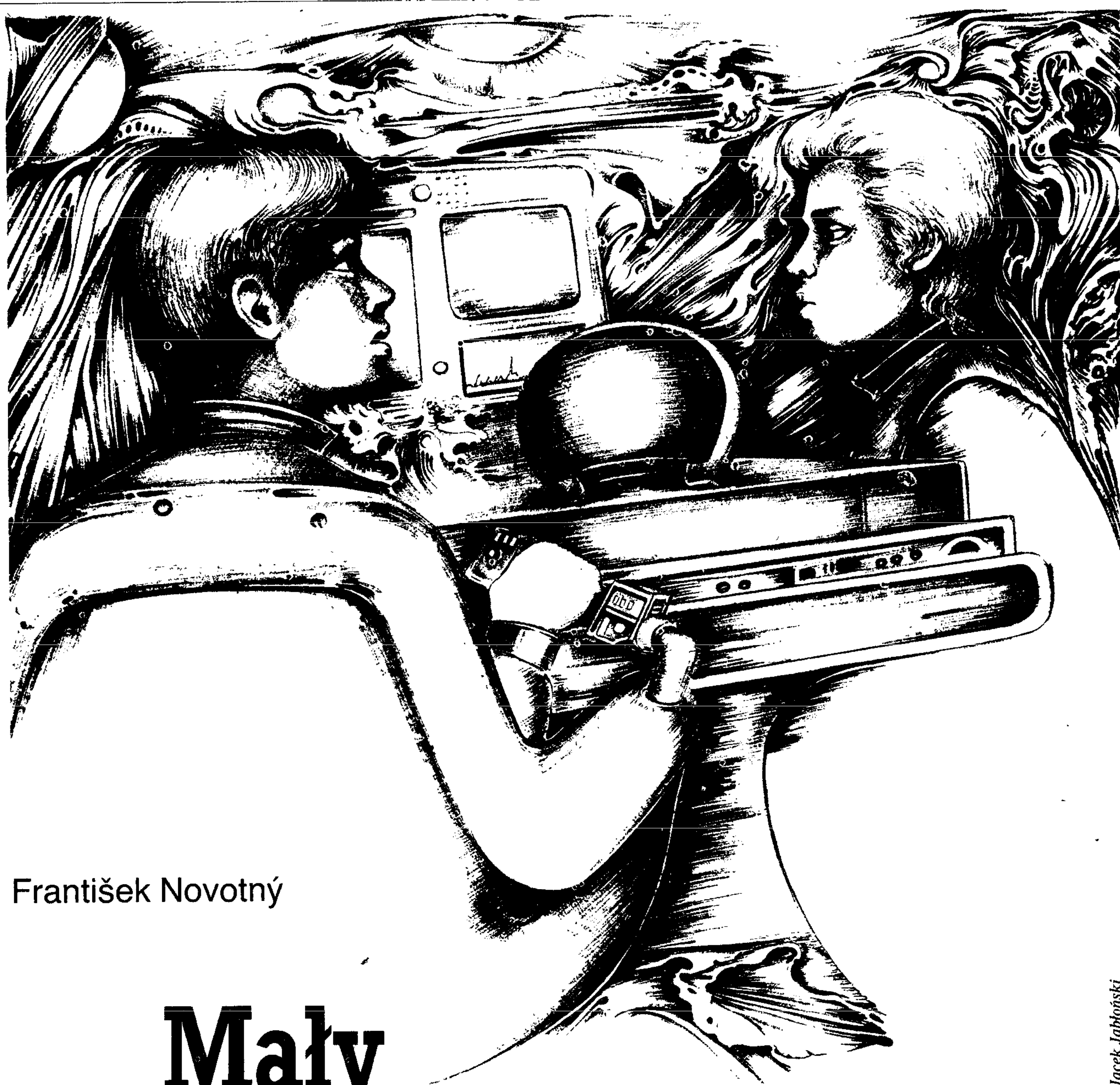
Dziadek groźnie błysnął oczyma.

– Wytrwajcie panowie jeszcze chwilkę, już kończę. Klipry zawdzięczały swoje sukcesy przede wszystkim ludziom, którzy na nich pływali. Wkładali w swoją służbę całą duszę i za punkt honoru stawiali sobie lokatę statku. Doskonale ujmuje to przysłowie tych czasów, czasów, kiedy obok kliprów pojawiły się parowce, ówczesna supertechnika. Przysłowie to mówiło, że na drewnianych żaglowcach służą ludzie z żelaza, a na żelaznych parowcach kutasy z drewna. Mam nadzieję, że przysłowie to posłuży wam jako przykład, oczekuję od was tak samo aktywnego i profesjonalnego traktowania swojej służby, jak ci dawni marynarze. Zresztą – dodał z ironią – przecież na tym „Teapingu" połowa załogi jest z żelaza dosłownie.

O ile miał to być dowcip, chwycił go tylko Chiefy, główny mechanik i inne roboty. Wydały kilka gdaczących dźwięków sygnalizujących stan rozbawienia tak, że z finałowej uwagi pierwszego pilota złapałem tylko końcówkę:

– ...z własnego doświadczenia, może jako Skoczek sam w młodości pływał na tych kliprach. [redacted] den, do drugiego z kolei panie Drugi, używał wyrazów typu prawa i lewa burta, na stołówkę mówił salon, zaś gwiazdy mierzył sekstansem – pierwszym, który widziałem i chyba ostatnim w całym systemie słonecznym – doprowadzając do obłędu pikusia, dręczonego bezustannymi kontrolami obliczeń nawigacyjnych. Zresztą pozostali Skoczkowie też byli trochę zdziwaczali i w sumie nie była to wysoka cena, jaką im przyszło płacić za życie rozbite na kilka epok.

Nie pamiętam dokładnie, która to była nocna wachta – pełniłem te od północy do czwartej – kiedy chłopak pojawił się po raz pierwszy. Żeby sobie trochę rozproszyć nudę, kanał C pikusia zaprogramowałem do czysto prywatnych celów. Część jego pamięci wypełniłem regułami strategicznymi oraz pojęciami z teorii gier i prowadziliśmy bezlitosne bitwy inspirowane drugim konfliktem interstellarnym niszcząc sobie wzajemnie całe flo-



František Novotný

Mały przyjacielu, chcę usłyszeć twój śmiech

(Človičku, chci ještě slyšet tě smát)

tylle kosmicznych krążowników, oczywiście tylko na monitorze. Z obawy przed niespodziewanym nadejściem Dziadka – miał w zwyczaju krzątać się po statku także w nocy – wsuwałem się zawsze w róg sekcji dowodzenia, przy terminalu pomocniczym, który był od włazu odgrodzony szafą sterowania ręcznego.

Byłem całkowicie pochłonięty grą; pikusiowi, któremu ta zabawa pasowała jak ulał, udało się zniszczyć wysuniętą flotyllę moich krążowników.

– Juniorze, juniorze, aleś to spieprzył – syczał zwycięsko (włączyłem syntetyzator mowy) – za późno rozpocząłes atak w nadprzestrzeni. Przy mojej gwieździe bojowej twoje krażowniki nie mają najmniejszej szansy.

Miał rację. Rozpaczliwie manewrowałem eskadrą laserowych myśliwców, żeby zamknąć drog[illegible] żonej floty, kiedy powiew powietrza i nagłe uczucie wewnętrznego chłodu wywołały we mnie wrażenie, że ktoś wchodzi do sekcji. Uderzyłem w klawisz kanału C – a jeśli to Dziadek? – obróciłem fotel i wyjrzałem za szafę sterowania ręcznego.

Właz do sekcji dowodzenia faktycznie był otwarty, a w nim stał jasnowłosy, może ośmioletni drobny chłopiec w ciemnym kombinezonie. Widziałem go tylko przez moment, przypomniało mi to pobyt na Ziemi, kiedy razem z kolegami ze szkoły podczas opóźnionego powrotu z wycieczki zaskoczyła nas w nocy burza. W świetle błyskawic oni też pojawiali mi się tylko na mgnienie oka, jak teraz ten chłopiec. Z jedną różnicą. Tutaj, w sekcji dowodzenia „Teapinga", błysnęło tylko raz.

Zanim wygrzebałem się z fotela i podbiegłem do włazu, chłopiec zniknął. Z powrotem usiadłem, włączyłem Wewnętrzny [illegible] po kolei kontrolowałem pomieszczenia stat-

ku. Wszystko było w porządku, ludzie i roboty byli na swoich miejscach, ci pierwsi odpoczywali w kabinach sekcji mieszkalnej, ci drudzy w sali regeneracyjnej. Robot nadzorca reaktora, jedyna oprócz mnie czuwająca istota, zgłosił mi „normal" – po chłopcu ani śladu.

Pod koniec wachty, zanim przyszedł mnie zmienić Numer Jeden, nagrałem do dziennika: kontrola WSW, poza tym bez zmian. Nie potrafiłem sobie wyobrazić jak wyjaśniam Dziadkowi, że cierpię na halucynacje.

„Teaping" był starym, ponad pięćsetletnim wrakiem, odnowionym na chybcika przed naszym przylotem przez brygady robocze Wrakowiska, które tak jak i my, członkowie Korpusu Kosmonautów, były surowo nadzorowane bezpośrednio przez ziemski rząd, nikomu nie pozostawiający wątpliwości, jak starannie obserwuje posiadaczy licencji K. A poza tym nie można zapomnieć o legendarnym 17 paragrafie Kodeksu Kosmicznego, zakazującym rodzenia i wychowywania dzieci w kosmosie, i jego surowym przestrzeganiu wymuszanym przez ziemski rząd, w którym przewagę ciągle mieli ekonomiści. Skąd więc mógł się tu wziąć ten chłopak?

Następnego dnia, podczas południowej zmiany myślałem o nocnym wydarzeniu i usiłowałem sobie przypomnieć, czego uczyli nas w akademii o halucynacjach. Drugi pilot całkowicie jednoznacznie wytłumaczył sobie moje zamyślenie.

– Nie myśl ciągle o dziewczynach, to bez sensu – obejrzał się stojąc już we włazie – ta twoja piękność już dawno znalazła nowego kadeta.

– Dowcip z brodą – zdążyłem się jeszcze odgryźć, ale resztę mówiłem do zamkniętych drzwi. – Następnym razem wymyśl coś lepszego!

Pikuś nie powitał mnie zbyt przyjaźnie.

– Nie wiem, czy będę jeszcze z tobą grać. Kiedy wygrywam, wyłączasz mnie, tak jak w nocy. To nie fair – monotonnie syczał – poza tym wszystko w porządku, jesteśmy na kursie z ciągiem zero koma dziesięć, zaraz rzucę ci współrzędne na monitor – trwał w swojej służbowej gorliwości – czyli zajmiemy się wynikami testów periodycznych za okres ostatnich czterech godzin. Wprawdzie wszystkie zdane, ale Dziadek będzie bardzo rad, kiedy się dowie, że je kontrolowałeś – zakończył złośliwie.

– Słuchaj, pikuś, nie wyłączyłem cię w nocy umyślnie, myślałem, że idzie Dziadek.

– Wy, ludzie, to zakłamana banda. I zapominalska. A może nie wiesz, że monituję WSW i kiedy go wczoraj sprawdzałeś, Dziadek i wszyscy pozostali byli u siebie? A poza tym rejestruję też otwarcie wszystkich włazów na statku. I w nocy, podczas twojej wachty, do sekcji dowodzenia nikt nie wchodził!

Zrobiło mi się gorąco. Przecież nie tylko ten chłopiec, ta zjawa, ale ja też przechodziłem przez właz, kiedy za nim wybiegłem. A może i to mi się przywidziało?

– Jeżeli przyznasz, że w nocy przegrałeś, mogę z tobą grać dalej – pikuś błędnie wytłumaczył sobie moje milczenie.

Resztę dnia spędziłem w archiwum statku na studiowaniu zapisów dotyczących medycyny kosmicznej. Aż do objęcia nocnej wachty kłębiły mi się w głowie różne teorie powstawania halucynacji i zmian psychicznych zachodzących podczas lotów kosmicznych. W końcu stwierdziłem, że w moim przypadku mógłby to być syndrom ekranowy – stan halucynacji pojawiający się w dotąd nie wyjaśnionych okolicznościach podczas długiego, skoncentrowanego wpatrywania się w monitory. Spodobało mi się zwłaszcza sformułowanie „w dotąd nie wyjaśnionych okolicznościach". A jeśli wystąpiły właśnie w moim przypadku?

Gdy tylko wyszedł drugi pilot i zostałem sam, postanowiłem przeprowadzić niewielki eksperyment. Przez godzinę gapiłem się na monitory a potem z oparcia fotela wyjąłem skafander rezerwowy, znalazłem maskę, którą nosi się pod hełmem, włożyłem ją na głowę i prowadzące z maski kabelki podłączyłem do kontaktu pulpitu na boku fotela. Nie pozostawało nic innego, jak poprosić pikusia o zapis. Zapis funkcji mojego mózgu. Pikuś, wyjątkowo milczący, gorliwie zaspokoił moje życzenie. Bez przerwy patrzyłem na monitory, na których jedna za drugą wyskakiwały kolumny cyfr.

– Co to za bałagan? – rozległo się za moimi plecami. Poderwałem się tak, że aż kabelki z kontaktów powyskakiwały. Za fotelem pierwszego pilota stał Dziadek z niesmakiem wskazując rzucony skafander.

– Co pan tu wyprawia? Po co ta maska na głowie? – podejrzliwie się rozejrzał. – Czemu pokładowy komputer ma włączony syntetyzator mowy? – obszedł fotel pierwszego pilota, podszedł do pulpitu głównego terminalu i nacisnął kilka klawiszy. Pikuś nie tylko oniemiał, ale i ogłuchł. Trzeba Dziadkowi przyznać, że z zasady nie ochrzaniał ludzi w obecności robotów.

– Jeśli jest pan nie w formie, mógł pan poprosić o zastępstwo.

– Nie, pilocie-kapitanie, nic mi nie jest – wreszcie zdobyłem się na odpowiedź – chciałem sobie tylko zrobić encefalogram i sprawdzić niektóre reakcje.

– Takie hocki klocki proszę robić w czasie wolnym. Skafander rezerwowy to nie zabawka! – fuknął i ponownie się rozejrzał. – Proszę to posprzątać – machnął w stronę skafandra i wyszedł. Drzwi bezgłośnie wypełniły przestrzeń włazu. Zostawiłem leżący skafander i szybko wystukałem na klawiaturze kilka symboli. Na ekranie pojawił się równy szereg. No tak. Pikuś nie zarejestrował żadnego użycia włazu do sekcji dowodzenia! Wystukałem kilka kolejnych symboli. Potem wstałem, podszedłem do włazu i kilkakrotnie rozsunąłem i zasunąłem drzwi. Wczoraj po południu, kiedy robiłem podobne doświadczenie, było inaczej. Wczoraj pikuś rejestrował każdy ruch drzwi, jakby mu płacono od sztuki!

Od tej chwili przestałem wierzyć w jakiekolwiek halucynacje i na nocne wachty zacząłem chodzić jak na randki. To była lepsza zabawa niż gry z pikusiem. Chciałem uchwycić tę interesującą zjawę, która tak sprytnie potrafi na cztery godziny w nocy wyłączyć właz sekcji dowodzenia z obwodu centralnego i którą tak ciekawią moje igraszki z komputerem.

Zamierzałem zastawić pułapkę i musiałem odwiedzić Chiefy'ego.

– Czyli panu asystentowi potrzebny jest mikrowłącznik nadawczy i moduł radioprzekaźnika. Dla pana wszystko, na wiernym Chiefy'm zawsze można polegać. Zaraz poślę po to Trójkę – wskazał stojącego pod ścianą robota.

Rozmowy z robotami mają jedną olbrzymią zaletę – one nigdy nie pytają dlaczego. Za to wieczorem pytał Dziadek.

– Asystencie, pan pobrał z magazynu elektroniki jakieś materiały – raczej skonstatował niż spytał, trzymając nad talerzem widelec z nadzianym kęsem.

– Tylko takie drobiazgi – z brzękiem upuściłem nóż. – Chcę...

– Właściwie ma pan rację, z jednym mikrowłącznikiem i przekaźnikiem wiele szkody pan narobić nie może, choćby się pan starał – zaoszczędził mi kłopotów z wyjaśnianiem, co właściwie zamierzam. – Niech się pan bawi, proszę bardzo, ale nie w godzinach służby – dodał miłosiernie i nadziany kęs zniknął w czeluści utworzonej przez potężne szczęki.

Chciałem jeszcze poprosić Chiefy'ego o przenośną kamerę – WSW odpadało, uwadze Dziadka (Bóg wie, jak się dowiedział o mojej wizycie w magazynie) na pewno by nie uszło jego częste uruchamianie i jeszcze byłby skłonny mnie podejrzewać, że wtrącam się w intymność załogi, to znaczy w jego intymność, ale teraz, po tej wypowiedzi, straciłem do tego ochotę.

W ciągu następnego tygodnia podczas wacht nocnych nie zaprzestałem wprawdzie walk z pikusiem, ale zamiast na jego błędy czyhałem na sygnał z przekaźnika oznajmiający, że ktoś rozsuwając drzwi uruchomił włącznik. Komputer bezwstydnie wykorzystywał moją nieuwagę i wygrywał jedną bitwę za drugą. Trzykrotnie doczekałem się sygnału, trzykrotnie nie zareagowałem – im głębiej ten chłopak wsunie głowę w pułapkę, tym łatwiej w nią wpadnie!

Na kolejną wachtę wziąłem ze sobą małe lusterko, wymontowane z kabiny sanitarnej, i przymocowałem je do konsoli nad monitorem, żeby móc zajrzeć za szafę sterowania ręcznego i mieć na oku właz. Nadszedł czas na zaciśnięcie pętli. Starczyło tylko unieść wzrok. Zrobiłem to, kiedy zapalił się sygnał. Był tam!

Drzwi były tylko częściowo rozsunięte, a chłopiec ostrożnie zaglądał do sekcji. Jak za pierwszym razem miał na sobie ciemny kombinezon, skrojony tak samo jak kombinezony członków brygad roboczych z Wrakowiska, a kiedy zrobił krok zauważyłem, że jest boso. Na więcej nie miałem czasu, ponieważ nasze oczy spotkały się w lustrze. Wyskoczyłem z fotela jak katapultowany.

Korytarz centralny, łączący wszystkie sekcje statku, w nocy był oświetlony tylko częściowo i raczej wyczuwałem niż widziałem uciekającego chłopca. Co dwa metry korytarz był na wpół przedzielony wystającymi wręgami konstrukcji wewnętrznej tworząc w bocznych ścianach liczne nisze, leżące w głębokim cieniu. W połowie korytarza chłopiec całkowicie zniknął mi z oczu. Usłyszałem tylko kilka zgrzytliwych dźwięków wydanych

15

Chris Moore





przez metal trący o metal i podwójne brzęknięcie. Dobiegłem do samego końca korytarza i przystanąłem, łapiąc oddech, we włazie sekcji napędowej.

Na spoconym ciele czułem pulsujący oddech klimatyzacji, słyszałem szum wentylatorów, a potem już tylko bicie własnego serca. Jak nigdy wcześniej nagle uzmysłowiłem sobie tę czarną pustkę przyczajoną tuż obok mnie za cienką skorupą pancerza – bezgraniczną i wszechwładną, rozciągającą się od nieskończoności w nieskończoność. Zwaliło się na mnie intensywne wrażenie, że „Teaping" się rozpada, jakby ta czarna pustka tam na zewnątrz pomału zaczęła zżerać statek – już strawiła pancerz zewnętrzny, już połknęła grodzie awaryjne, płytę po płycie wchłonęła pancerz wewnętrzny, pokład po pokładzie wessała pomieszczenia wewnętrzne a teraz – teraz kolej na mnie...

Objąłem palcami ściankę najbliższej wręgi i przytuliłem się do niej. Konstrukcja przenosiła delikatną wibrację pomp chłodzenia reaktora. Ta oznaka życia przyniosła uspokojenie. Znudziła mnie ta gra w policjantów i złodziei. Najlepiej zrobię mówiąc o wszystkim Dziadkowi. W końcu jest pilotem-kapitanem, niech się martwi, niech sobie sprawdza, kto w nocy szwenda się po jego statku i gdzieś za orbitą Neptuna robi z niego przedszkole. Powoli zacząłem wracać korytarzem...

– Aha, pan asystent wyszedł na spacerek, pan asystent nie może usiedzieć w miejscu – na dźwięk tego głosu zesztywniałem. – Pan asystent ma w nosie przepisy – z cienia niszy wyszedł Dziadek – czy może pan asystent jest lunatykiem?

Zdobyłem się tylko na pokręcenie głową.

– Człowieku, czy panu w ogóle można zaufać? Zawsze, kiedy pana spotykam, robi pan coś innego niż powinien. Gdyby to się miało powtórzyć jeszcze raz, pozbawię pana obowiązków członka załogi i zrobię zwykłą porcelanę – Dziadek zszedł o kilka decybeli. – Zapis w dzienniku pana nie minie! Ponieważ zachowuje się pan jak dzieciak, ma pan pięć dni stewarda, jak kadet. A teraz spływaj – warknął na zakończenie.

Pomaszerowałem do sekcji dowodzenia. Mam gdzieś przeklętego Dziadka, cały ten pieprzony „Teaping", tę przerdzewiałą łajbę wygrzebaną gdzieś ze złomu, o której paru jajogłowych ekonomistów myśli, że wyciągnie ich z kabały. Niech się Dziadek wypcha razem z tą swoją kretyńską odznaką – szmaragdowym skoczkiem – którą nosi wpiętą w kombinezon. Niech mu nie jeden, a cała banda pętaków rozbiera statek pod nosem! Jeszcze tego brakowało, żebym mu coś meldował!!!

Następnego ranka rozpocząłem odbywanie kary usługując przy śniadaniu. Byłem niewyspany i zadowolone twarze kolegów z energicznie pracującymi szczękami działały mi na nerwy. Poza tym nie mogli pominąć tak wspaniałego tematu do rozmowy, przyjemnego wyrwania z monotonii długiej podróży – mojej funkcji. Drugi pilot przywołał mnie skinięciem i obserwował, jak mu nalewam kawę.

– Całkiem zgrabnie mu to wychodzi, a jeśli będzie nas obsługiwać dłużej – tu rzucił w stronę Dziadka badawcze spojrzenie – proponowałbym sprawić mu czarną sukienkę i biały fartuszek. Brakuje nam kobiecego elementu.

– No, gdyby się trochę wypchał i włożył na włosy opaskę – główny mechanik odłożył łyżeczkę i omiótł mnie spojrzeniem – wyglądałby identycznie jak te sexy kelnereczki, które obsługują ekonomistyczne fisze w tej ich rządowej szalupie, kiedy czasami przylatują na nas popatrzeć.

– Panie Drugi, pańskie propozycje są może śmieszne, ale o ile mi wiadomo, ma pan wachtę, którą pełni za pana Numer Pierwszy tylko po to, żeby pan mógł zjeść śniadanie, a nie popisywać się ostrością języka. A może chce się pan przyłączyć do asystenta? Może ta sukieneczka lepiej by leżała na panu? – Dziadek odsunął pusty talerz. – A panu, główny mechaniku, radzę myśleć nie o kelnereczkach, a o pańskich żelaznych chłopcach. Byłem w magazynie na lewej burcie i zamiast porządku zastałem bajzel – zakończył i debatę, i śniadanie.

Reszta dnia była tak samo nieprzyjemna, jak początek. Był to bowiem dzień profilaktyki, kolejny wymysł Dziadka. Nie wystarczało mu, że każde trochę istotniejsze urządzenie na statku bezustanne automatycznie testuje się samo, kontrolując swoje działanie. Każdy członek załogi, według specjalnej listy, raz w tygodniu w określonym dniu musiał osobiście przejrzeć określony agregat.

Na mnie tego dnia przypadała kontrola systemu orientacji w przestrzeni. System mieścił się w sekcji dowodzenia na górnym, maszynowym piętrze. Drugi pilot, już na wachcie, z zainteresowaniem obserwował, jak się tam wciskam przez wąski świetlik.

– No, młody, tam na górze to nie sala taneczna. Żeby się zmieścić, najlepiej złożyć się na trzy części. To nie taka zabawa jak przed tygodniem, kiedy pomagałeś inżynierowi zagnać roboty na defiladę.

Tak się mówiło na testowanie robotów na specjalnym urządzeniu diagnostycznym, które mierzyło szybkość reakcji, koordynację ruchową i sprawdzało, czy stopień inteligencji odpowiada normie. Roboty nie lubiły przeglądów, chowały się i szukały przeróżnych pretekstów, byleby się wymigać. Ale mieliśmy uciechę, zanim odszukaliśmy je wszystkie, powyciągali z różnych schowków i zmusili do poddania się diagnostyce. A najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że po teście każdy z robotów zaprzysięgał inżyniera, że nie zdradzi jego wyników reszcie.

Właśnie czyściłem optykę, kiedy pod nogami drgnęła pokrywa świetlika a w szparze błysnęły oczy drugiego pilota.

– Dzwonił Dziadek, wszyscy mają się zebrać w salonie. Coś go przypiliło, bo mnie też wezwał, mam wszystko zostawić pikusiowi.

Złożenie optyki zajęło mi trochę czasu i do salonu dotarłem jako ostatni. Byli już wszyscy, a nawet o jednego więcej! Na taborecie obok Dziadka z jawną bezczelnością siedział ten chłopak! Gapiłem się na niego, a po głowie w kółko krążyła mi jedna myśl – czy jeszcze jest boso. Dziadek w milczeniu wskazał mi wolny taboret; osunąłem się na niego, próbując ogarnąć rozumem, co się właściwie dzieje.

– ...przyprowadziły go dzikie roboty, panie, te, co włóczą się po Wrakowisku – powoli zaczął do mnie docierać sens słów Chiefy'ego, który stał za biurkiem na wprost Dziadka – co mogliśmy zrobić, panie, powiedzieli, że to jest mały człowiek i nazywa się Boy i że musimy go przeszmuglować na Ziemię, bo jego miejsce jest wśród ludzi, tak powiedzieli, panie, a potem powiedzieli, że jak go wydamy, to źle z nim będzie, i z nami też, to chyba przez ten paragraf siedemnaście. No tośmy go schowali i zrobili mu takie posłanie, między płaszczami przy głównej przegrodzie, niektóre płyty roznitowaliśmy, żeby mu nosić jedzenie, no i wleźć do niego, jakby mu było smutno. Ale on chciał se pochodzić, no tośmy przebili niektóre przegrody w szybie inżynieryjnym, żeby mógł przeleźć na korytarz centralny, wie pan, tam też zrobiliśmy rozsuwane płyty...

– Czemu nie wykrył pan na defiladzie żadnych zmian w rytmach fi? – zwrócił się Dziadek do głównego mechanika.

– O tym też żeśmy pomyśleli – Chiefy nie dał odebrać sobie głosu – myśmy tę maszynkę do tortur rozstroili, żeby się nie wydało, i na defiladach żeśmy się już nie bali i robiliśmy te, no, testy, tylko tak na oko, żeby nikt się nie poznał. – Chiefy, którego dusza robota z powodu pasażera na gapę musiała cierpieć niewysłowione męki, szczęśliwy, że wreszcie zrzucił z karku ten ciężar, trajkotał jak katarynka. – Taki mały człowiek jest, za przeproszeniem, panie, ciekawszy niż świeżo zaprogramowany robot. Zaczął się za bardzo włóczyć po statku no i baliśmy się, że go zobaczą. No i klapa – tu spojrzał na mnie – cały spisek na nic, on ciągle chciał, żeby ktoś się z nim bawił i ciurkiem o wszystko pytał. Baliśmy się, co zrobicie, jak się o nim dowiecie. My wiemy, że nas przestroicie, ale co zrobicie z Boyem, panie?

– Będę mieszkał z nim i będziemy się razem bawić – chłopiec wskazał na mnie – Dziadek mi to obiecał.

Pilot-kapitan nie reagując nawet na uwagę chłopca – nikt z nas przy nim nie odważyłby się użyć jego przezwiska – zwrócił się do robota:

– Chiefy, weźmiesz teraz chłopca i zakwaterujesz go w kabinie asystenta...

– Dlaczego, przecież mamy... – zaczął Numer Jeden, ale pilot-kapitan nie pozwolił mu dokończyć.

– ...i tak są tam dwie koje, więc zatroszcz się, żeby mu było wygodnie. A o to, co z nim będzie dalej, nie musisz się martwić, pomyśl raczej o najbliższej defiladzie. Teraz odprowadź chłopca!

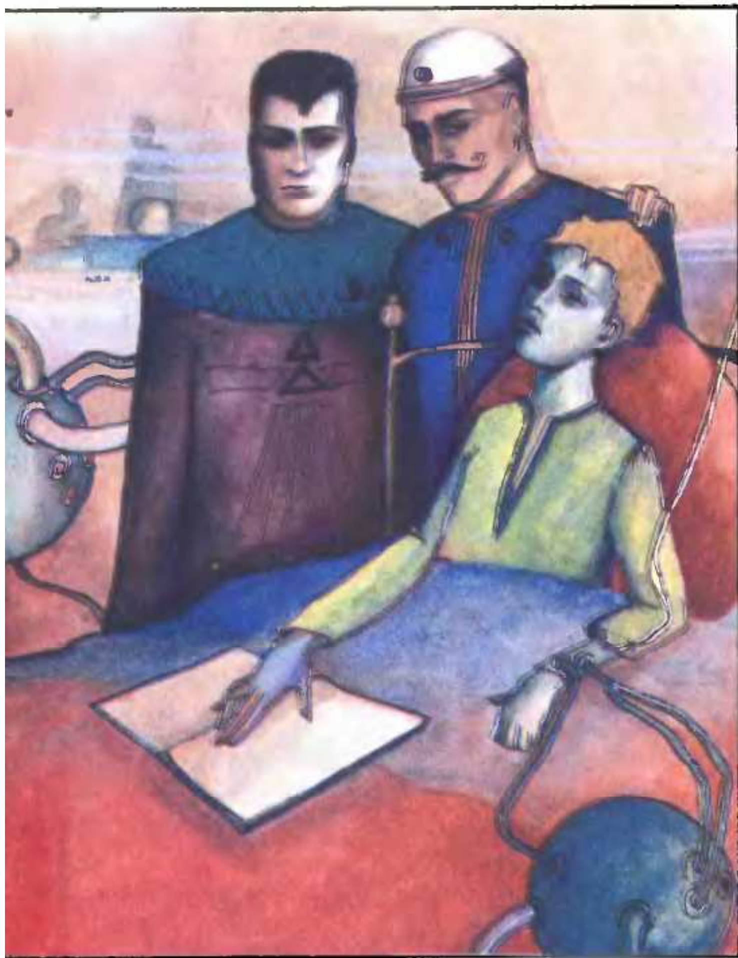
Dziadek odczekał, aż za dużą i małą postacią zasunie się właz.

– Tak, a my tu w spokoju zajmiemy się całą sprawą. Przede wszystkim panu, główny mechaniku, muszę powiedzieć, że jestem nadzwyczaj niezadowolony z efektów pańskiej działalności. Roboty stroją sobie z pana kpiny jak w jakiejś farsie! Mam nadzieję, że w krótkim czasie zrobi pan z tym porządek. Oczekuję od pana meldunku, które roboty były wtajemniczone w przemyt i ich starannego badania mentalnego. Nie chcę mieć na pokładzie żadnych blaszanych spiskowców. A teraz pan, panie Drugi, podczas załadunku pan sprawował kontrolę i jako administrator ładunku wspólnie ze mną odpowiada pan za to, co sta-

tek transportuje. Jestem ciekaw, jestem naprawdę ciekaw, jak po lądowaniu na Bazie będziemy tłumaczyć oficerom KOPO, że mamy na pokładzie pasażera na gapę, a w dodatku dziecko!

Dziadek umilkł. Spojrzeliśmy na siebie i znów szybko uciekliśmy oczyma. Kosmiczna Policja, w skrócie KOPO, nie cieszyła się dobrą sławą. Co zrobią, albo raczej co mogą zrobić, kiedy odkryją obecność chłopca na statku, czyli naruszenie kilku najważniejszych paragrafów Kodeksu Kosmicznego na raz, z siedemnastym na czele? Sądziliby nas na Ziemi, czy przekazali Korpusowi? W przeszłości miały miejsce oba przypadki.

Istnienie chłopca nabrało nagle nowego, groźnego wymiaru. Paragraf siedemnaście w niektórych wypadkach mógł być traktowany jako zdrada Ziemi. Uzmysłowiłem sobie, że mój pierwszy lot mógł być ostatnim. Pozostali zapewne myśleli tak samo.



Monika Grycko

– Przeklęty chłopak – huknął pierwszy pilot. – Nie mógł poczekać na inny frachtowiec?

– A może lepiej by było – niezręcznie zaczął drugi pilot ze spojrzeniem wbitym w Dziadka – nic nie meldować, a kiedy wyładujemy transport na Bazie, przemycić chłopca do nas, na Marsa, do Viking City? Skoro w tej kryjówce nie znaleźliśmy go my, kopowcy też go nie znajdą.

Dziadek krótko skinął głową.

– To nie taki zły pomysł, panie Drugi, ale ma jeden haczyk. Nie mamy pewności, że zostaniemy na „Teapingu". A jeśli zostawią go w Bazie, a nas przeniosą na inny statek? Poza tym to niezłe, zupełnie niezłe – znowu krótko skinął – powiedziałbym, że jeśli zostaniemy na „Teapingu", to jedyne rozwiązanie.

– Kapitanie, chyba nie mówi pan poważnie! – wybuchnął pierwszy pilot. – Jeśli to nie wypali, nie pomoże nam nawet Korpus, a na Ziemi przypną nam dodatkowo próbę nielegalnego wychowywania, rozumie pan, umyślną próbę, a dobrze pan wie, że za to grozi coś gorszego niż dożywotnie pudło!

– Ma pan może lepszy pomysł, Numer Jeden? Chce pan podsunąć im chłopca prosto pod nos? Słuchajcie – rozejrzał się wokół – przed nami jeszcze spory kawałek drogi i nie ma sensu podniecać się zawczasu. Zdecydujemy się w zależności od informacji z Bazy, co z nami chcą zrobić po lądowaniu. Nikogo do niczego nie będę zmuszał – Dziadek ponownie spojrzał na pierwszego pilota.

– Nikt nie musi mnie zmuszać – zaczerwienił się pierwszy – jeśli wchodzicie w to wy, ja też wchodzę.

Główny mechanik położył rękę na ramieniu pilota w uspokajającym geście.

– Nikt w to nie wątpi, pilot-kapitan chciał tylko powiedzieć, że zdecydujemy wspólnie. Jak pan złapał tego chłopaka? – o to pytał już Dziadka, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Mały książę sam do mnie przyszedł – Dziadek lekko się uśmiechnął. – Bał się o swojego przyjaciela, o naszego juniora. Słyszał, jak w nocy po tej jego nieudanej pogoni nacieram mu uszu. Nie wiem, dlaczego upodobał sobie właśnie pana – zerknął na mnie – chyba dlatego, że pan w zasadzie też jeszcze jest dzieckiem.

Nie zdążyłem się nawet obruszyć, a już kontynuował:

– Przed zwołaniem zebrania trochę chłopaka wyspowiadałem. Jak pamięcią sięga, opiekowały się nim dzikie roboty, z którymi wędrował po Wrakowisku. Skąd się tam wziął – nie wie. Mam nadzieję, że pomożecie mi trochę ucywilizować małego księcia. Ma godne podziwu wiadomości na temat budowy statków kosmicznych i robotów, ale to wszystko. Dlatego uważam za niezmiernie istotne, i to jest zarazem odpowiedź na pańskie, Numer Jeden, pytanie, żeby ten mały człowiek mógł znowu zaadaptować się między ludźmi i dlatego chcę, żeby mieszkał, a więc również żył, w czyimś towarzystwie. Samotności, ludzkiej samotności, miał już chyba za wiele.

Pilot-kapitan wstał.

– Anuluję panu tę karę – rzucił przechodząc obok mnie.

Wraz z przyjściem małego księcia, jak z uporem nazywał Boya Dziadek, coś na statku uległo zmianie. Główny mechanik, pierwszy i drugi pilot, a przede wszystkim Dziadek nie byli już dla mnie chwilowymi współpracownikami, z którymi połączył mnie tylko przypadek, stali się, jak ze zdumieniem to sobie uświadomiłem, ludźmi, do których istnienie chłopca przywiązało mnie na zawsze. Raptem z chłodem w sercu dotarło do mnie, że w przypadku niepowodzenia naszego planu przywiązanie to mogłoby się stać dosłowne – na przymusowych pracach przy budowie orbitalnych elektrowni słonecznych!

Już nie mogliśmy ot tak, zwyczajnie, mówić do siebie „dzień dobry" podczas mijania się na korytarzu „Teapinga", albo „smacznego" podczas wspólnych posiłków, nie mogliśmy kontaktów między sobą ograniczać tylko do żartów i frazesów używanych już przez generacje kosmonautów przed nami.

Na szczęście przyczyna tego wszystkiego, mały książę, nadał życiu na statku nowy sens, ofiarowując nam w ten sposób rozwiązanie. Byliśmy pierwszymi ludźmi, z którymi mógł się porozumiewać. Chociaż mieszkał ze mną, czyli ja pierwszy padałem ofiarą, pozostali nie byli w lepszej sytuacji. O każdej godzinie w ciągu dnia, a na początku, dopóki Dziadek go nie ustawił, również nocy, nikt nie mógł być pewien, kiedy niespodziewanie wejdzie do jego kabiny, gotowy zadawać dziesiątki pytań i ze stosem odpowiedzi śpieszyć do sąsiednich drzwi znów z następnymi pytaniami, zrodzonymi na podstawie poprzednich odpowiedzi. Tymi pytaniami zmusił nas do spojrzenia na świat jego oczyma, na świat, gdzie nie było miejsca dla obojętnych ludzi, dla pustelników zamkniętych w jaskiniach swoich wyuczonych zawodów.

W kabinie Dziadka, którego najczęściej indagował, odkrył kolekcję prawdziwych książek, które Dziadek, jak sam się przyznał, ciągnął ze sobą po wszystkich statkach kosmicznych, na których służył.

Jedną z tych książek Boy otrzymał w prezencie. Bardzo mu się spodobała. Nic dziwnego – była o nim.

– Popatrz – przybiegł do mnie na południową wachtę – Dziadek podarował mi książkę. Podobno jest o mnie i to dlatego nazywa mnie małym księciem. Przeczytałem już połowę, ale tam jest mnóstwo słów, których nie rozumiem. Nie wiesz, co to baobab? Roboty mi kiedyś opowiadały, że na Ziemi są takie rzeczy, czasami kolorowe, czasami tylko zielone, co wystają z ziemi. Myślisz, że to któraś z tych rzeczy?

Książka naprawdę była zatytułowana „Mały Książę", miała ilustracje i, jak się zorientowałem podczas przeglądania, jej bohaterem był mały chłopiec, który trafił na Ziemię z jakiejś małej planety. Oddałem książkę Boyowi.

– Wiele ci nie pomogę. U nas na Marsie mamy wprawdzie szklarnie z roślinami, ale nigdy nie słyszałem o baobabach. A kiedy jako mały chłopiec chodziłem na Ziemi do szkoły, widziałem tam lasy, ale to były same świerki albo sosny, no i kosodrzewina.

– To jeszcze nic, ale w tej książce występuje król, latarnik, geograf i – poczekaj, o tutaj – takie dziwne słowo, bankier, nie

☞

Chris Moore



wiesz, co to za jeden? No i są tu błędy. Popatrz, tutaj. Czy taka mała planeta mogłaby utrzymać atmosferę? Gdzie ten chłopiec na obrazku ma skafander? To ja, kiedy żyłem z robotami na Wrakowisku, zawsze miałem pod ręką skafander, wiesz, w razie dehermetyzacji, a kiedy musieliśmy się przeprowadzać z jednego wraka do drugiego, właziłem do skafandra i roboty mnie przenosiły – Boy przerzucił kilka kartek. – I nic tu nie ma o grawitacji, przecież ten chłopiec by się na takiej planecie nie utrzymał. To dla mnie Tata z Mamą wyszukiwali tylko wraki statków międzygwiezdnych z pokładami z płyt grawitacyjnych, wiesz, tak samo, jak tutaj.

Wiedziałem. Również Teaping, którego kadłub był pierwotnie przeznaczony na statek międzygwiezdny, a potem, kiedy z przyczyn oszczędnościowych ograniczono loty międzygwiezdne, przerobiono go na zwykły międzyplanetarny frachtowiec o przestarzałym napędzie typu reaktorowego, miał podłogi i stropy pomieszczeń mieszkalnych i służbowych wyłożone grawitanowymi płytami, tworzącymi kondensator Arvina generujący pole grawitacyjne już samym swoim rozmieszczeniem. Dzisiaj już nikt się nie dowie, jak olbrzymie ilości energii zużyto do produkcji tych płyt, ponieważ znajomość technologii, wynik badań czarnych dziur, zanikła wraz z Supercywilizacją.

Ale zainteresowała mnie inna sprawa.

– Słuchaj, Boy, ty miałeś tatę i mamę?

– No miałem, wiesz, to były dwa roboty, które się mną najczęściej zajmowały, odkąd pamiętam. Nauczyły mnie, żeby tak do nich mówić i one przy mnie tak do siebie mówiły. Wiesz, Mama był dla mnie bardzo dobry, i inne roboty musiały go namawiać, żeby mi pozwolił odlecieć z „Teapingiem". Ale ty mi nic nie powiedziałeś o ludziach z tej książki. Jak myślisz, może pikuś coś wie?

Odesłałem go do Dziadka, który chyba wyciągnął z tych pytań pedagogiczne wnioski, bo wieczorem uzgadniał z pierwszym pilotem ułożenie programu nauczania – chcieli wykorzystać któryś z wolnych kanałów pikusia.

– Już najwyższy czas zacząć systematyczną naukę tego chłopaka – zauważył główny mechanik. – Ciągle o coś pyta i truje.

– Akurat ty nie możesz narzekać – uśmiechnął się pierwszy pilot drapiąc się końcówką pisaka w brodę. – Ciebie nie ma o co pytać. Na statkach kosmicznych i robotach zna się dziesięć razy lepiej od ciebie.

– Ale pyta, pyta przede wszystkim o Ziemię i o ludzi, jak tam żyją. I jak mu mam wytłumaczyć, że właściwie nie wiem, bo jeśli mnie tam puszczają, to najwyżej do Strefy, gdzię znowu spotykam tylko takich kosmonautów na urlopie, jak ja sam, albo najwyżej paru kopowców? I co, mam mu powiedzieć, że dla normalnych Ziemian ciągle jesteśmy zdegenerowanymi, niebezpiecznymi mutantami i kacerzami, których powinno się na poczekaniu linczować? Ciekawi mnie, jak to włączycie do programu!

Pochyliłem głowę. Ten temat, stosunku między kosmonautami a Ziemianami, którzy przez ostatnie trzy wieki byli przez panujący na Ziemi Zakon Ekonomiczny wychowywani w nienawiści do kosmonautyki jej właśnie przypisując katastrofalny stan Ziemi i którzy na członków Korpusu patrzyli dokładnie tak, jak to opisał inżynier, na pokładach statków kosmicznych nie należał do popularnych.

To prawda, że dwanaście lat temu pod naciskiem konieczności ekonomicznej członkowie kierownictwa Zakonu E i rządu musieli ogłosić Wielką Amnestię i anulować obejmującą kacerzy i ich potomków, no i oczywiście Skoczków, kosmonautów z przeszłości, karę dożywotniej deportacji, zlikwidować karne kolonie na Marsie i zezwolić na oficjalne rekonstytuowanie Korpusu. To prawda, Zakon odszedł od twardej linii, ale w ciągu dwunastu lat nieprzychylny stosunek Ziemian nie uległ zbyt wielkim zmianom i nawet nie próbowano go zmieniać.

Wiedziałem o tym aż za dobrze. Osiem lat temu podczas pogromu zabito moich rodziców, kiedy jechali odwiedzić mnie w szkole zakonnej, gdzie umieszczono mnie na reedukację.

– Kapitanie-pilocie, proszę słuchać, pan wie lepiej ode mnie – mechanikowi temat najwyraźniej nie dawał spokoju – że w czasach najcięższych prześladowań ekonomiści nie obeszli się bez kosmonautyki i gdyby nie pozostałości techniki Supercywilizacji, odnowa Ziemi zakończyłaby się fiaskiem. A co dostaliśmy w zamian? Tylko nienawiść! Weźmy nasz ładunek. Co wiezie „Teaping"? Tysiąc starych robotów z Wrakowiska! Jak je przywieziemy na Ziemię, to ekonomiści będą się chwalić, że udało im się podnieść moce produkcyjne Ziemi, a na nas – na nas będą pluć dalej!

– Skąd pan wie, że na nas plują? A nawet jeśli tak, musimy dalej robić swoje. Nie pozostaje nam nic innego, i pan wie równie dobrze jak ja, że za parę dni pobytu na Ziemi, za kilkugodzinny spacer po lesie, za kilka minut kąpieli w rzece, za łyk ziemskiego powietrza, nawet w tej zakurzonej Strefie, każdy z nas jest gotów oddać wszystko!

Przez chwilę trwała cisza.

– Zafajdane życie – wycedził główny mechanik przez zęby, niezgrabnie wstał, a kiedy rozsunęły się drzwi na korytarz, przecisnął się przez nie z odwróconą twarzą.

– Nie musiał mu pan tego mówić tak prosto z mostu – pierwszy pilot przeniósł spojrzenie z już zamkniętego włazu na pilota-kapitana.

– Wiem, że najgorsze jest to, że ma rację – burknął Dziadek – i nie wiem, czy potrafimy opowiedzieć o tym chłopcu!

Parę tygodni później przypomniałem sobie jego słowa. Czekałem na małego księcia w kabinie – umówiliśmy się, że stoczymy kolejną bitwę kosmiczną, monitor był już włączony. Kiedy wszedł, skierował się do swojej koi i z szafki w zagłówku wyjął książeczkę od Dziadka.

– Dzisiaj pikuś mi mówił o zwierzętach i już wiem, co to były słonie, boa i baranki – siedział na koi i przerzucał kartki – lisy i żmije. Czy to prawda, że jak umrzesz, wrócisz tam, gdzie się urodziłeś? Tak mówi żmija w książeczce. Gdzie ja wrócę?

Milczałem.

– Mały Książę wrócił na swoją planetę – ciągnął Boy – ale ja nie chcę wracać na Wrakowisko. Bardziej mi się podoba tutaj.

– O czym ty mówisz – z trudem wymyślałem odpowiedź. – Jesteś jeszcze małym chłopcem i masz przed sobą całe życie. Przecież Dziadek ci mówił, że polecisz z nami na Marsa, a kiedy skończysz szkołę, będziesz pilotem tak jak ja, a potem pilotem kapitanem statku kosmicznego. Polecisz do gwiazd, jak kiedyś latał Dziadek.

– Dlatego ma ten znaczek?

– Tak. Wiesz, ten znaczek wyobraża takie zwierzątko, mówi się na nie skoczek, bo długo czai się na jednym miejscu, a potem nagle skacze gdzieś zupełnie indziej. Dlatego dawni kosmonauci, którzy wrócili do naszych czasów, wybrali go sobie na swój symbol. Pikuś powie ci o tych zwierzątkach więcej.

– A jak polecę do gwiazd, będzie o mnie ktoś myślał? Wiesz, w książce ten pilot stale myśli o Małym Księciu, nawet po pożegnaniu. O mnie na razie nie myślało dużo ludzi, tylko ty i Dziadek, i inni na „Teapingu". Kiedy myśli o tobie robot, to nie jest to. Wiesz, tutaj lis mówi – poszukał w książce – najważniejsze jest stworzyć więzy. A z robotami to niemożliwe. No powiedz, jak można stworzyć więzy z kimś, kto z góry jest związany?

– Chyba nie można – przyznałem – ale sam powiedziałeś, że my o tobie myślimy...

– Ale lis mówi też – przerwał mi – że nie starczy tylko o kimś myśleć, trzeba się jeszcze z kimś wzajemnie potrzebować. A ja nie wiem, czy ty i Dziadek, i inni mnie potrzebujecie – wyczekująco na mnie spojrzał.

– Oczywiście, że cię potrzebujemy, Dziadek cię potrzebuje, żeby móc z tobą czytać książki, drugi pilot cię potrzebuje, żeby móc z tobą rysować, ja cię potrzebuję – zawahałem się – żeby mi nie było smutno, po prostu wszyscy cię potrzebujemy, żeby mieć z kim sobie porozmawiać.

– Cieszę się. Ale ja i tak chciałbym najpierw żyć na Ziemi. Dlaczego tam nie ma szkoły dla kosmonautów?

Znowu wymyśliłem wymijającą odpowiedź.

– Wiesz, na Marsie jest mniejsze ciążenie, prawie nie ma atmosfery i łatwiej się tam nauczyć manewrowania statkami kosmicznymi – wymigiwałem się. – Gdyby na Ziemi jakiś uczeń popełnił błąd, mogłoby być niebezpiecznie.

– Tak, wiem, na Ziemi żyje straszne mnóstwo ludzi, pikuś mi mówił, że pięćset milionów, i wiesz, to mnie bardzo martwi. My tu na „Teapingu" potrzebujemy się wzajemnie – sam przed chwilą tak mówiłeś – przeniósł spojrzenie z książki na mnie a ja przytaknąłem – wiesz, lis by powiedział, że jesteśmy oswojeni. Ale nie wiem, jak to będzie z innymi ludźmi, to znaczy z ludźmi na Ziemi, czy oni też będą mnie potrzebować. No i to mnie martwi. Jak ja sobie oswoję pięćset milionów ludzi...

Jak miałem mu odpowiedzieć? Może miałem mu powiedzieć, że od śmierci rodziców udało mi się „oswoić" jeszcze mniej ludzi niż jemu? Albo, że jedyna jego i nasza nadzieja leży w tym, żeby ludzie, których tak bardzo chce sobie „oswoić", w ogóle się nie dowiedzieli o jego istnieniu? Że swobodne łażenie po Ziemi i „oswajanie" sobie ludzi jest dla nas nieosiągalnym marzeniem, a dla niego całkowitą niemożliwością? Przypomniałem sobie,



Jacek Jabłoński

jak mój ojciec kończył podobne rozmowy ze mną i użyłem tej samej metody.

– Już późno. Musimy iść na kolację, dziś jest wcześniej. Dziadek będzie nam wyświetlać wideo ze swoich zbiorów.

Mieliśmy bowiem zwyczaj zostawać po kolacji w salonie i oglądać zapisy wideo, które dla nas, a właściwie dla małego księcia, wybierał Dziadek ze swojej kolekcji.

Tego wieczora wyświetlał nam bardzo stary zapis czegoś, co nazywał groteskami. Wszyscy śmialiśmy się z komicznego małego faceta w za dużych rozczłapanych butach i dziwnym kapeluszu na głowie. Czasami Dziadek przerywał projekcję, żeby pomóc nam zorientować się w realiach Pierwszej Cywilizacji, w kórych ten śmieszny facet na ekranie odnosił swoje śmieszne zwycięstwa nad tępymi przeciwnikami, zwycięstwa, które podejrzanie często zamiast sukcesu przynosiły tylko osamotnienie włóczęgi na pustej ulicy.

– Czemu się śmiejecie – w nasz śmiech wdarł się płaczliwie załamujący się głosik – czemu się z niego śmiejecie? – i mały książę rzucił się do włazu wyjściowego. Ledwo drzwi się trochę rozsunęły, już przecisnął się na główny korytarz. Główny mechanik nie zdążył nawet zapalić światła, kiedy rozdarły się syreny alarmowe, a przez ich świdrujące wycie przebijał się monotonny głos pikusia:

– Alarm żółty, alarm żółty...

Potem górne światła mrugnęły i definitywnie zgasły, ustępując oświetleniu awaryjnemu. Zarazem głos pikusia w głośnikach wskoczył na wyższą tonację:

– Alarm czerwony, alarm czerwony...

Zaraz umilkł i rozległ się głos pierwszego pilota:

– Sekcja dowodzenia do pilota-kapitana, sekcja dowodzenia do pilota-kapitana. Pożar na korytarzu obwodowym prymarnej komory reaktora, sieć energetyczna nie działa. Połączenie z sekcją napędową przerwane. Reaktor wyłączony, informacja nie potwierdzona. Klimatyzacja i pikuś jadą na trzeciej rezerwie. Włączam...

Dziadek rzucił się do terminalu.

– Numer Jeden, przekaż sterowanie na terminale sekcji mieszkalnej, słyszysz, na terminale sekcji mieszkalnej!

Główny mechanik podbiegł do włazu. Był zamknięty. Był zablokowany!

Dziadek wymyślił całą teorię powstawania awarii. Twierdził, że awaria w pełni rozwinięta, prowadząca do zagrożenia lub nawet do zniszczenia istnień ludzkich powstaje jako efekt jednoczesnego działania kilku, jak je nazywał, czynników awariotwórczych. Twierdził, że dla rozwiniętej awarii typowe jest właśnie zsynchronizowanie kilku czynników – ich efekt kulminacyjny. O ile wystąpi tylko jeden albo kilka czynników, ale bez efektu kulminacyjnego, dochodzi do awarii ograniczonej lub niewinnego uszkodzenia, które nierzadko nie jest nawet warte wpisania do dziennika pokładowego.

Czynniki awariotwórcze dzielił na czynniki o charakterze technicznym i na czynniki o charakterze ludzkim. Do tych pierwszych zaliczał uszkodzenia czy zawodność różnych agregatów w wyniku zużycia lub wad podzespołów, przy czym kładł tu nacisk na skłonność do reakcji łańcuchowej, na regułę, że defekt jednego urządzenia prowadzi do uszkodzenia kolejnego, który z kolei spowoduje usterkę w jeszcze następnym i tak dalej. Do tych drugich zaliczał błędne decyzje członków załogi, naruszenie przepisów obsługi lub ich niekonsekwentne przestrzeganie, niedokładną kontrolę i niedostateczną czujność.

Twierdził, że przeoczenie drobnych usterek w eksploatacji jest tak samo karygodne, jak ślepa ufność w automatyczne systemy sterowania. Twierdził, że roboty wszystkich typów myślą powoli i nie są zdolne do genialnych skrótów, twierdził, że brakuje im tego instynktu, który wypracował sobie człowiek przez tysiąclecia obsługiwania maszyn i który w wielu wypadkach stanowi różnicę między katastrofą a powodzeniem.

Poza tym twierdził, że dla awarii rozwiniętych, prowadzących do katastrof, jest charakterystyczne jednoczesne działanie obu typów czynników, czyli uszkodzenie techniczne skombinowane z błędem ludzkim. Ponieważ nie można bezpośrednio wpłynąć na korelację między czynnikami, jedyna droga do obniżenia ryzyka wystąpienia awarii prowadzi przez ograniczenie występowania poszczególnych czynników. Tak Dziadek uzasadniał swoje pedantyczne czepianie się przepisów i kontroli profilaktycznych.

Awaria „Teapinga" przyznała Dziadkowi rację. Rację gorzką zwłaszcza dla niego.

W momencie, kiedy mały książę przechodził przez właz do sekcji mieszkalnej, dwieście metrów dalej rozsunęły się inne drzwi. Robot nadzorca reaktora, przywołany przez sygnał alarmowy czujnika temperatury, właśnie przekraczał próg komory 16B, kiedy uszkodzony przewód chłodzący z gorącym sodem o temperaturze ponad 500°C wreszcie pękł. Strumień wrzącego metalu z impetem trafił w robota, odrzucił jego resztki na bok i rozbił się na ścianie przeciwległego korytarza. Wszystko płonęło, również izolacja głównej sieci energetycznej, która ciągnęła się tu razem z wielożyłowymi kablami informacyjnymi. Czujniki zgłosiły pożar i do gry wkroczył pikuś. Zamknął i zablokował wszystkie włazy w sekcji napędowej i zaczął wytwarzać próżnię w płonącej części korytarza. W tym momencie przepaliły się kable informacyjne i na podstawie powstałych uszkodzeń – fałszywych sygnałów – pikuś zablokował wszystkie pozostałe grodzie statku. Cała załoga, ludzie i roboty, została uwięziona tam, gdzie akurat przebywała. Izolacja kabla energetycznego wytrzymała tylko chwilę dłużej. Potem nieuniknione spięcie spowodowało drgania całej sieci energetycznej, a w końcu przepalenie się bezpieczników sieci rezerwowych. W ten sposób padła ostatnia linia obrony i cały „Teaping" pozostał bez prądu. Pikuś stracił kontrolę nad statkiem i czerwonym alarmem wzywał na pomoc ludzi – swoich władców.

Temperatura reaktora, teraz poza kontrolą, z zablokowanym chłodzeniem, zaczęła gwałtownie rosnąć. Radiacja, której poziom również raptownie się podniósł, zaczęła przenikać przez osłony. Pikuś, zdezorientowany zakłóconymi sygnałami z linii informacyjnej i traktujący je jako potwierdzenie awaryjnego wyłączenia reaktora, tego nie zrobił. O ułamek sekundy później już nie miał tej możliwości – wyłączenie było zależne od sieci awaryjnej. Reaktor można było jeszcze wyłączyć ręcznie, co było jednym z obowiązków robota nadzorcy. Nie trzeba było do tego wiele siły, mógłby to zrobić nawet mały chłopiec.

Po przekazaniu sterowania, kiedy Dziadek kolejno wyświetlał na monitorach dane o awarii, na sąsiednim terminalu na korytarzu czytał je też mały książę i razem z Dziadkiem uzmysławiali sobie błąd pikusia.

– W ciągu pięciu, najdalej siedmiu minut reaktor eksploduje – zwrócił się do nas Dziadek. – Co pan do cholery robi z tymi drzwiami, niech je pan odblokuje ręcznie – wydarł się na inżyniera a potem na nas – szarpnijcie wszyscy, ale porządnie, musimy się dostać do reaktora!

– Nie puszcza – charczał mechanik.

– Co Chiefy i inne roboty? – drugi pilot puścił dźwignię otwierania awaryjnego – już dawno powinny być aktywowane a w komorze reaktora jest robot nadzorca...

– Nie ma! – rzucił Dziadek. – Po raz ostatni był monitowany w korytarzu obwodowym!

– Inne roboty też wypadły z gry, nie mogą ręcznie odblokować włazów – głos inżyniera zgorzkniał – ze względów bezpieczeństwa może to zrobić tylko człowiek. A co chłopak?

– Jest zamknięty na korytarzu tak jak my tutaj – drugi pilot z wykrzywioną twarzą trzymał się za łokieć. – Tej łajby nie budowano dla dzieci. Popatrz na te dźwignie – skinął głową w stronę włazu – jak są wysoko.

Przez chwilę było cicho. Drugi pilot, ciągle trzymając się za łokieć, powoli usiadł. – To będzie śliczny fajerwerk, jak na Dzień Odrodzenia.

– I tak nikt go nie zobaczy – zgasił go inżynier, ciężko obszedł stół i usiadł na drugim końcu.

– Jest jeszcze jedna droga – zająknąłem się z wrażenia – przez szyb techniczny, tam są przebite włazy, tam gdzie się ukrywał mały książę, a szyb dochodzi do korytarza obwodowego...

– Nie, na Boga, tylko nie to! – Dziadek, który dotąd siedział przy terminalu, gwałtownie wstał. – Niech mu to tylko nie wpadnie do głowy – znowu zerknął na monitor – już teraz tam jest piekło – krzyknął. – Nie, nie za taką cenę...

– W korytarzu obwodowym są przecież skafandry ochronne... – zaczął drugi pilot, ale zaraz zakłopotany zamilkł. Wyobraził sobie to samo, co my. Ośmioletnie dziecko próbujące się poruszać w skafandrze dorosłego mężczyzny!

Przygnębiony Dziadek opierał się o stół. Wszyscy milczeli.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że już od dłuższej chwili nie słychać syren. Na zegarze w rogu monitora wyskoczyła szósta minuta. Spociły mi się ręce. To już nie potrwa długo.

– Sekcja dowodzenia do pilota-kapitana. Reaktor wyłączony ręcznie. Informacja przekazana przez nadajnik alarmowy. Meldunek złożył – głos pierwszego pilota w głośniku lekko się załamał – mały książę. Teraz idzie do robotów. Mówił, że coś sobie podłoży, żeby dosięgnąć do dźwigni, w korytarzu nic nie było. – Numer Jeden przerwał i przez chwilę głośnik przekazywał tylko jego oddech. – I jeszcze powiedział, że musi się śpieszyć, bo żmija już czeka.

Mały książę, śmiertelnie ukąszony przez żmiję promieniowania, zmarł trzeciego dnia po awarii. Przez cały ten czas Dziadek nie odstąpił go nawet na chwilę i nie dopuszczał do niego nikogo innego. Kiedy trzeciego dnia poprosił nas, żebyśmy się za pół godziny stawili w salonie, wiedzieliśmy, co nam chce powiedzieć.

Już siedział przy stole, ubrany w nowy, czysty kombinezon, z mokrymi siwymi włosami, prosto spod prysznica. Poczekał, aż siądziemy i spojrzał na nas zaczerwienionymi oczyma.

– Zmarł dwie godziny temu. Jego ciało zalutowałem w kontenerze. Nie wezwałem was do tego. Chcę – jego głos nabrał pewności – żebyście zapamiętali żywego człowieka a nie to, co leży w środku. Poza tym chcę, żebyście rozstrzygnęli następującą kwestię. Możemy kontener po prostu wyrzucić za burtę i zapomnieć o jego istnieniu, oszczędzając sobie w ten sposób nieprzy-

František NOVOTNÝ

Autor drukowanej w „Fantastyce" nr 1/90 „Legendy o Madonnie z Wrakowiska" (nagroda Parconu). Opowiadanie „Mały przyjacielu..." dzieje się w tym samym świecie i kontynuuje historię Madonny, choć jest utrzymane w zupełnie innym stylu. Oba utwory nie mogły się przebić do druku w rządzonej przez komunistów Czechosłowacji i są to ich pierwodruki. Jak twierdzą nasi czescy przyjaciele, plon czeskich konkursów jest bardzo dobry i pierwsza dziesiątka z zasady nadaje się do prezentacji. Z przyjemnością będziemy nadal zamieszczać przykłady czeskiej i słowackiej fantastyki.

L.J.



Monika Grycko

Poza tym odbijało robotom. Chiefy'ego i trzy inne, bezpośrednio zaangażowane w ukrywanie małego księcia, trzeba było wyłączyć a pozostałe, wstrząśnięte po śmierci człowieka, trzeba było bezustannie kontrolować i regulować.

Dlatego przez resztę rejsu nie spotykałem się z Dziadkiem tak często, jak bym sobie życzył. Przywykłem chodzić do niego i pożyczać sobie książki, oglądać wideo i wypytywać o przygody. Jakoś straciłem respekt przed tym malusieńkim zwierzątkiem siedzącym na lewej kieszonce bluzy. Jego też cieszyły moje odwiedziny i odwdzięczał mi się za nie podczas nocnych dyżurów.

– Wiesz, nie mogę spać, a my starzy i tak nie potrzebujemy tyle snu – z tym zdaniem na ustach wkraczał do sekcji dowodzenia, a potem zazwyczaj snuł wspomnienia ze swoich podróży. Czasami przerywał opowieść i przez chwilę milczał. Jak szybko się domyśliłem, bywało tak zawsze, ilekroć historia dotyczyła któregoś z jego dawno nieżyjących kolegów.

– Znam więcej ludzi martwych niż żywych – dodawał z niemrawym uśmiechem. Zawsze mniej więcej po godzinie mnie zrywał: – Chodźmy na obchód – i ruszaliśmy na kontrolę sekcji napędowej.

Podczas tych obchodów wielokroć odnosiłem wrażenie, że jest z nami mały książę, że idziemy we trójkę. Raz czy drugi uczucie to było tak natarczywe, że przez całą drogę przez korytarz oglądałem się za siebie, czy przypadkiem naprawdę za nami nie idzie. Również Dziadek odwracał się kilka razy, a widząc mnie za sobą przez chwilę miał niepewną minę. Myślę, że jego też nawiedzały podobne uczucia, chociaż od czasu awarii o małym księciu nie wspomniał ani słowem.

Dopiero pod sam koniec lotu – Baza była już na optycznej – wreszcie o nim powiedział. Byłem w jego kabinie, właśnie pakował książki.

– Słuchaj, juniorze, ty właściwie byłeś z tym chłopcem najwięcej. I myślę, że zasługujesz na jakąś pamiątkę po nim. Weź tę książkę – podał mi „Małego Księcia" i odwrócił się. – Kiedy umierał, a nie stracił jeszcze przytomności, musiałem mu ją czytać.

Ostrożnie wsunąłem książkę za połę rozpiętego kombinezonu. Dziadek wziął do ręki inny wolumin.

– Wiesz, ten autor z kolei kilka tysięcy

jemnego śledztwa, którego skutki mogłyby się ciągnąć za nami przez całe życie, albo przewieźć go na Bazę, a potem na Ziemię. Ale w tym przypadku musimy o wszystkim zameldować. I stawić czoło skutkom! Chcę, żebyście zadecydowali sami i zgodnie ze starą tradycją, zacznijmy od najmłodszego – spojrzał na mnie ze skupieniem. Pozostali poszli za jego przykładem – wszystkie spojrzenia były wbite we mnie. Nabrałem powietrza, znałem tylko jedną odpowiedź:

– Musimy go zawieźć na Ziemię. Tam jest jego miejsce.

Kiedy przebrzmiały moje słowa, Dziadek krótko skinął i pytająco spojrzał na drugiego pilota. Zanim ten zdążył odpowiedzieć, odezwał się główny mechanik.

– Nie ma sensu pytać reszty – zwrócił się do Dziadka – junior powiedział za nas wszystkich – popatrzył na pierwszego i drugiego pilota, którzy zgodnie przytaknęli. – A pan niech się idzie wyspać – odwrócił się z powrotem – naprawy możemy kontynuować bez pana.

Naprawy, przeważnie prowizoryczne, skończyliśmy w ciągu dwóch dni. Brakowało nam materiału, przede wszystkim kabli i bezpieczników. Z resztek trzech kabli energetycznych z biedą sklecíliśmy jeden, a linia informacyjna w ogóle nie dała się zrekonstruować.

– Pikuś totalnie ogłuchł i widzi tylko na jedno oko – komentował sytuację Numer Jeden – teraz na wachtach nie grozi nam nuda.

lat temu napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, lecz kawałkiem lądu. Mylił się, nie mógł znać nas – dotknął zielonego skoczka na kieszonce swojego kombinezonu – nas, Skoczków. My naprawdę jesteśmy wyspami, a ten chłopiec – położył książkę na stosie innych – mógł być mostem, rozumiesz, moim mostem na ląd.

Zatrzasnął pokrywę kontenera osobistego.

– A teraz idź się spakować. Za godzinę zaczynamy manewr lądowania, potem nie będzie czasu.

Włożyłem do kontenera parę tych gratów, które mówiły mi „panie" i jako ostatnią chciałem włożyć książkę. Wysunęła mi się z rąk i z trzepotem spadła na gumoleum kabiny. Schyliłem się po nią, a kiedy ją podnosiłem, kartki przewróciły się same na miejsce założone białym paskiem.

Oczy utkwiły mi w podkreślonym akapicie.

...powiedział lis: – Dobrze widzi się tylko serce. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu – powtórzył Mały Książę.

Zaryczały syreny – a ja ciągle myślałem o tych słowach.

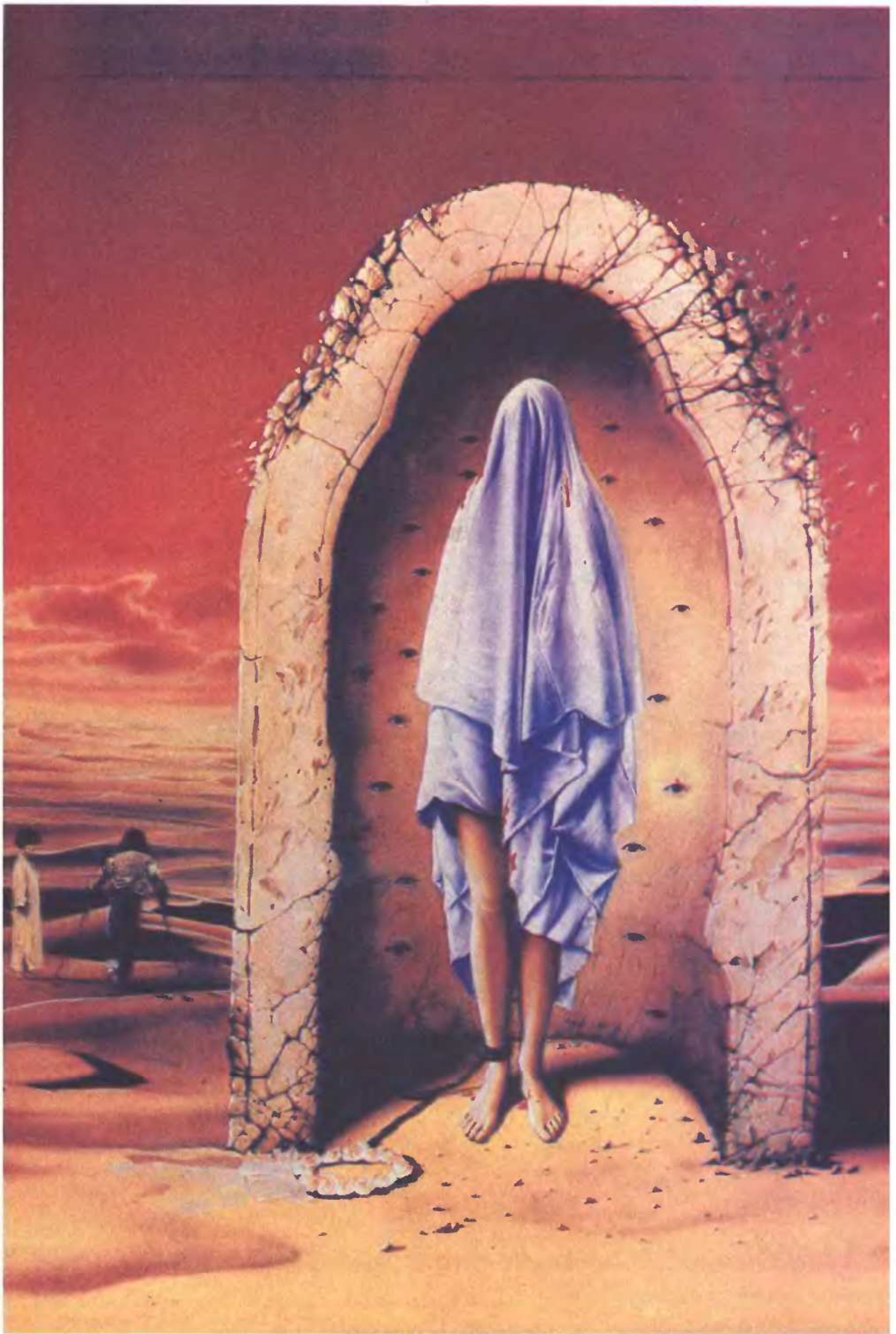
„Teaping" finiszował.

Przełożyła **Joanna Czaplińska**

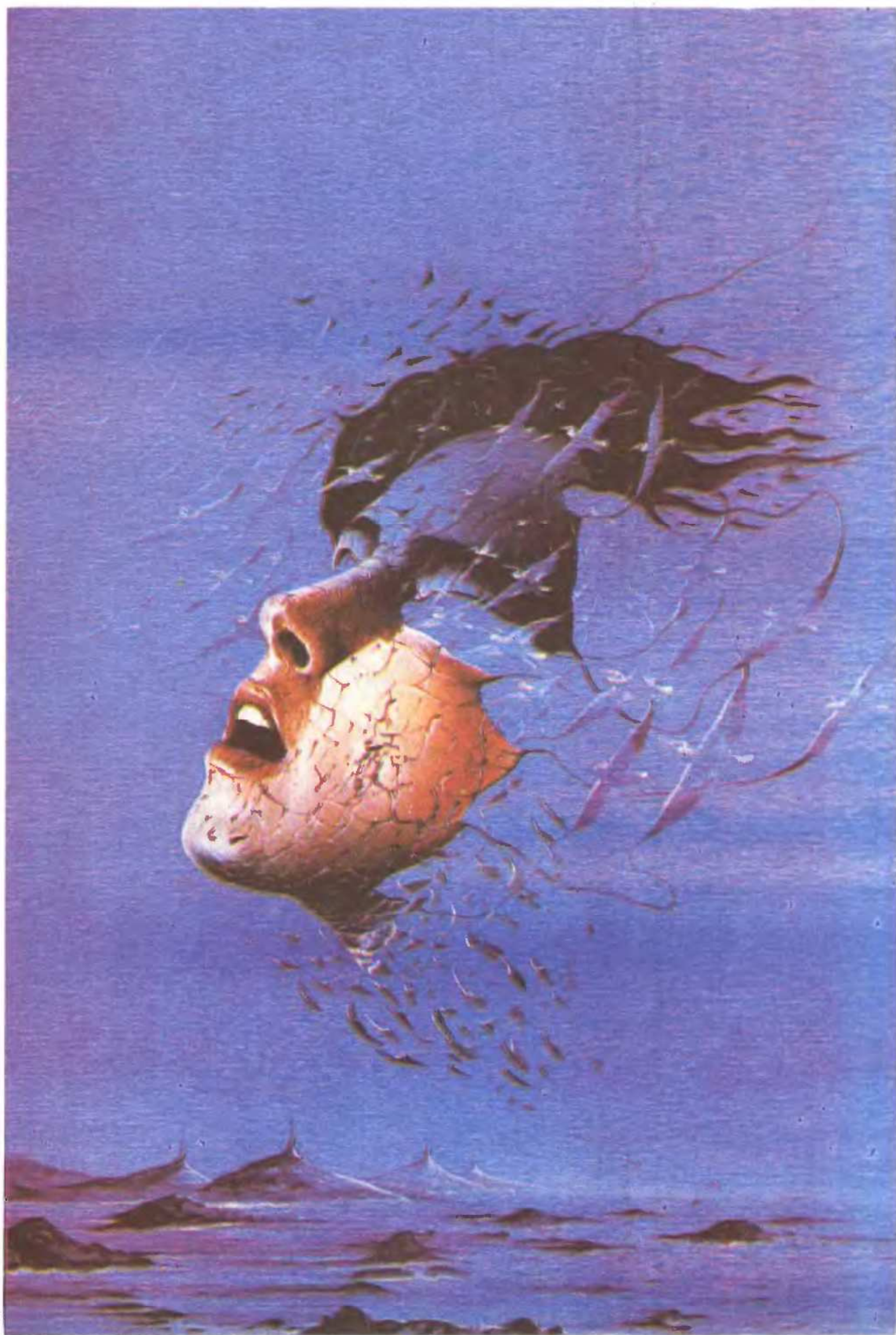
Cytaty z „Małego Księcia" przełożył Jan Szwykowski (Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988).



Już niedługo w **GALERII**







Andrzej Sapkowski

Mniejsze zło

1 Jak zwykle, pierwsze zwróciły na niego uwagę koty i dzieci. Pręgowaty kocur, śpiący na nagrzanym słońcem sągu drewna, drgnął, uniósł okrągłą głowę, położył uszy, parsknął i czmychnął w pokrzywy. Trzyletni Dragomir, syn rybaka Trigli, który na progu chałupy robił, co mógł, aby jeszcze bardziej upaprać upapraną koszulinę, rozwrzeszczał się, wlepiając załzawione oczy w przejeżdżającego obok jeźdźca.

Wiedźmin jechał powoli, nie starając się wyprzedzać wozu z sianem, tarasującego uliczkę. Za nim, wyciągając szyję, co chwila mocno napinając postronek, uwiązany do łęku siodła, truchtał objuczony osioł. Oprócz zwykłych juków, długouch taszczył na grzbiecie spory kształt, owinięty w derkę. Szarobiały bok osła pokrywały czarne smugi zakrzepłej krwi.

Wóz skręcił wreszcie w boczną uliczkę, prowadzącą do spichlerza i przystani, z której wiało bryzą, smołą i wolim moczem. Geralt przyśpieszył. Nie zareagował na zduszony krzyk handlarki warzyw, wpatrzonej w kościstą, szponiastą łapę, wystającą spod derki, podrygującą w rytmie truchtu osła. Nie obejrzał się na rosnący tłumek ludzi, idący za nim, falujący w podnieceniu.

Przed domem wójta, jak zwykle, pełno było wozów. Geralt zeskoczył z siodła, poprawił miecz na plecach, przerzucił uzdę przez drewnianą barierkę. Tłum, podążający za nim, utworzył półkole wokół osła.

Krzyki wójta słychać było już przed wejściem.

– Nie wolno, mówię! Nie wolno, psia mać! Nie rozumiesz po ludzku, łachudro?

Geralt wszedł. Przed wójtem, małym i pękatym, poczerwieniałym z gniewu, stał wieśniak, trzymając za szyję szamoczącą się gęś.

– Czego... Na wszystkich bogów! To ty, Geralt? Czy mnie wzrok myli? – I znowu, zwracając się do chłopa: – Zabieraj to, chamie! Ogłuchłeś?

– Mówili – bełkotał wieśniak, zezując na gęś – że trzeba dać cosik wielmożnemu, bo inakszy...

– Kto mówił? – wrzasnął wójt. – Kto? Że ja niby co, łapówki biorę? Nie pozwalam, powiadam! Won, powiadam! Witaj, Geralcie.

– Witaj, Caldemeynie.

Wójt, ściskając dłoń wiedźmina, klepnął go w ramię drugą ręką.

– Nie było cię tu chyba ze dwa lata, Geralcie. Co? Że też ty nigdzie nie zagrzejesz miejsca. Skąd przybywasz? A, psia rzyć, co za różnica, skąd. Hej, przynieś tam który piwa! Siadaj, Geralt, siadaj. U nas zamieszanie, bo jutro jarmark. Co tam u ciebie, opowiadaj!

– Potem. Najpierw wyjdźmy.

Na zewnątrz tłumek był już ze dwa razy większy, ale wolna przestrzeń wokół osła nie zmniejszyła się. Geralt odrzucił derkę. Tłum ochnął i cofnął się. Caldemeyn szeroko otworzył usta.

– Na wszystkich bogów, Geralcie! Co to jest?

– Kikimora. Nie ma za nią jakiejś nagrody, panie wójcie?

Caldemeyn przestąpił z nogi na nogę, patrząc na pająkowaty, obciągnięty zeschłą, czarną skórą kształt, na szkliste oko z pionową źrenicą, na igłowate kły w zakrwawionej paszczy.

– Gdzie... Skąd to...

– Na grobli, ze cztery mile przed miasteczkiem. Na mokradłach. Caldemeynie, tam musieli ginąć ludzie. Dzieci.

– Ano, zgadza się. Ale nikt... Kto mógł przypuścić... Hej, ludkowie, do domów, do roboty! To nie widowisko! Zakryj to, Geralt. Muchy się zlatują.

W izbie wójt bez słowa chwycił garniec piwa i wypił do dna, nie odejmując od ust. Westchnął ciężko, pociągnął nosem.

– Nagrody nie ma – powiedział ponuro. – Nikt nawet nie przypuszczał, że coś takiego siedzi w słonych bagnach. Fakt, kilka osób przepadło w tamtej okolicy, ale... Mało kto łaził po tej grobli. A ty skąd się tam wziąłeś? Dlaczego nie jechałeś głównym traktem?

– Na głównych traktach trudno o zarobek dla mnie, Caldemeynie.

– Zapomniałem – wójt stłumił beknięcie, wydymając policzki. – A taka to była spokojna okolica. Nawet skrzaty z rzadka jeno szczały tu babom do mleka. I masz, pod samym bokiem jakaś kociozmora. Wypada, że muszę ci podziękować. Bo zapłacić, to ja ci za nią nie zapłacę. Nie mam funduszy.

– Pech. Potrzebne mi było trochę grosza, aby przezimować – wiedźmin łyknął z garnca, otarł usta z piany. – Wybieram się do Yspaden, ale nie wiem, czy zdążę, nim śniegi nie zawalą dróg. Mogę utknąć w którymś z gródków wzdłuż Lutońskiego traktu.

– Długo zabawisz w Blaviken?

– Krótko. Nie mam czasu się zabawiać. Idzie zima.

– Gdzie się zatrzymasz? Może u mnie? Wolna izba jest na stryszku, po co masz się dać obedrzeć przez karczmarczy , tych złodziei. Pogadamy, opowiesz, co w szerokim świecie słychać.

– Chętnie. Ale co na to twoja Libusze? Ostatnim razem dało się zauważyć, że nie przepada za mną.

– W moim domu baby nie mają głosu. Ale, między nami, nie rób przy niej tego, co ostatnim razem, podczas kolacji.

– Idzie ci o to, że rzuciłem widelcem w szczura?

– Nie. Idzie mi o to, że trafiłeś, chociaż było ciemno.

– Myślałem, że to będzie zabawne.

– Było. Ale nie rób tego przy Libusze. Słuchaj, a ta... jak jej tam... Kiki...
– Kikimora.
– Potrzebna ci do czegoś?
– Ciekawe, do czego? Jeśli nie ma nagrody, możesz ją kazać wrzucić do gnojówki.
– Pomysł nie jest zły. Hej tam, Karelka, Borg, Nosikamyk! Jest tam który?
Wszedł strażnik miejski z partyzaną na ramieniu, z hukiem zawadzając ostrzem o ościeżnicę.
– Nosikamyk – rzekł Caldemeyn. – Weź kogoś do pomocy, zabierz sprzed chałupy osła razem z tym świństwem, zapakowanym w derkę, wyprowadź za chlewiki i utop w gnojówce. Zrozumiałeś?
– Wedle rozkazu. Ale... Panie wójcie...
– Czego?
– Może nim topić to ohydztwo...
– No?
– Pokazać by Mistrzowi Irionowi. A nuż mu się do czegoś przygodzi.
Caldemeyn pacnął się w czoło otwartą dłonią.
– Niegłupiś, Nosikamyk. Słuchaj, Geralt, może nasz miejscowy czarodziej odpali ci coś za tę padlinę. Rybacy znoszą mu różne cudactwa, jakie im w sieci popadają, różne tam dziworyby, ośmionogi, klabarty czy kerguleny, niejeden na tym zarobił. Chodź, przejdziemy się do wieży.
– Dorobiliście się czarodzieja? Na stałe, czy dorywczo?
– Na stałe. Mistrz Irion. Mieszka w Blaviken od roku. Możny mag, Geralt, z samego wyglądu poznasz.
– Wątpię, czy możny mag zapłaci za kikimorę – skrzywił się Geralt. – O ile wiem, nie jest potrzebna do produkcji żadnych eliksirów. Zapewne wasz Irion tylko mi naurąga. My, wiedźmini, nie kochamy się z czarodziejami.
– Nigdy nie słyszałem, żeby Mistrz Irion komuś urągał. Czy zapłaci, nie przysięgnę, ale spróbować nie zawadzi. Na bagnach może być więcej takich kikimorów, i co wtedy? Niech czarodziej obejrzy stworza i w razie czego rzuci jakieś czary na bagniska, albo co.
Wiedźmin pomyślał przez chwilę.
– Punkt dla ciebie, Caldemeynie. Cóż, zaryzykujemy spotkanie z Mistrzem Irionem. Idziemy?
– Idziemy. Nosikamyk, odgoń te dzieciaki i bierz kłapoucha na postronek. Gdzie moja czapka?

2 Wieża, zbudowana z gładko ociosanych bloków granitu, zwieńczona zębatymi blankami, przedstawiała się imponująco, górując nad potłuczonymi dachówkami domostw i wklęśniętymi strzechami chałup.
– Odnowił, widzę – rzekł Geralt. – Czarami, czy zapędził was do roboty?
– Czarami, głównie.
– Jaki on jest, ten wasz Irion?
– Porządny. Ludziom pomaga. Ale odludek, mruk. Z wieży prawie nie wychodzi.
Na drzwiach, zdobnych rozetą intarsjowaną jasnym drewnem wisiała ogromna kołatka w kształcie płaskiego, wyłupiastookiego łba ryby, trzymającej mosiężne kółko w zębatej paszczęce. Caldemeyn, obeznany widać z jej działaniem, zbliżył się, odchrząknął i wyrecytował:
– Pozdrawia wójt Caldemeyn ze sprawą do Mistrza Iriona. Z nim pozdrawia wiedźmin Geralt z Rivii, takoż ze sprawą.
Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, wreszcie rybi łeb poruszył zębatą żuchwą, tchnął obłoczkiem pary.
– Mistrz Irion nie przyjmuje. Odejdźcie, dobrzy ludzie.
Caldemeyn podreptał w miejscu, spojrzał na Geralta. Wiedźmin wzruszył ramionami. Nosikamyk, skupiony i poważny, dłubał w nosie.
– Mistrz Irion nie przyjmuje – powtórzyła metalicznie kołatka. Odejdźcie, dobrzy...
– Nie jestem dobrym człowiekiem – przerwał głośno Geralt. – Jestem wiedźminem. To, na ośle, to jest kikimora, którą zabiłem bardzo blisko miasteczka. Obowiązkiem każdego czarodzieja-rezydenta jest dbać o bezpieczeństwo w okolicy. Mistrz Irion nie musi zaszczycać mnie rozmową, nie musi mnie przyjmować, jeśli taka jego wola. Ale kikimorę niech sobie obejrzy i wyciągnie wnioski. Nosikamyk, odtrocz kikimorę i zwal ją tutaj, pod same drzwi.
– Geralt – rzekł cicho wójt. – Ty odjedziesz, a ja tu będę musiał...
– Idziemy, Caldemeynie. Nosikamyk, wyjmij palec z nosa i zrób, co kazałem.
– Zaraz – powiedziała kołatka, zupełnie innym głosem. – Geralt, to naprawdę ty?
Wiedźmin zaklął cicho.
– Tracę cierpliwość. Tak, to naprawdę ja. I co z tego, że to naprawdę ja?
– Podejdź blisko do drzwi – rzekła kołatka, pykając obłoczkami pary. – Sam. Wpuszczę cię.
– Co z kikimorą?
– Pal ją licho. Chcę z tobą rozmawiać, Geralt. Tylko z tobą. Wybaczcie, wójcie.
– Co mi tam, Mistrzu Irionie – machnął ręką Caldemeyn. – Bywaj, Geralt. Zobaczymy się później. Nosikamyk! Potwora do gnojówki!
– Wedle rozkazu.
Wiedźmin podszedł do intarsjowanych drzwi, które uchyliły się, bardzo niewiele, tyle, by mógł się przecisnąć, po czym natychmiast zatrzasnęły się pozostawiając go w zupełnym mroku.
– Hej! – zawołał, nie kryjąc złości.
– Już – odpowiedział głos, dziwnie znajomy.
Wrażenie było tak niespodziewane, że wiedźmin zatoczył się i wyciągnął rękę, szukając oparcia. Nie znalazł.
Sad kwitł biało i różowo, pachniał deszczem. Niebo przecinał wielobarwny łuk tęczy, spinający korony drzew z dalekim, błękitnym łańcuchem górskim. Domek pośród sadu, maleńki i skromny, tonął w malwach. Geralt spojrzał pod nogi i stwierdził, że stoi po kolana w macierzance.
– No, chodźże, Geralcie – odezwał się głos. – Jestem przed domem.
Wszedł w sad, pomiędzy drzewa. Dostrzegł po lewej ruch, obejrzał się. Jasnowłosa dziewczyna, zupełnie naga, szła wzdłuż rzędu krzewów, niosąc koszyk pełen jabłek. Wiedźmin solennie sobie obiecał nie dziwić się więcej.
– Nareszcie. Witaj, wiedźminie.
– Stregobor! – zdziwił się Geralt.
Wiedźmin spotykał w życiu złodziei, wyglądających jak rajcy miejscy, rajców, wyglądających jak proszalne dziady, nierządnice, wyglądające jak królewny, królewny, wyglądające jak cielne krowy i królów, wyglądających jak złodzieje. A Stregobor zawsze wyglądał tak, jak wedle wszystkich prawideł i wyobrażeń winien wyglądać czarodziej. Był wysoki, chudy, zgarbiony, miał wielkie, siwe, krzaczaste brwi i długi, zakrzywiony nos. Na dobitkę nosił czarną, powłóczystą szatę z nieprawdopodobnie szerokimi rękawami, a w ręku dzierżył długaśny posoch z kryształową gałką. Żaden ze znanych Geraltowi czarodziejów nie wyglądał tak, jak Stregobor. Co dziwniejsze, Stregobor faktycznie był czarodziejem.
Siedli na ganku, otoczonym malwami, w wiklinowych fotelach, przy stoliku z blatem z białego marmuru. Naga blondynka z koszem jabłek zbliżyła się, uśmiechnęła, obróciła i wróciła do sadu, kołysząc biodrami.
– To też iluzja? – spytał Geralt, patrząc na kołysanie.
– Też. Jak wszystko tutaj. Ale to jest, mój kochany, iluzja pierwszej klasy. Kwiaty pachną, jabłka możesz jeść, pszczoła może cię użądlić, a ją – Czarodziej wskazał na blondynkę – możesz...
– Może później.
– Słusznie. Co tu robisz, Geralcie? Nadal trudnisz się zabijaniem za pieniądze przedstawicieli ginących gatunków? Ile dostałeś za kikimorę? Pewnie nic, inaczej nie przyszedłbyś tutaj. I pomyśleć, że są ludzie, nie wierzący w przeznaczenie. Chyba, że wiedziałeś o mnie. Wiedziałeś?
– Nie wiedziałem. To ostatnie miejsce, w którym mogłem się ciebie spodziewać. O ile mnie pamięć nie myli, dawniej mieszkałeś w Kovirze, w podobnej wieży.
– Wiele się zmieniło od tamtych czasów, Geralcie.

– Chociażby twoje miano. Podobno jesteś teraz Mistrzem Irionem.

– Tak nazywał się twórca tej wieży, zmarło mu się coś ze dwieście lat temu. Uznałem, że należy jakoś go uczcić, zajmując jego siedlisko. Robię tu za rezydenta. Większość mieszkańców utrzymuje się z morza, a jak wiesz, moja specjalność, poza iluzjami, to pogoda. Czasem sztorm uciszę, czasem wywołam, czasem zachodnim wiatrem przygnam bliżej brzegów ławice witlinków i dorszy. Można żyć. To znaczy – dodał ponuro – można było żyć.

– Dlaczego „można było"? Skąd zmiana imienia?

– Przeznaczenie ma wiele twarzy. Moje jest piękne z wierzchu i obrzydliwe wewnątrz. Wyciągnęło ku mnie swoje krwawe szpony...

– Nic się nie zmieniłeś, Stregoborze – skrzywił się Geralt. – Bredzisz, robiąc przy tym mądre i znaczące miny. Nie możesz mówić normalnie?

– Mogę – westchnął czarnoksiężnik – jeśli cię to ma uszczęśliwić, to mogę. Dotarłem aż tutaj, kryjąc się i uciekając przed potworną istotą, która chce mnie zamordować. Ucieczka nie zdała się na nic, odnalazła mnie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spróbuje mnie zabić jutro, najdalej pojutrze.

– Aha – rzekł beznamiętnie wiedźmin. – Teraz rozumiem.

– Jak mi się zdaje, grożąca mi śmierć nie robi na tobie większego wrażenia?

– Stregoborze – powiedział Geralt. – Taki jest świat. Wiele się widzi, podróżując. Dwóch chłopów zabija się o miedzę pośrodku pola, które jutro stratują konie drużyn dwóch komesów, chcących się nawzajem wymordować. Wzdłuż dróg na drzewach dyndają wisielcy, w lasach zbójcy podrzynają gardła kupcom. W miastach co krok potykasz się o trupy w rynsztokach. W pałacach dźgają się sztyletami, a na ucztach co i rusz ktoś wali się pod stół, siny od trucizny. Przyzwyczaiłem się. Dlaczego więc ma robić na mnie wrażenie grożąca śmierć, i to w dodatku grożąca tobie?

– W dodatku grożąca mnie – powtórzył z przekąsem Stregobor. – A ja miałem cię za przyjaciela. Liczyłem na twoją pomoc.

– Nasze ostatnie spotkanie – rzekł Geralt – miało miejsce na dworze króla Idiego, w Kovirze. Przyszedłem po zapłatę za zabicie amfisbeny, która terroryzowała okolicę. Wówczas ty i twój konfrater Zavist na wyprzódki nazywaliście mnie szarlatanem, bezmyślną maszyną do mordowania i, jeżeli dobrze pamiętam, ścierwojadem. W rezultacie Idi nie dość, że nie zapłacił mi ani szeląga, to jeszcze dał dwanaście godzin na opuszczenie Koviru, a że miał popsutą klepsydrę, ledwo zdążyłem. A teraz, powiadasz, liczysz na moją pomoc. Powiadasz, ściga cię potwór. Czego się boisz, Stregoborze? Jeśli cię dopadnie, powiedz mu, że ty lubisz potwory, chronisz je i dbasz, by żaden wiedźmin-ścierwojad nie zakłócał im spokoju. Zaiste, jeśli potwór cię wypatroszy i pożre, okaże się strasznym niewdzięcznikiem.

Czarodziej milczał, odwróciwszy głowę. Geralt zaśmiał się.

– Nie nadymaj się jak żaba, magiku. Mów, co ci grozi. Zobaczymy, co się da zrobić.

Andrzej SAPKOWSKI

Gwiazda polskiej fantasy. Czytelnicy „Fantastyki" w Sondażu V uznali go za ulubionego autora roku 1988. Przedstawialiśmy już jego „Wiedźmina" („F" nr 12/86; najlepsze opowiadanie roku 1986 – Sondaż III), „Drogę, z której się nie wraca" („F" nr 8/88; najlepsze opowiadanie roku 1988 – Sondaż V) oraz „Ziarno prawdy" („F" nr 3/89). Kolejne przygody wiedźmina autor prezentuje następująco: ***Kontynuując zamysł „fantasy" typu „Jak to było naprawdę?", zrobiłem sobie powtórkę z braci Grimm. Pewna powszechnie znana bajka zainteresowała mnie na tyle, by zacząć się zastanawiać nad korzeniami historii wypaczonej przez setki ustnych przekazów, do tego zapewne strywializowanej na ludową modłę i sfałszowanej naciąganym happy endem. Jak więc było naprawdę? Kto wie, może i tak, jak w załączonym opowiadaniu, które zatytułowałem „Mniejsze zło". To, rzecz jasna, nowa przygoda wiedźmina Geralta, z którego uparłem się zrobić – toutes proportions gardées – nowego pilota Pirxa polskiej fantasy, czego sobie i Wam życzę, amen.***

(mp)

– Słyszałeś o Przekleństwie Czarnego Słońca, Geralcie?

– A jakże, słyszałem. Tyle, że pod nazwą Mania Obłąkanego Eltibalda. Tak wszakże nazywał się mag, który rozpętał hecę, w wyniku której zamordowano lub uwięziono w wieżach kilkadziesiąt dziewcząt z wielkich rodów, nawet królewskich. Miały być jakoby opętane przez demony, przeklęte, skażone przez Czarne Słońce, bo tak w waszym nadętym żargonie nazwaliście najzwyklejsze w świecie zaćmienie.

– Eltibald, który wcale nie był obłąkany, odcyfrował napisy na menhirach Dauków, na płytach nagrobnych w nekropoliach Wożgorów, zbadał legendy i podania Bobołaków. Wszystkie mówiły o zaćmieniu, w sposób pozostawiający mało wątpliwości. Czarne Słońce miało zwiastować rychły powrót Lilit, czczonej wciąż na Wschodzie pod imieniem Niya, i zagładę rasy ludzkiej. Drogę dla Lilit miało utorować „sześćdziesiąt niewiast w koronach złotych, które krwią wypełnią doliny rzek".

– Brednia – powiedział wiedźmin. – A w dodatku nie do rymu. Wszystkie przyzwoite przepowiednie są do rymu. Wiadomo powszechnie, Stregoborze, o co wówczas szło Eltibaldowi i Radzie Czarodziejów. Wykorzystaliście majaczenia szaleńca, aby umocnić waszą władzę. By rozbić sojusz, popsuć koligacje, zamieszać w dynastiach, słowem, mocniej potargać za sznurki, umocowane do kukiełek w koronach. A ty mi tu prawisz o przepowiedniach, których powstydziłby się dziad na jarmarku.

– Można mieć zastrzeżenia do teorii Eltibalda, do interpretacji przepowiedni. Ale nie sposób podważyć faktu wystąpienia potwornej mutacji wśród dziewcząt urodzonych krótko po zaćmieniu.

– Cóż sprawia, że nie można tego podważyć? Słyszałem coś zupełnie przeciwnego.

– Byłem przy sekcji jednej z nich – powiedział czarodziej. – Geralcie, to, co znaleźliśmy wewnątrz czaszki i rdzenia, nie dawało się jednoznacznie określić. Jakaś czerwona gąbka. Wewnętrzne organy przemieszane, niektórych w ogóle brak. Wszystko pokryte ruchliwymi rzęskami, sinoróżowymi strzępkami. Serce o sześciu komorach. Dwie praktycznie w atrofii, ale jednak. Co ty na to?

– Widziałem ludzi, mających zamiast rąk orle szpony, ludzi z wilczymi kłami. Ludzi o dodatkowych stawach, dodatkowych organach i dodatkowych zmysłach. Wszystko to były efekty waszego babrania się w magii, Stregoborze.

– Widziałeś różne mutacje, powiadasz – uniósł głowę czarnoksiężnik. – A ile z nich zatłukłeś za pieniądze, zgodnie ze swoim wiedźmińskim powołaniem? Co? Bo można mieć wilcze kły i poprzestawać na szczerzeniu ich do dziewek w oberży, a można mieć jednocześnie wilczą naturę i atakować dzieci. A tak właśnie było w przypadku niektórych dziewczynek urodzonych po zaćmieniu, u których stwierdzono wręcz niepoczytalną skłonność do okrucieństwa, agresji, gwałtownych wybuchów gniewu, a także wybujały temperament.

– U każdej baby można stwierdzić coś takiego – zadrwił Geralt. – Co ty mi tu pleciesz, Stregoborze? Pytasz, ile mutantów zabiłem, dlaczego nie ciekawi cię, ile z nich odczarowałem, wyzwoliłem od klątwy? Ja, pogardzany przez was wiedźmin. A co uczyniliście wy, potężni czaroksiężnicy?

– Zastosowano wyższą magię. Naszą, jak również kapłańską, w różnych świątyniach. Wszystkie próby zakończyły się śmiercią dziewczynek.

– To świadczy źle o was, nie o dziewczynkach. A więc, mamy już pierwsze trupy. Rozumiem, że tylko te sekcjonowano?

– Nie tylko. Nie patrz tak na mnie, wiesz dobrze, że były i dalsze trupy. Początkowo postanowiono eliminować wszystkie. Usunęliśmy kilka... naście. Wszystkie sekcjonowano. Jedną wiwisekcjonowano.

– I wy, sukinsyny, ośmielacie się krytykować wiedźminów? Ech, Stregobor, przyjdzie dzień, kiedy ludzie zmądrzeją i dobiorą się wam do skóry.

– Nie sądzę, żeby prędko przyszedł taki dzień – rzekł cierpko czarodziej. – Nie zapominaj, że działaliśmy właśnie w obronie ludzi. Mutantki utopiłyby we krwi całe krainy.

– Tak twierdzicie wy, magicy, zadarłszy nosy do góry, ponad wasz nimb nieomylności. Jeśli już o tym mowa, nie będziesz chyba twierdził, że w waszym polowaniu na rzekome mutantki nie pomyliliście się ani razu?

– Niech ci będzie – rzekł Stregobor po dłuższej chwili milczenia – będę szczery, chociaż nie powinienem, we własnym interesie. Po-

myliliśmy się, i to więcej niż jeden raz. Ich selekcja była nader trudna. Dlatego też zaprzestaliśmy je... usuwać, zaczęliśmy izolować.

– Wasze słynne wieże – parsknął wiedźmin.

– Nasze wieże. To był jednak kolejny błąd. Nie docenialiśmy ich i sporo nam uciekło. Wśród królewiczów, zwłaszcza tych młodszych, co to niewiele mieli do roboty, a jeszcze mniej do stracenia, zapanowała jakaś obłąkańcza moda na uwalnianie więzionych ślicznotek. Większość, na szczęście, poskręcała karki.

– O ile wiem, uwięzione w wieżach szybko marły. Mówiono, że bez waszej pomocy się nie obeszło.

– Kłamstwo. Rzeczywiście jednak szybko popadały w apatię, odmawiały jedzenia... Co ciekawe, krótko przed śmiercią zdradzały dar jasnowidzenia. Kolejny dowód mutacji.

– Co dowód, to mniej przekonywający. Nie masz ich więcej?

– Mam. Silvena, pani na Naroku, do której nigdy nie udało się nam nawet zbliżyć, bo przejęła władzę bardzo szybko. Teraz dzieją sie w tym kraju okropne rzeczy. Fialka, córka Evermira, uciekła z wieży za pomocą sznura, uplecionego z warkoczy i obecnie terroryzuje Północny Velhad. Bernikę z Talgaru uwolnił idiota-królewicz. Teraz, oślepiony, siedzi w lochu, a najczęściej zauważalnym elementem krajobrazu w Talgarze jest szubienica. Są i inne przykłady.

– Pewno, że są – rzekł wiedźmin. – W Jamurlaku, na przykład, panuje staruszek Abrad, ma skrofuły, nie ma ani jednego zęba, urodził się chyba ze sto lat przed tym zaćmieniem, a nie uśnie, jeśli kogoś nie zakatują w jego przytomności. Wyrżnął wszystkich krewnych i wyludnił połowę kraju w niepoczytalnych, jak to określiłeś, napadach gniewu. Są i ślady wybujałego


Roberto Bonadimani

temperamentu, podobno w młodości przezywano go nawet Abrad Zadrzykiecka. Ech, Stregoborze, byłoby pięknie, gdyby okrucieństwa władców można było wytłumaczyć mutacją lub klątwą.

– Posłuchaj, Geralcie...

– Ani myślę. Nie przekonasz mnie do swoich racji, ani tym bardziej do tego, że Eltibald nie był zbrodniczym wariatem. Wróćmy do potwora, który jakoby ci zagraża. Po wstępie, jaki zrobiłeś, bądź świadom, że historia mi się nie podoba. Ale wysłucham cię do końca.

– Nie przeszkadzając złośliwymi uwagami?

– Tego nie mogę obiecać.

– Cóż – Stregobor wsunął dłonie w rękawy szaty – tym dłużej to będzie trwało. A zatem, historia zaczęła się w Creyden, małym księstewku na północy. Żoną Fredefalka, księcia Creyden, była Aridea, mądra, wykształcona kobieta. Miała w rodzie wielu wybitnych adeptów kunsztu czarnoksięskiego i zapewne w drodze dziedzictwa przejęła dość rzadki i potężny artefakt, Zwierciadło Nehaleni. Jak wiesz, Zwierciadła Nehaleni służyły głównie prorokom i wyroczniom, bo bezbłędnie, choć zawile, przepowiadają przyszłość. Aridea dość często zwracała się do Zwierciadła...

– Ze zwyczajowym pytaniem, jak sądzę – przerwał Geralt. „Kto jest najpiękniejszy w świecie?" Jak wiem, wszystkie Zwierciadła Nehaleni dzielą się na uprzejme i na rozbite.

– Mylisz się. Aridę bardziej interesowały losy kraju. A na jej pytania Zwierciadło przepowiedziało paskudną śmierć jej samej i całego mnóstwa ludzi z ręki bądź z winy córki Fredefalka z pierwszego małżeństwa. Aridea postarała się, aby wiadomość o tym dotarła do Rady, a Rada wysłała do Creyden mnie. Nie muszę dodawać, że pierworodna Fredefalka urodziła się krótko po zaćmieniu. Obserwowałem małą dyskretnie krótki czas. W tym to czasie zdążyła zamęczyć kanarka i dwa szczeniaki, a także trzonkiem grzebienia wyłupiła oko służebnicy. Przeprowadziłem kilka testów za pomocą zaklęć, większość potwierdziła, że mała była mutantem. Poszedłem z tym do Aridei, bo Fredefalk świata poza córką nie widział. Aridea, jak mówiłem, była niegłupią kobietą...

– Jasne – przerwał znowu Geralt – i zapewne nie przepadała za pasierbicą. Wolała, by tron dziedziczyły jej własne dzieci. Dalszego ciągu się domyślam. Że też nie znalazł się tam wówczas ktoś, kto ukręciłby jej szyję. I tobie przy okazji też.

Stregobor westchnął, uniósł oczy ku niebu, na którym tęcza wciąż mieniła się wielobarwnie i malowniczo.

– Ja byłem za tym, by ją tylko izolować, ale księżna zadecydowała inaczej. Posłała małą do lasu z wynajętym zbirem, łowczym. Znaleźliśmy go później w zaroślach. Nie miał na sobie spodni, nietrudno było więc odtworzyć przebieg wypadków. Wbiła mu szpilę od broszki w mózg, przez ucho, zapewne wtedy, gdy uwagę miał zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

– Jeżeli sądzisz, że mi go żal – mruknął Geralt – to jesteś w błędzie.

– Urządziliśmy obławę – ciągnął Stregobor – ale po małej ślad zaginął. Ja zaś musiałem w pośpiechu opuścić Creyden, bo Fredefalk zaczął coś podejrzewać. Dopiero po czterech latach otrzymałem wieści od Aridei. Wytropiła małą, żyła w Mahakamie z siedmioma gnomami, których przekonała, że bardziej opłaca się łupić kupców na drogach niż zapylać sobie płuca w kopalni. Powszechnie nazywaną ją Dzierzbą, bo pojmanych żywcem lubiła nabijać na zaostrzone kołki. Aridea kilkakrotnie wynajmowała morderców, ale żaden nie wrócił. Potem zaś trudno było znaleźć chętnych, mała była już dość sławna. Mieczem nauczyła się robić tak, że mało który mężczyzna mógł stawić jej czoło. Wezwany, przybyłem potajemnie do Creyden, po to tylko, by się dowiedzieć, że ktoś otruł Arideę. Powszechnie uważano, że to sam Fredefalk, który upatrzył sobie młodszy i jędrniejszy mezalians, ale ja sądzę, że to Renfri.

– Renfri?

– Tak się nazywała. Mówiłem, otruła Arideę. Książę Fredefalk krótko po tym zginął w dziwnym wypadku na łowach, a najstarszy syn Aridei przepadł bez wieści. To też musiała być robota małej. Mówię małej, a miała już wtedy siedemnaście lat. I była nieźle wyrośnięta.

– W tym czasie – podjął czarodziej po chwili przerwy – ona i jej gnomy były już postrachem całego Mahakamu. Tyle, że pewnego dnia o coś tam się pokłócili, nie wiem, o podział łupów czy kolejność nocy w tygodniu, dość że porżnęli się nożami. Siódemka gnomów nie przeżyła nożowej rozprawy, a Dzierzba tak. Ale wówczas ja już byłem w okolicy. Spotkaliśmy się oko w oko – w mig poznała mnie i zorientowała się co do roli, jaką odegrałem wtedy w Creyden. Mówię ci, Geralt, ledwo zdążyłem wypowiedzieć zaklęcie, a ręce trzęsły mi się jak nie wiem, gdy ta dzika kocica leciała na mnie z mieczem. Zapakowałem ją w zgrabną bryłę kryształu górskiego, sześć łokci na dziewięć. Gdy zapadła w letarg, wrzuciłem bryłę do gnomowej kopalni i zawaliłem szyb.

– Partacka robota – skomentował Geralt. – To było do odczarowania. Nie mogłeś jej spalić na żużel? Przecież znacie tyle sympatycznych zaklęć.

– Nie ja. Nie moja specjalność. Ale masz rację, spartaczyłem. Odnalazł ją jakiś idiota królewicz, wydał mnóstwo pieniędzy na kontrzaklęcie, odczarował i tryumfalnie zawiózł do domu, do jakiegoś zapadłego królestwa na wschodzie. Jego ojciec, stary rozbójnik, okazał więcej rozsądku. Spuścił synowi lanie, a Dzierzbę postanowił wypytać o skarby, jakie zagrabiła wraz z gnomami i przemyślnie ukryła. Jego błąd polegał na tym, że kiedy nagą roz-

ciągnięto na katowskiej ławie, asystował mu starszy syn. Jakoś tak wyszło, że nazajutrz tenże najstarszy syn, już sierota i pozbawiony rodzeństwa, panował w owym królestwie, a Dzierzba objęła urząd pierwszej faworyty.

– Znaczy się, jest niebrzydka.

– Kwestia gustu. Faworytą długo nie była, do pierwszego przewrotu pałacowego, szumnie mówiąc, bo tamtejszy pałac bardziej przypominał oborę. Wnet okazało się, że nie zapomniała o mnie. W Kovirze dokonała na mnie trzech skrytobójczych zamachów. Postanowiłem nie ryzykować i przeczekać w Pontarze. Znalazła mnie znowu. Tym razem uciekłem do Angrenu, ale i tam mnie odnalazła. Nie wiem, jak to robi, ślady zacieram dobrze. To musi być cecha jej mutacji.

– Co cię powstrzymało przed ponownym zaklęciem jej w kryształ? Wyrzuty sumienia?

– Nie. Nie miałem takowych. Okazało się jednak, że uodporniła się na magię.

– To nie jest możliwe.

– Jest. Wystarczy mieć odpowiedni artefakt albo aurę. Względnie znowu to może być związane z jej mutacją, która postępuje. Uciekłem z Angrenu, i ukryłem się tutaj, na Łukomorzu, w Blaviken. Miałem spokój przez rok, ale znowu mnie wytropiła.

– Skąd wiesz? Jest już w miasteczku?

– Tak. Widziałem ją w krysztale – czarodziej uniósł różdżkę. – Nie jest sama, prowadzi bandę, to znak, że szykuje coś poważnego. Geralcie, ja nie mam już dokąd uciekać, nie znam miejsca, gdzie mógłbym się ukryć. Tak. To, że ty przybyłeś tutaj właśnie w tym momencie, nie może być przypadkiem. To przeznaczenie.

Wiedźmin uniósł brwi.

– Co masz na myśli?

– To chyba oczywiste. Zabijesz ją.

– Nie jestem najemnym zbirem, Stregoborze.

– Zbirem nie jesteś, zgoda.

– Za pieniądze zabijam potwory. Bestie, zagrażające ludziom. Straszydła, wywoływane czarami i zaklęciami takich, jak ty. Nie ludzi.

– Ona nie jest człowiekiem. Jest właśnie potworem, mutantem, przeklętym odmieńcem. Przywiozłeś tu kikimorę. Dzierzba jest gorsza od kikimory. Kikimora zabija z głodu, a Dzierzba dla przyjemności. Zabij ją, a ja zapłacę ci każdą sumę, jakiej zażądasz. W granicach rozsądku, rozumie się.

– Już ci mówiłem, historię o mutacji i przekleństwie Lilit uważam za brednie. Dziewczyna ma powody do porachunków z tobą, ja się do tego mieszał nie będę. Zwróć się do wójta, do straży miejskiej. Jesteś miejscowym czarodziejem, chroni cię miejscowe prawo.

– Napluć mi na prawo, na wójta i na jego pomoc! – wybuchnął Stregobor. – Nie potrzebuję obrony, chcę, byś ją zabił! Do tej wieży nie wejdzie nikt, jestem tu zupełnie bezpieczny. Ale co mi z tego, nie mam zamiaru siedzieć tu do końca swoich dni. Dzierzba nie zrezygnuje póki żyje, wiem to. Mam siedzieć w tej wieży i czekać na śmierć?

– One siedziały. Wiesz co, magiku? Trzeba było zostawić polowanie na dziewczęta innym, potężniejszym czarodziejom, trzeba było przewidzieć konsekwencje.

– Proszę cię, Geralcie.

– Nie, Stregoborze.

Czarnoksiężnik milczał. Nieprawdziwe słońce na nieprawdziwym niebie nie przesunęło się w kierunku zenitu, ale wiedźmin wiedział, że w Blavinek już zmierzcha. Poczuł głód.

– Geralcie – powiedział Stregobor – kiedy słuchaliśmy Eltibalda, wielu z nas miało wątpliwości. Ale postanowiliśmy wybrać mniejsze zło. Teraz ja ciebie proszę o podobny wybór.

– Zło to zło, Stregoborze – rzekł poważnie wiedźmin, wstając. – Mniejsze, większe, średnie, wszystko jedno, proporcje są umowne a granice zatarte. Nie jestem świątobliwym pustelnikiem, nie samo dobro czyniłem w życiu. Ale jeżeli mam wybierać pomiędzy jednym złem a drugim, to wolę nie wybierać wcale. Czas na mnie. Zobaczymy się jutro.

– Może – powiedział czarodziej. – Jeżeli zdążysz.

3

W „Złotym Dworze", reprezentacyjnym zajeździe miasteczka, było ludno i gwarno. Goście, miejscowi i przyjezdni, zajęci byli w większości czynnościami typowymi dla nacji lub profesji. Poważni kupcy kłócili się z krasnoludami o ceny towarów i oprocentowanie kredytu. Mniej poważni kupcy szczypali w tyłki dziewczęta, roznoszące piwo i kapustę z grochem. Lokalni przygłupkowie udawali dobrze poinformowanych. Dziewki starały się podobać mającym pieniądze, równocześnie zniechęcając nie mających. Woźnice i rybycy pili tak, jak gdyby od jutra miano wydać zakaz uprawy chmielu. Żeglarze śpiewali piosenkę, sławiącą morskie fale, odwagę kapitanów i wdzięki syren, te ostatnie malowniczo i w szczegółach.



Roberto Bonadimani

– Wytęż pamięć, Setniku – rzekł Caldemeyn do karczmarza, przechylając się przez kontuar, by być słyszanym poprzez harmider. – Sześciu chłopa i dziewucha, czarno odziani, w skórę nabijaną srebrem, novigradzką modą. Widziałem ich na rogatkach. Zatrzymali się u ciebie, czy „Pod Tuńczykiem"?

Karczmarz zmarszczył wypukłe czoło, wycierając kufel w pasiasty fartuch.

– Tu, wójcie – powiedział wreszcie. – Prawili, że na jarmark przyjechali, a wszyscy przy mieczach, nawet dziewka. Czarno, jak rzekliście, odziani.

– Ano – kiwnął głową wójt. – Gdzie oni teraz? Tu ich nie widzę.

– We mniejszym alkierzu. Złotem płacili.

– Pójdę sam, Caldemeynie – powiedział Geralt. – Nie ma co robić z tego sprawy urzędowej, przynajmniej na razie, wobec nich wszystkich. Przyprowadzę ją tutaj.

– Może i dobrze. Ale uważaj, nie chcę tu awantury.

– Będę uważał.

Piosenka żeglarzy, sądząc po rosnącym nasyceniu plugawymi słowami, zmierzała do wielkiego finału. Geralt uchylił kotarę, zasłaniającą wejście do alkierza, sztywną i lepką od brudu.

Przy stole w alkierzu siedziało sześciu mężczyzn. Tej, której się spodziewał, nie było wśród nich.

– Czego? – wrzasnął ten, który dostrzegł po pierwszy, łysawy, z twarzą zniekształconą blizną, biegnącą przez lewą brew, nasadę nosa i prawy policzek.

– Chcę się widzieć z Dzierzbą.

Od stołu wstały dwie jednakowe postacie, o identycznych, nieruchomych twarzach, jasnych, zmierzwionych włosach, sięgających ramion, w identycznych, obcisłych strojach z czarnej skóry, lśniących od srebrnych ozdób. Jedakowymi ruchami bliźniacy podnieśli z ławy jednakowe miecze.

– Spokój, Vyr. Siadaj, Nimir – powiedział człowiek z blizną,

opierając łokcie na stole. – Z kim, mówisz, chcesz się widzieć, bracie? Kto to jest Dzierzba?

– Wiesz dobrze, o kogo mi chodzi.

– Co to za jeden? – spytał półnagi osiłek, spocony, przepasany na krzyż pasami, z kolczastymi ochraniaczami na przedramionach. – Znasz go, Nohorn?

– Nie znam – powiedział człowiek z blizną.

– To jakiś albinos – zachichotał szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, siedzący obok Nohorna. Delikatne rysy, wielkie, czarne oczy i szpiczasto zakończone uszy nieomylnie zdradzały półkrwi elfa. – Albinos, mutant, wybryk natury. Że też takim pozwala się wchodzić do szynków, między porządnych ludzi.

– Ja go już gdzieś widziałem – powiedział krępy, ogorzały typ z włosami zaplecionymi w warkocz, mierząc Geralta złym spojrzeniem zmrużonych oczu.

– Nieważne, gdzie go widziałeś, Tavik – powiedział Nohorn. – Słuchaj no, bracie. Civril przed chwilą strasznie cię obraził. Nie wyzwiesz go? Taki nudny wieczór.

– Nie – rzekł spokojnie wiedźmin.

– A mnie, jeśli wyleję ci na łeb tę rybią polewkę, wyzwiesz? – zarechotał goły do pasa.

– Spokój, Piętnastka – rzekł Nohorn. – Powiedział, że nie, to nie. Na razie. No, bracie, mów, co masz do powiedzenia i wynoś się. Masz okazję sam się wynieść. Nie skorzystasz, to wyniesie cię obsługa.

– Tobie nie mam nic do powiedzenia. Chcę się widzieć z Dzierzbą. Z Renfri.

– Słyszeliście, chłopcy? – Nohorn rozejrzał się po kompanach. – On chce się widzieć z Renfri. A w jakimże to celu, bracie, można wiedzieć?

– Nie można.

Nohorn uniósł głowę i popatrzył na bliźniaków, ci zaś postąpili krok do przodu, brzęcząc srebrnymi klamerkami wysokich butów.

– Wiem – powiedział nagle ten z warkoczem. – Już wiem, gdzie go widziałem!

– Co tam mamlesz, Tavik?

– Przed domem wójta. Przywiózł jakiegoś smoka na handel, takie skrzyżowanie pająka z krokodylem. Ludzie gadali, że to wiedźmin.

– Co to takiego jest, wiedźmin? – spytał ten goły, Piętnastka. – Hę? Civril?

– Najemny czarownik – powiedział pół-elf. – Kuglarz za garść srebrników. Mówiłem, wybryk natury. Obraza praw ludzkich i boskich. Takich powinno się palić.

– Nie lubimy czarowników – zazgrzytał Tavik, nie odrywając od Geralta zmrużonych ślepi. – Coś mi się zdaje, Civril, że będziemy mieli w tej dziurze więcej roboty, niż myśleliśmy. Tu ich jest więcej, niż jeden, a wiadomo, że oni trzymają się razem.

– Ciągnie swój do swego – uśmiechnął się złośliwie mieszaniec. – Że też ziemia nosi takich, jak ty. Kto was płodzi, dziwolągi?

– Więcej tolerancji, jeśli łaska – rzekł spokojnie Geralt. – Twoja matka, jak widzę, musiała dostatecznie często chodzić sama po lesie, byś miał powody zastanawiać się nad własnym pochodzeniem.

– Możliwe – odpowiedział pół-elf, nie przestając się uśmiechać. – Ale ja przynajmniej znałem moją matkę. Ty, jako wiedźmin, nie możesz tego powiedzieć o siebie.

Geralt pobladł lekko i zacisnął wargi. Nohorn, którego uwadze to nie uszło, zaśmiał się gromko.

– No, bracie, takiej obrazy nie możesz puścić płazem. To, co masz na grzbiecie, wygląda na miecz. Więc jak? Wyjdziecie z Civrilem na dwór? Wieczór taki nudny.

Wiedźmin nie zareagował.

– Zasrany tchórz – parsknął Tavik.

– Co on mówił o matce Civrila? – ciągnął monotonnie Nohorn, opierając podbródek na splecionych dłoniach. – Coś strasznie obrzydliwego, jak zrozumiałem. Że się puszczała, czy jakoś tak. Hej, Piętnastka, czy wypada słuchać, jak jakiś przybłęda obraża matkę kompana? Matka, taka jej mać, to świętość!

Piętnastka wstał ochoczo, odpiął miecz, cisnął na stół. Wypiął pierś, poprawił najeżone srebrnymi ćwiekami ochraniacze na przedramionach, splunął i postąpił krok do przodu.

– Jeżeli masz jakieś wątpliwości – powiedział Nohorn – to Piętnastka właśnie wyzywa cię do walki na pięści. Mówiłem, że cię stąd wyniosą. Zróbcie miejsce.

Piętnastka zbliżył się, unosząc pięści. Geralt uniósł dłoń ku rękojeści miecza.

– Uważaj – powiedział. – Jeszcze krok, a będziesz szukał swojej ręki na podłodze.

Nohorn i Tavik zerwali się, łapiąc za miecze. Milczący bliźniacy dobyli swoich, jednakowymi ruchami. Piętnastka cofnął się. Nie poruszył się jedynie Civril.

– Co tu się wyrabia, psiakrew? Na chwilę nie można was samych zostawić?

Geralt odwrócił się, bardzo wolno, i spojrzał w oczy koloru morskiej wody.

Prawie dorównywała mu wzrostem. Włosy, koloru słomy, nosiła nierówno obcięte, nieco poniżej uszu. Stała opierając się jedną ręką o drzwi, w obcisłym, aksamitnym kaftaniku, ściągniętym ozdobnym pasem. Jej spódnica była nierówna, asymetryczna – z lewej strony sięgała łydki, z prawej odsłaniała mocne udo ponad cholewą wysokiego buta z łosiowej skóry. U lewego boku miała miecz, u prawego sztylet z wielkim rubinem w głowicy.

– Zaniemówiliście?

– To wiedźmin – bąknął Nohorn.

– No to co?

– Chciał rozmawiać z tobą.

– No to co?

– To czarownik! – zahuczał Piętnastka.

– Nie lubimy czarowników – warknął Tavik.

– Spokojnie, chłopcy – powiedziała dziewczyna. – Chce ze mną porozmawiać, to nie zbrodnia. Wy bawcie się dalej. I bez awantur. Jutro jest dzień targowy. Nie chcecie chyba, żeby wasze wybryki zakłóciły jarmark, tak ważne wydarzenie w życiu tego miłego miasteczka?

W ciszy, jaka zapadła, rozległ się cichy, paskudny chichot. Civril, wciąż rozwalony niedbale na ławie, śmiał się.

– Niech cię, Renfri – wykrztusił mieszaniec. – Ważne... wydarzenie!

– Zamknij się, Civril. Natychmiast.

Civril przestał się śmiać. Natychmiast. Geralt nie zdziwił się. W głosie Renfri zadźwięczało coś bardzo dziwnego. Coś, co kojarzyło się z czerwonym odblaskiem pożaru na klingach, wyciem mordowanych, rżeniem koni i zapachem krwi. Inni również musieli mieć podobne skojarzenia, bo bladość pokryła nawet ogorzałą gębę Tavika.

– No, białowłosy – przerwała ciszę Renfri. – Wyjdźmy do większej izby, dołączmy do wójta, z którym tu przyszedłeś. On pewnie także chce ze mną rozmawiać.

Caldemeyn, czekający przy kontuarze, na ich widok przerwał cichą rozmowę z karczmarzem, wyprostował się, splótł ręce na piersi.

– Słuchajcie, pani – rzekł twardo, nie tracąc czasu na wymianę zdawkowych grzeczności. – Wiem od tego tu wiedźmina z Rivii, co was sprowadza do Blaviken. Podobno żywicie urazę do naszego czarodzieja.

– Może. I co z tego? – spytała cicho Renfri, również niezbyt grzecznym tonem.

– A to, że do takich uraz sądy grodzkie albo kasztelańskie są. Kto urazę u nas na Łukomorzu żelazem chce mścić, za zwykłego zbója bywa uważany. A to jeszcze, że albo wczesnym rankiem wyniesiecie się z Blaviken razem ze swoją czarną kompanią, albo was wsadzę do jamy, pre... Jak to się nazywa, Geralcie?

– Prewencyjnie.

– Właśnie. Pojęliście, panienko?

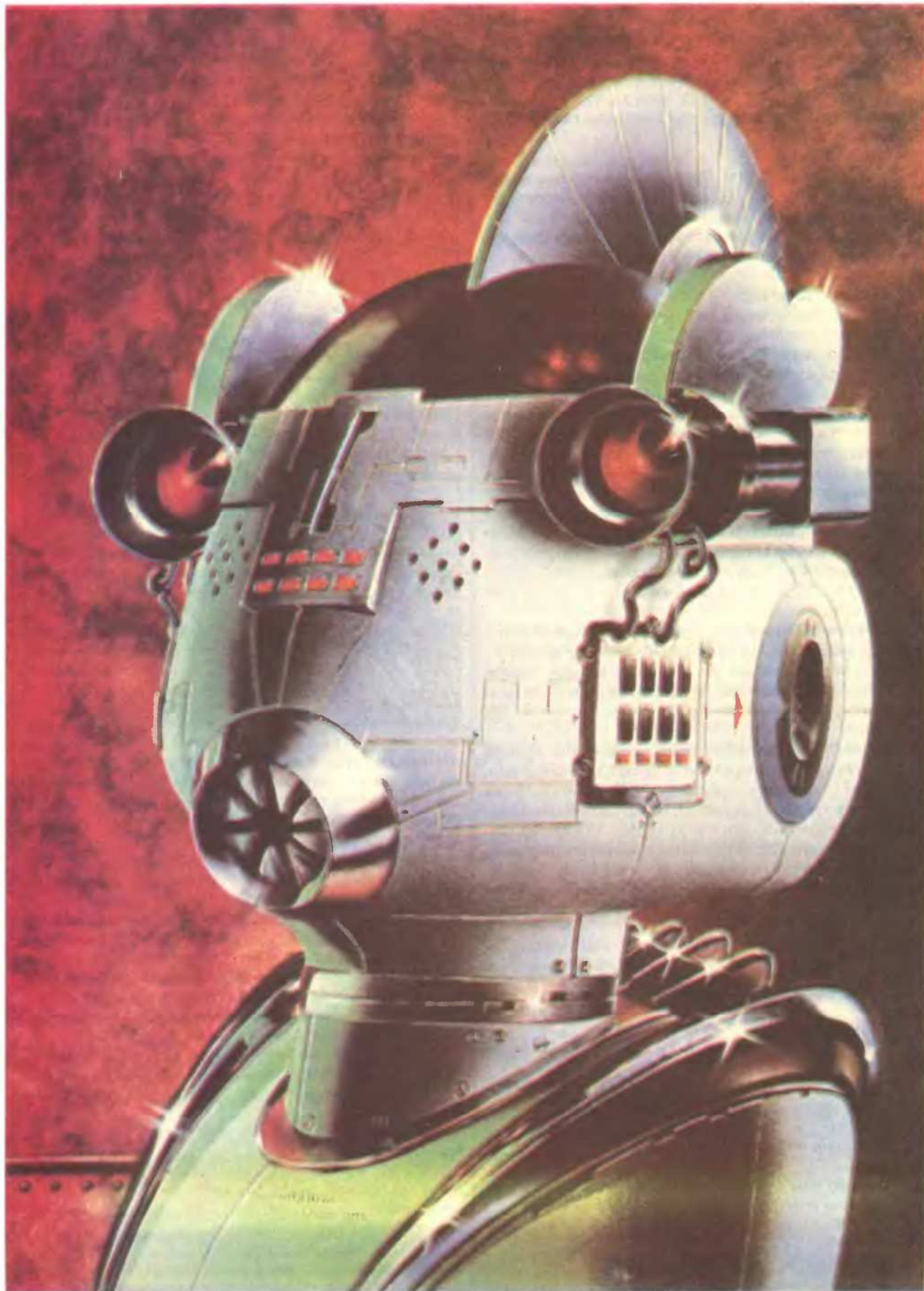
Renfri sięgnęła do sakiewki przy pasie, wydobyła kilkakrotnie złożony pergamin.

– Przeczytajcie to sobie, wójcie, jeśliście gramotni. I więcej nie mówcie do mnie „panienko".

Caldemeyn wziął pergamin, czytał długo, potem bez słowa podał go Geraltowi.

– „Do moich komesów, wasali i poddanych wolnych – przeczytał wiedźmin na głos. – Wszem i wobec oznajmiam, jako Renfri, księżniczka creydeńska, w naszej pozostaje służbie i miłą jest nam, tegdy gniew nasz ściągnie na siebie, kto by jej wstrenty czy-

Chris Moore





nił. Audoen, król..." „Wstręty" pisze się inaczej. Ale pieczęć wygląda na autentyczną.

– Bo jest autentyczna – powiedziała Renfri, wyrywając mu pergamin. – Postawił ją Audoen, wasz miłościwy pan. Dlatego nie radzę robić mi wstrętów. Niezależnie od tego, jak się to pisze, skutek może być dla was opłakany. Nie będziecie mnie, mości wójcie, wsadzać do jamy. Ani mówić do mnie „panienko". Żadnego prawa nie naruszyłam. Na razie.

– Jeśli je naruszysz, choćby na piędź – Caldemeyn wyglądał, jakby chciał splunąć – wsadzę cię do lochu razem z tym pergaminem. Klnę się na wszystkich bogów, panienko. Chodź, Geralt.

– Z tobą, wiedźminie – Renfri dotknęła ramienia Geralta – jeszcze słowo.

– Nie spóźnij się na kolację – rzucił wójt przez ramię – Bo Libusze będzie wściekła.

– Nie spóźnię się.

Geralt oparł się o kontuar. Bawiąc się medalionem z paszczą wilka, zawieszonym na szyi, patrzył w niebiesko-zielone oczy dziewczyny.

– Słyszałam o tobie – powiedziała. – Jesteś Geralt z Rivii, białowłosy wiedźmin. Stregobor to twój przyjaciel?

– Nie.

– To upraszcza sprawę.

– Nie zanadto. Nie mam zamiaru spokojnie się przyglądać.

Oczy Renfri zwęziły się.

– Stregobor jutro umrze – rzekła cicho, odgarniając z czoła nierówno obcięte włosy. – Byłoby mniejszym złem, gdyby umarł tylko on.

– Jeśli, a właściwie zanim, Stregobor umrze, umrze jeszcze kilka osób. Nie widzę innej możliwości.

– Kilka, wiedźminie, to skromnie powiedziane.

– Żeby mnie nastraszyć, trzeba czegoś więcej, niż słowa, Dzierzbo.

– Nie nazywaj mnie Dzierzbą. Nie lubię tego. Rzecz w tym, że ja widzę inne możliwości. Warto by to obgadać, ale cóż, Libusze czeka. Ładna chociaż ta Libusze?

– To wszystko, co miałaś mi do powiedzenia?

– Nie. Ale teraz już idź. Libusze czeka.

4 Ktoś był w jego izdebce na stryszku. Geralt wiedział o tym, zanim jeszcze zbliżył się do drzwi, poznał to po ledwie wyczuwalnej wibracji medalionu. Zdmuchnął kaganek, którym przyświecał sobie na schodach. Wyjął sztylet z cholewy, wetknął go z tyłu za pas. Nacisnął klamkę. W izbie było ciemno. Nie dla wiedźmina.

Przekroczył próg rozmyślnie wolno, ospale, powoli zamknął za sobą drzwi. W następnej sekundzie skoczył, z potężnego odbicia, długim szczupakiem, zwalił się na człowieka, siedzącego na jego łóżku, przygniótł go do pościeli, lewe przedramię wraził mu pod brodę, sięgnął po sztylet. Nie wydobył go. Coś było nie tak.

– Początek całkiem niezły – odezwała się stłumionym głosem, leżąc pod nim bez ruchu. – Liczyłam się z tym, ale nie sądziłam, że tak prędko będziemy oboje w łóżku. Zabierz rękę z mojego gardła, jeśli łaska.

– To ty.

– To ja. Słuchaj, są dwie możliwości. Pierwsza – zejdziesz ze mnie i porozmawiamy. Druga – zostaniemy w tej pozycji, ale chciałabym zdjąć przynajmniej buty.

Wiedźmin wybrał pierwszą możliwość. Dziewczyna westchnęła, wstała, poprawiła włosy i spódnicę.

– Zapal świecę – powiedziała. Ja nie widzę po ciemku, jak ty, a lubię widzieć swojego rozmówcę.

Podeszła do stołu, wysoka, szczupła, zwinna, usiadła, wyciągając przed siebie nogi w wysokich butach. Nie miała żadnej widocznej broni.

– Masz tu coś do picia?

– Nie.

– W takim razie dobrze, że przyniosłam – zaśmiała się, stawiając na stole podróżny bukłaczek i dwa skórzane kubki.

– Jest prawie północ – rzekł Geralt zimno. – Może przejdziemy do rzeczy?

– Zaraz. Masz, pij. Twoje zdrowie, Geralt.

– Nawzajem, Dzierzbo.

– Nazywam się Renfri, psiakrew – poderwała głowę. – Pozwalam ci pomijać mój książęcy tytuł, ale przestań nazywać mnie Dzierzbą!

– Ciszej, obudzisz cały dom. Czy dowiem się nareszcie, w jakim celu wkradłaś się tu przez okno?

– Jakiś ty niedomyślny, wiedźminie. Chcę ocalić Blaviken przed rzezią. Żeby to z tobą omówić, łaziłam po dachach jak kocica w marcu. Doceń to.

– Doceniam – powiedział Geralt. – Tyle, że nie wiem, co może dać taka rozmowa. Sytuacja jest jasna. Stregobor siedzi w czarodziejskiej wieży, żeby go dostać, musiałabyś go tam oblegać. Jeżeli to zrobisz, nie pomoże ci twój list żelazny. Audoen nie będzie cię chronił, jeśli otwarcie złamiesz prawo. Wójt, straż, całe Blaviken wystąpi przeciwko, tobie.

– Całe Blaviken, jeśli wystąpi przeciwko mnie, to będzie



Roberto Bonadimani

strasznie żałować. – Renfri uśmiechnęła się, ukazując drapieżne, białe zęby. – Przyjrzałeś się moim chłopcom? Zaręczam ci, znają się na swoim rzemiośle. Czy wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli dojdzie do walki między nimi a tymi ciołkami ze straży, którzy co krok potykają się o własne halabardy?

– A czy ty, Renfri, wyobrażasz sobie, że ja będę stał i przyglądał się spokojnie takiej walce? Jak widzisz, mieszkam u wójta. W potrzebie wypadnie mi stanąć u jego boku.

– I nie wątpię – Renfri spoważniała – że staniesz. Tyle, że pewnie sam, bo reszta pochowa się po piwnicach. Nie ma na świecie wojownika, który dałby radę siódemce z mieczami. Tego żaden człowiek nie dokona. Ale, białowłosy, przestańmy straszyć się nawzajem. Mówiłam, rzezi i rozlewowi krwi można zapobiec. Konkretnie, są dwie osoby, które mogą temu zapobiec.

– Zamieniam się w słuch.

– Jedna – powidziała Renfri – to sam Stregobor. Dobrowolnie wyjdzie ze swojej wieży, ja zabiorę go gdzieś na pustkowie, a Blaviken znów pogrąży się w błogiej apatii i rychło zapomni o całej sprawie.

– Stregobor może i sprawia wrażenie pomylonego, ale nie do tego stopnia.

– Kto wie, wiedźminie, kto wie. Istnieją argumenty, których nie można odeprzeć, istnieją propozycje nie do odrzucenia. Do takich należy, na przykład, tridamskie ultimatum. Postawię czarownikowi tridamskie ultimatum.

– Na czym takie ultimatum polega?

– Moja słodka tajemnica.

– Niech ci będzie. Wątpię jednak w jego skuteczność. Strego-

borowi, kiedy mówi o tobie, dzwonią zęby. Ultimatum, które skłoniłoby go do dobrowolnego oddania się w twoje śliczne rączki, musiałoby być naprawdę nieliche. Przejdźmy więc raczej do drugiej osoby, mogącej zapobiec rzezi w Blaviken. Spróbuję zgadnąć, kto to taki.

– Ciekawam twej przenikliwości, białowłosy.

– To ty, Renfri. Ty sama. Wykażesz iście książęcą, co ja mówię, królewską wielkoduszność i poniechasz zemsty. Zgadłem?

Renfri odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się gromko, w porę zakrywając usta dłonią. Potem spoważniała, utkwiła w wiedźminie błyszczące oczy.

– Geralt – powiedziała – ja byłam księżniczką, ale w Creyden. Miałam wszystko, o czym tylko zamarzyłam, nawet prosić nie potrzebowałam. Służbę na każde zawołanie, sukienki, buciki. Majtki z batystu. Klejnoty i błyskotki, bułanego kucyka, złote rybki w basenie. Lalki i dom dla nich, większy od tej twojej izby, tutaj. I tak było aż do dnia, w którym twój Stregobor i ta kurwa Aridea rozkazali łowczemu zabrać mnie do lasu, zarżnąć i przynieść sobie serce i wątrobę. Pięknie, nieprawdaż?

– Nie, raczej obrzydliwie. Cieszy mnie, że wówczas poradziłaś sobie z łowczym, Renfri.

– Gówno tam, poradziłam. Zlitował się i puścił mnie. Ale przedtem zgwałcił, sukinsyn, obrabował z kolczyków i złotego diademiku.

Geralt spojrzał jej prosto w oczy, bawiąc się medalionem. Nie spuściła wzroku.

– I to był koniec księżniczki – ciągnęła. – Sukienka podarła się, batyst bezpowrotnie utracił biel. A potem był brud, głód, smród, kije i kopniaki. Oddawanie się byle łajzie za miskę zupy lub dach nad głową. Czy wiesz, jakie ja miałam włosy? Jak jedwab, a sięgały mi dobry łokieć poniżej tyłka. Kiedy złapałam wszy, obcięto mi je nożycami do strzyżenia owiec, przy samej skórze. Nigdy już nie odrosły mi porządnie.

Zamilkła na chwilę, odgarnęła z czoła nierówne kosmyki.

– Kradłam, by nie zdechnąć z głodu – podjęła. – Zabijałam, by mnie nie zabito. Siedziałam w lochach, śmierdzących uryną, nie wiedząc, czy mnie nazajutrz powieszą, czy tylko wychłoszczą i wypędzą. A przez cały ten czas moja macocha i twój czarownik deptali mi po piętach, nasyłali morderców, próbowali otruć. Rzucali uroki. Okazać wielkoduszność? Wybaczyć mu po królewsku? Ja mu po królewsku urwę głowę, a może przedtem obie nogi, to się zobaczy.

– Aridea i Stregobor próbowali cię otruć?

– Owszem. Jabłkiem, zaprawionym wyciągiem z pokrzyku. Uratował mnie pewien gnom. Dał mi emetyk, po którym myślałam, że wywrócę się na nice, jak pończocha. Ale przeżyłam.

– To był jeden z siedmiu gnomów?

Renfri, która właśnie nalewała, zamarła z bukłaczkiem nad kubkiem.

– Oho – rzekła. – Sporo o mnie wiesz. A co? Masz coś przeciw gnomom? Albo innym humanoidom? Jeżeli chodzi o ścisłość, byli dla mnie lepsi od większości ludzi. Ale to cię nie powinno obchodzić. Mówiłam, Stregobor i Aridea szczuli mnie jak dzikie zwierzę, dopóki mogli. Później przestali móc, ja sama stałam się myśliwym. Aridea wyciągnęła kopyta we własnym łóżku, miała szczęście, że jej wcześniej nie dopadłam, miałam dla niej ułożony specjalny program. A teraz mam czarownika. Geralcie, według ciebie, zasłużył na śmierć? Powiedz.

– Nie jestem sędzią. Jestem wiedźminem.

– Właśnie. Mówiłam, że są dwie osoby, mogące zapobiec rozlewowi krwi w Blaviken. Drugą jesteś ty. Ciebie czarownik wpuści do wieży, a wtedy go zabijesz.

– Renfri – powiedział spokojnie Geralt. – Czy po drodze do mojej izdebki nie spadłaś przypadkiem z dachu na głowę?

– Jesteś wiedźminem, czy nie, pisakrew? Mówią, że zabiłeś kikimorę, przywiozłeś ją na osiołku do wyceny. Stregobor jest gorszy niż kikimora, która jest bezrozumnym bydlęciem i zabija, bo taką ją bogowie stworzyli. Stregobor to okrutnik, maniak, potwór. Przywieź mi go na osiołku, a ja nie pożałuję złota.

– Nie jestem najemnym zbirem, Dzierzbo.

– Nie jesteś – zgodziła się z uśmiechem. Odchyliła się na oparcie zydla i skrzyżowała nogi na stole, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by przykryć uda spódnicą. – Jesteś wiedźmin, obrońca ludzi, których chronisz od Zła. A w tym przypadku Zło to żelazo i ogień, które zaczną tu hulać, gdy staniemy przeciw sobie. Nie wydaje ci się, że proponuję mniejsze zło, najlepsze rozwiązanie? Nawet dla tego sukinsyna Stregobora. Możesz go zabić miłosiernie, jednym pchnięciem, znienacka. Umrze, nie wiedząc, że umiera. A ja mu tego nie gwarantuję. Wręcz przeciwnie.

Geralt milczał. Renfri przeciągnęła się, unosząc ręce do góry.

– Rozumiem twoje wahanie – powiedziała. – Ale odpowiedź muszę znać natychmiast.

– Czy wiesz, dlaczego Stregobor i księżna chcieli cię zabić, wtedy w Creyden, i później?

Renfri wyprostowała się gwałtownie, zdjęła nogi ze stołu.

– To chyba oczywiste – wybuchnęła. – Chcieli pozbyć się pierworodnej córki Fredefalka, bo byłam dziedziczką tronu. Dzieci Aridei były z morganatycznego związku i nie miały żadnych praw do...

– Renfri, nie o tym mówię.

Dziewczyna opuściła głowę, ale tylko na moment. Oczy jej rozbłysły.

– No, więc dobrze. Mam być jakoby przeklęta. Skażona w łonie matki. Mam być...

– Dokończ.

– Potworem.

– A jesteś?

Przez moment, bardzo krótki, wyglądała na bezbronną i załamaną. I bardzo smutną.

– Nie wiem, Geralcie – szepnęła, po czym rysy stwardniały jej znowu. – Bo i skąd mam, psiakrew, wiedzieć? Jak się skaleczę w palec, krwawię. Krwawię też co miesiąc. Jak się obeżrę, boli mnie brzuch, a jak opiję, głowa. Jak jestem wesoła, to śpiewam, a jak smutna, klnę. Jak kogoś nienawidzę, to zabijam, a jak... Ach, psiakrew, dość tego. Twoja odpowiedź, wiedźminie.

– Moja odpowiedź brzmi „nie".

– Pamiętasz, co mówiłam? – spytała po chwili milczenia. – Są propozycje, których nie można odrzucić, skutki bywają straszne. Poważnie cię ostrzegam, moja właśnie do takich należała. Zastanów się dobrze.

– Zastanowiłem się dobrze. I potraktuj mnie poważnie, bo ja również poważnie cię ostrzegam.

Renfri milczała przez czas jakiś, bawiąc się sznurem pereł, trzykrotnie okręconych wokół zgrabnej szyi, figlarnie wpadającym pomiędzy dwie zgrabne półkule, widoczne w rozcięciu kaftanika.

– Geralcie – powiedziała. – Czy Stregobor prosił cię, abyś mnie zabił?

– Tak. Uważał, że to będzie mniejszym złem.

– Czy mogę przyjąć, że mu odmówiłeś, tak jak mnie?

– Możesz.

– Dlaczego?

– Bo nie wierzę w mniejsze zło.

Renfri uśmiechnęła się lekko, po czym usta skrzywił jej grymas, bardzo nieładny w żółtym świetle świecy.

– Nie wierzysz, powiadasz. Widzisz, masz rację, ale tylko częściowo. Istnieje tylko Zło i Większe Zło, a za nimi oboma, w cieniu, stoi Bardzo Wielkie Zło. Bardzo Wielkie Zło, Geralcie, to takie, którego nawet wyobrazić sobie nie możesz, choćbyś myślał, że nic już nie może cię zaskoczyć. I widzisz, Geralcie, niekiedy bywa tak, że Bardzo Wielkie Zło chwyci cię za gardło i powie: „Wybieraj, bratku, albo ja, albo tamto, trochę mniejsze".

– Czy mogę wiedzieć, do czego zmierzasz?

– Do niczego. Wypiłam trochę i filozofuję, szukam prawd ogólnych. Właśnie jedną znalazłam – mniejsze zło istnieje, ale my nie możemy wybierać go sami. To Bardzo Wielkie Zło potrafi nas do takiego wyboru zmusić. Czy tego chcemy, czy nie.

– Najwyraźniej ja wypiłem za mało. – Wiedźmin uśmiechnął się cierpko. – A północ, jak to północ, minęła tymczasem. Przejdźmy do konkretów. Nie zabijesz Stregobora w Blaviken, nie pozwolę na to. Nie pozwolę, by doszło tu do walki i rzezi. Po raz drugi proponuję – zaniechaj zemsty. Zrezygnuj z zabicia go. W ten sposób udowodnisz jemu, i nie tylko jemu, że nie jesteś nieludzkim, krwiożerczym potworem, mutantem i odmieńcem. Udowodnisz mu, że się mylił. Że wyrządził ci wielką krzywdę swoją pomyłką.

Renfri przez chwilę patrzyła na medalion wiedźmina, kręcący się na łańcuszku, obracanym w palcach.

– A jeśli ci powiem, wiedźminie, że nie potrafię wybaczać ani rezygnować z zemsty, będzie to równoznaczne z przyznaniem mu – i nie tylko jemu – racji, prawda? Udowodnię tym samym, że jednak jestem potworem, nieludzkim demonem, przeklętym przez bogów? Posłuchaj, wiedźminie. Na samym początku mojej tułaczki przygarnął mnie pewien wolny kmieć. Spodobałam mu się. Ponieważ on jednak wcale mi się nie podobał, a wręcz przeciwnie, za każdym razem, kiedy chciał mnie mieć, prał mnie tak, że rano ledwo zwlekałam się z barłogu, któregoś razu wstałam, gdy było jeszcze ciemno i poderżnęłam kmieciowi gardło. Nie miałam wtedy jeszcze takiej wprawy, jak dzisiaj, i nóż wydał mi się za mały. I widzisz, Geralcie, słuchając, jak kmieć gulgocze i krztusi się, patrząc, jak wierzga nogami, poczułam, że ślady jego kija i pięści nie bolą już nic a nic, i że jest mi dobrze, tak dobrze, że aż... Odeszłam raźno pogwizdując, zdrowa, wesoła i szczęśliwa. I później za każdym razem było tak samo. Gdyby było inaczej, któż by tracił czas na zemstę?


Roberto Bonadimani

– Renfri – powiedział Geralt. – Niezależnie od twoich racji i motywów, nie odjedziesz stąd, pogwizdując, i nie będzie ci tak dobrze że aż. Nie odjedziesz wesoła i szczęśliwa, ale odjedziesz żywa. Jutro, wcześnie rano, tak, jak nakazał wójt. Już ci to mówiłem, ale powtórzę. Nie zabijesz Stregobora w Blaviken.

Oczy Renfri błyszczały w świetle świecy, błyszczały perły w wycięciu kaftanika, błyszczał medalion z paszczą wilka, wirując na srebrnym łańcuszku.

– Żal mi ciebie – powiedziała nagle dziewczyna wolno, wpatrzona w migoczący krążek srebra. – Twierdzisz, że nie istnieje mniejsze zło. Stoisz na placu, na bruku zalanym krwią, sam, taki bardzo samotny, bo nie umiałeś dokonać wyboru. Nie umiałeś, ale dokonałeś. Nigdy nie będziesz wiedział, nigdy nie będziesz miał pewności, nigdy, słyszysz... A twoją zapłatą kamień, złe słowo. Żal mi ciebie.

– A ty? – spytał wiedźmin cicho, prawie szeptem.

– Ja też nie umiem wybierać.

– Kim jesteś?

– Jestem tym, czym jestem.

– Gdzie jesteś?

– Zimno... mi...

– Renfri! – Geralt ścisnął medalion w dłoni.

Poderwała głowę, jak zbudzona ze snu, mrugnęła kilkakrotnie, zdziwiona. Przez moment, bardzo krótki, wyglądała na przestraszoną.

– Wygrałeś – powiedziała nagle ostro. – Wygrałeś, wiedźminie. Jutro rankiem wyjeżdżam z Blaviken i nigdy nie wrócę do tego parszywego miasteczka. Nigdy. Nalej, jeśli jeszcze coś zostało we flaszce.

Zwykły, drwiąco-figlarny uśmieszek wrócił na jej wargi, gdy odstawiała pusty kubek na stół.

– Geralt?

– Jestem.

– Ten cholerny dach jest stromy. Wolałabym wyjść o świcie. Po ciemku mogę spaść i potłuc się. Jestem księżniczką, mam delikatne ciało, wyczuwam ziarnko grochu przez siennik. O ile nie jest porządnie wypchany słomą, rzecz jasna. Co ty na to?

– Renfri – Geralt uśmiechnął się mimo woli. – Czy to, co mówisz, przystoi księżniczce?

– Co ty, psiakrew, możesz wiedzieć o księżniczkach? Ja byłam księżniczką i wiem, że cała przyjemność bycia takową to możność robienia, co się chce. Mam ci powiedzieć wprost, czego mi się chce, czy sam się domyślisz?

Geralt, wciąż uśmiechnięty, nie odpowiedział.

– Nie chcę nawet dopuścić do siebie myśli, że ci się nie podobam – skrzywiła się dziewczyna. – Wolę założyć, że masz stracha, by nie spotkał cię los wolnego kmiecia. Ech, białowłosy. Nie mam przy sobie niczego ostrego. Zresztą, sprawdź sam.

Położyła mu nogi na kolanach.

– Ściągnij mi buty. Cholewa to najlepsze miejsce do ukrycia noża.

Bosa, wstała, szarpnęła klamrę pasa.

– Tutaj również niczego nie ukrywam. Ani tutaj, jak widzisz. Zgaś tę cholerną świecę.

Na zewnątrz, w ciemnościach, darł się kot.

– Renfri?

– Co?

– To batyst?

– Pewnie, że tak, psiakrew. Jestem księżniczką, czy nie?

5

– Tata – nudziła monotonnie Marilka. – Kiedy pójdziemy na jarmark? Na jarmark, tata!

– Cicho, Marilka – burknął Caldemeyn, wycierając talerz chlebem. – Więc jak mówisz, Geralt? Wynoszą się z miasteczka?

– Tak.

– No, nie myślałem, że tak gładko pójdzie. Z tym pergaminem, opieczętowanym przez Audoena, trzymali mnie za gardło. Robiłem dobrą minę, ale po prawdzie to guzik mógłbym im uczynić.

– Nawet, jeśli otwarcie złamaliby prawo? Wszczęli gwałt, bijatykę?

– Nawet. Audoen, Geralt, to bardzo drażliwy król, posyła na szafot za byle co. Ja mam żonę, córkę, dobrze mi na moim urzędzie, nie muszę się głowić, skąd jutro wytrzasnę omastę do kaszy. Jednym słowem, dobrze się stało, że wyjeżdżają. A jak to się właściwie stało?

– Tata, ja chcę na jarmark!

– Libusze! Weź stąd Marilkę! Tak, Geralcie, nie sądziłem.. Wypytywałem Setnika, karczmarza ze „Złotego Dworu", o tę novigradzką kompanię. To nielicha zgraja. Niektórych rozpoznano.

– Aha?

– Ten ze szramą na gębie, to Nohorn, dawniej przyboczny Abergarda, z tak zwanej wolnej kompanii angreńskiej. Słyszałeś o wolnej kompanii? Jasne, kto nie słyszał. Ten byk, którego wołają Piętnastka, również. Nawet, jeśli nie, to nie myślę, by jego przezwisko wzięło się od piętnastu dobrych uczynków, jakie w życiu zrobił. Ten czarniawy, pół-elf, to Civril, zbój i zawodowy morderca. Podobno miał coś wspólnego z masakrą w Tridam.

– Gdzie?

– W Tridam. Nie słyszałeś? Głośno było o tym, trzy... Tak, trzy lata temu, bo Marilka miała dwa latka. Baron z Tridam trzymał w lochu jakichś zbójców. Ich kamraci, wśród nich podobno ten mieszaniec Civril, opanowali prom na rzece, pełen pielgrzymów – było to w czasie Święta Nis. Posłali do barona żądanie uwolnienia tamtych. Baron, ma się rozumieć, odmówił, a wtedy oni zaczęli mordować pątników, po kolei, jednego po drugim. Zanim baron zmiękł i puścił tamtych z lochu, spuścili z prądem ponad dziesięciu. Baronowi groziło potem wygnanie, albo nawet i topór, jedni mieli mu za złe, że uległ dopiero, gdy aż tylu zabito, inni wszczęli rwetes, że bardzo wielkie zło uczynił, że pre... pre-

cedens to był, albo jak, że trzeba było tamtych wystrzelać z kusz razem z zakładnikami, albo szturmem brać na łodziach, nie popuścić ni na palec. Baron na sądzie prawił, że mniejsze zło wybrał, bo na promie było więcej jak ćwierć setki ludzi, baby, dzieciaki.

– Tridamskie ultimatum – szepnął wiedźmin. – Renfri...

– Co?

– Caldemeynie, jarmark.

– Co?

– Nie rozumiesz, Caldemeynie? Oszukała mnie. Nie wyjadą. Zmuszą Stregobora do wyjścia z wieży, tak, jak zmusili barona z Tridam. Albo mnie zmuszą do... Nie rozumiesz? Zaczną mordować ludzi na jarmarku. Wasz rynek, w tych murach, to prawdziwa pułapka!

– Na wszystkich bogów, Geralcie! Siadaj! Dokąd, Geralcie?

Marilka, przerażona krzykiem, zachlipała, wtulona w kąt kuchni.

– Mówiłam ci! – krzyknęła Libusze, wyciągając rękę w kierunku wiedźmina. – Mówiłam! Samo zło przez niego!

– Cicho, babo! Geralt! Siadaj!

– Trzeba ich powstrzymać. Zaraz, zanim ludzie nie wejdą na rynek. Zwołaj strażników. Gdy będą wychodzili z zajazdu, za łby ich i w łyka.

– Geralcie, bądź rozsądny. Tak nie wolno, nie możemy ich ruszyć, jeśli niczego nie przeskrobali. Będą się bronić, poleje się krew. To zawodowcy, wyrżną mi ludzi. Jeśli to dojdzie do Audoena, zapłacę głową. Dobrze, zbiorę straż, pójdę na targ, tam będę miał na nich oko...

– To nic nie da, Caldemeynie. Jeśli tłum wejdzie już na plac, nie zapobiegniesz panice i rzezi. Ich trzeba unieszkodliwić zaraz, póki rynek jest pusty.

– To będzie bezprawie. Nie mogę na to zezwolić. Z tym pół-elfem i Tridam to może być plotka. Możesz się mylić, i co wtedy? Audoen pasy ze mnie będzie darł.

– Trzeba wybrać mniejsze zło!

– Geralt! Zabraniam ci! Jako wójt, zabraniam! Zostaw miecz! Stój!

Marilka krzyczała, zakrywszy buzię rączkami.

6 Civril, przysłaniając oczy dłonią, popatrzył na słońce, wychodzące zza dachów. Na rynku zaczynało się ożywiać, turkotały wozy i wózki, pierwsi przekupnie już zapełniali stragany towarem. Stukał młotek, piał kogut, głośno wrzeszczały mewy.

– Piękny dzień się zapowiada – rzekł Piętnastka w zadumie.

Civril popatrzył na niego koso, ale nic nie powiedział.

– Konie jak, Tavik? – spytał Nohorn, naciągając rękawice.

– Gotowe, osiodłane. Civril, wciąż ich mało na tym rynku.

– Będzie więcej.

– Wypadałoby coś zjeść.

– Później.

– Akurat. Będziesz miał później czas. I ochotę.

– Patrzcie – rzekł nagle Piętnastka.

Wiedźmin nadchodził od strony głównej uliczki, wchodził między stragany, zmierzał prosto na nich.

– Aha – powiedział Civril. – Renfri miała rację. Daj mi kuszę, Nohorn.

Zgarbił się, napiął cięciwę, przydeptując stopą strzemiączko. Starannie ułożył bełt w rowku. Wiedźmin szedł. Civril uniósł kuszę.

– Ani kroku dalej, wiedźminie!

Geralt zatrzymał się. Około czterdziestu kroków dzieliło go od grupy.

– Gdzie jest Renfri?

Mieszaniec wykrzywił swoją ładną twarz.

– Pod wieżą, składa czarownikowi pewną propozycję. Wiedziała, że tu przyjdziesz. Poleciła mi przekazać ci dwie rzeczy.

– Mów.

– Pierwsza rzecz, to posłanie, które brzmi: „Jestem tym, czym jestem. Wybieraj. Albo ja, albo tamto drugie, mniejsze.” Masz jakoby wiedzieć, o co chodzi.

Wiedźmin kiwnął głową, potem uniósł rękę, chwytając rękojeść miecza, sterczącą nad prawym barkiem. Klinga błysnęła, opisując łuk nad jego głową. Wolnym krokiem ruszył w kierunku grupy.

Civril zaśmiał się paskudnie, złowrogo.

– Więc jednak. Ona i to przewidziała, wiedźminie. A zatem zaraz otrzymasz drugą rzecz, którą poleciła ci przekazać. Prosto między oczy.

Wiedźmin szedł. Pół-elf uniósł kuszę do policzka. Zrobiło się bardzo cicho.

Szczęknęła cięciwa. Wiedźmin machnął mieczem, rozległ się przeciągły jęk uderzonego metalu, bełt wyleciał w górę, koziołkując, sucho trzasnął o dach, zadudnił w rynnie. Wiedźmin szedł.

– Odbił... – stęknął Piętnastka. – Odbił w locie...

– W kupę – skomenderował Civril. Syknęły miecze, dobywane z pochew, grupa zwarła się, ramię do ramienia, najeżyła ostrzami.

Wiedźmin przyśpieszył kroku, jego chód, zadziwiająco płynny i miękki, przeszedł w bieg – nie na wprost, na kolczastą od mieczów grupę, ale w bok, okrążając ją po zacieśniającej się spirali.

Tavik nie wytrzymał, rzucił się na spotkanie, skracając dystans. Za nim skoczyli bliźniacy.

– Nie rozbiegać się! – wrzasnął Civril, kręcąc głową, tracąc wiedźmina z pola widzenia. Zaklął, odskoczył w bok, widząc, że grupa rozpada się zupełnie, kręci między stragany w szaleńczym korowodzie.

Tavik był pierwszy. Jeszcze przed chwilą ścigał wiedźmina, teraz nagle dostrzegł, że ten mija go z lewej strony, biegnąc w



przeciwnym kierunku. Zadrobił nogami, by wyhamować, ale wiedźmin przemknął obok, nim zdążył unieść miecz. Tavik poczuł silne uderzenie, tuż ponad biodrem. Odkręcił się i stwierdził, że pada. Już na kolanach, zdziwiony, spojrzał na swoje biodro i zaczął krzyczeć.

Bliźniacy, jednocześnie atakując pędzący na nich czarny, rozmazany kształt, wpadli na siebie, zderzyli się barkami, na moment tracąc rytm. Wystarczyło. Vyr, cięty przez całą szerokość piersi, zgiął się w pół, z opuszczoną głową zrobił jeszcze parę kroków i runął na stragan z warzywami. Nimir dostał w skroń, zawirował w miejscu i padł do rynsztoka, ciężko, bezwładnie.

Na rynku zakotłowało się od uciekających przekupniów, zahurkotały przewracane stragany, wzbił się kurz i krzyk. Tavik jeszcze raz spróbował unieść się na rozedrganych rękach, upadł.

– Z lewej, Piętnastka! – ryknął Nohorn, biegnąc półkolem, by zajść wiedźmina z tyłu.

Piętnastka obrócił się szybko. Nie dość szybko. Dostał raz, przez brzuch, wytrzymał, złożył się do ciosu, wtedy dostał drugi

raz, w bok szyi, tuż pod ucho. Wyprężony, postąpił cztery rozkołysane kroki i zwalił się na wózek pełen ryb. Wózek potoczył się, Piętnastka zsunął się na bruk, srebrzący się od łusek.

Civril i Nohorn uderzyli jednocześnie, z dwóch stron, elf zamaszystym cięciem z wysoka, Nohorn z przyklęku, nisko, płasko. Oba ciosy zostały sparowane, dwa metaliczne szczęknięcia zlały się w jedno. Civril odskoczył, potknął się, utrzymał na nogach, chwytając się drewnianej konstrukcji straganu. Nohorn rzucił się i zasłonił go trzymanym pionowo mieczem. Odbił cios, tak silny, że rzuciło go w tył, musiał przyklęknąć. Podrywając się, złożył paradę, za wolno. Dostał cięcie przez twarz, symetryczne do starej blizny.

Civril odbił się plecami od straganu, przeskoczył padającego Nohorna, zaatakował z półobrotu, oburącz, nie trafił, momentalnie odskoczył. Nie poczuł uderzenia, nogi ugięły się pod nim dopiero, gdy po odruchowej paradzie usiłował przejść od finty do kolejnego ataku. Miecz wypadł mu z ręki, przeciętej po wewnętrznej stronie, powyżej łokcia. Upadł na klęczki, potrząsnął głową, chciał wstać, nie zdołał. Opuścił głowę na kolana, tak zamarł, w czerwonej kałuży, wśród porozrzucanej kapusty, obwarzanków i ryb.

Na rynek weszła Renfri.

Nadchodziła wolno, miękkim, kocim krokiem, wymijając wózki i stragany. Tłum, który w uliczkach i pod ścianami domów buczał jak rój szerszeni, ścichł. Geralt stał nieruchomo, z mieczem w opuszczonej ręce. Dziewczyna zbliżyła się na dziesięć kroków, zatrzymała. Zobaczył, że pod kaftanikiem ma kolczugę, krótką, ledwo zakrywającą biodra.

– Dokonałeś wyboru – stwierdziła. – Jesteś pewien, że właściwego?

– Nie będzie tu drugiego Tridam – rzekł Geralt z wysiłkiem.

– Nie byłoby. Stregobor wyśmiał mnie. Powiedział, że mogę wymordować całe Blaviken i dorzucić kilka okolicznych wsi, a on i tak nie wyjdzie z wieży. I nikogo, wliczając w to ciebie, tam nie wpuści. Co tak patrzysz? Tak, oszukałam cię. Całe życie oszukiwałam, gdy było trzeba, dlaczego miałam robić wyjątek dla ciebie?

– Odejdź stąd, Renfri.

Zaśmiała się.

– Nie, Geralcie – wydobyła miecz, szybko i zwinnie.

– Renfri.

– Nie, Geralcie. Ty dokonałeś wyboru. Kolej na mnie.

Jednym, ostrym ruchem zerwała spódnicę z bioder, zakręciła nią w powietrzu, owijając materiał dookoła lewego przedramienia. Geralt cofnął się, uniósł dłoń, składając palce w Znak. Renfri zaśmiała się znowu, krótko, chrapliwie.

– Nic z tego, białowłosy. To się mnie nie ima. Tylko miecz.

– Renfri – powtórzył. – Odejdź. Jeśli skrzyżujemy ostrza, ja... Już nie będę... mógł...

– Wiem – powiedziała. – Ale ja... Ja też nie mogę inaczej. Po prostu nie mogę. Jesteśmy tym, czym jesteśmy. Ty i ja.

Ruszyła na niego lekkim, rozkołysanym krokiem. W prawej ręce, wyprostowanej, wyciągniętej w bok, połyskiwał miecz, lewą wlokła spódnicę po ziemi. Geralt cofnął się o dwa kroki.

Skoczyła, machnęła lewą ręką, spódnica furknęła w powietrzu, w ślad za nią, przysłoniony, błysnął miecz w oszczędnym, krótkim cięciu. Geralt odskoczył, tkanina nawet go nie musnęła, a klinga Renfri ześliznęła się po ukośnej paradzie. Zripostował odruchowo, środkiem brzeszczotu, związał obie klingi krótkim młyńcem, próbując wytrącić jej broń. To był błąd. Odbiła jego ostrze i od razu, z ugiętych kolan i rozkołysanych bioder cięła, mierząc w twarz. Ledwie zdołał sparować to uderzenie, odskoczył przed spadającą na niego materią spódnicy. Zawirował w piruecie, unikając migocącej w błyskawicznych cięciach klingi, znowu odskoczył. Wpadła na niego, cisnęła spódnicę prosto w oczy, cięła płasko, z bliska, z półobrotu. Umknął przed ciosem, obracając się tuż przy niej. Znała tę sztuczkę. Obróciła się wraz z nim i z bliska, tak, że poczuł jej oddech, przejechała mu ostrzem przez pierś. Ból targnął nim, ale nie zakłócił rytmu. Obrócił się jeszcze raz, w przeciwną stronę, odbił klingę lecącą ku jego skroni, zrobił szybką fintę i zaatakował. Renfri odskoczyła, złożyła się do uderzenia z góry. Geralt, przyklękając w wypadzie, błyskawicznie ciął ją z dołu, samym końcem miecza, przez odsłonięte udo i pachwinę.

Nie krzyknęła. Padając na kolano i na bok puściła miecz, wpiła obie dłonie w przecięte udo. Spomiędzy palców krew zatętniła jasnym strumieniem, na ozdobny pas, na łosiowe buty, na brudny bruk. Tłum, wciśnięty w uliczki, zafalował i zakrzyczał.

Geralt schował miecz.

– Nie odchodź... – jęknęła, zwijając się w kłębek.

Nie odpowiedział.

– Zimno... mi...

Nie odpowiedział. Renfri jęknęła znowu, kuląc się jeszcze bardziej. Krew wartkimi strumyczkami wypełniała jamki między kamieniami.

– Geralt... Obejmij mnie...

Nie odpowiedział.

Odwróciła głowę i znieruchomiała z policzkiem na bruku. Sztylet o bardzo wąskim ostrzu, do tej pory skrywany pod ciałem, wyśliznął się z jej martwiejących palców.

Po chwili, będącej wiecznością, wiedźmin uniósł głowę na odgłos stukającej o bruk różdżki Stregobora. Czarodziej zbliżał się pośpiesznie, wymijając trupy.

– Ale jatki – zasapał. – Widziałem, Geralcie, wszystko widziałem w krysztale...

Podszedł bliżej, pochylił się. W powłóczystej, czarnej szacie, wsparty na posochu, wyglądał staro, bardzo staro.

– Wierzyć się nie chce – pokręcił głową. – Dzierzba, całkiem nieżywa.

Geralt nie odpowiedział.

– No, Geralt – czarodziej wyprostował się. – Idź po wózek. Weźmiemy ją do wieży. Trzeba zrobić sekcję.

Spojrzał na wiedźmina, nie doczekawszy się odpowiedzi schylił się nad ciałem.

Ktoś, kogo wiedźmin nie znał, sięgnął do rękojeści miecza, wydobył go, bardzo szybko.

– Dotknij jej tylko, czarowniku – powiedział ktoś, kogo wiedźmin nie znał. – Tylko jej dotknij, a twoja głowa poleci na bruk.

– Co ty, Geralcie, oszalałeś? Jesteś ranny, w szoku! Sekcja to jedyny sposób, żeby stwierdzić...

– Nie dotykaj jej!

Stregobor, widząc wznoszoną klingę, odskoczył, machnął laską.

– Dobrze! – krzyknął. – Jak chcesz! Ale nigdy nie będziesz wiedział! Nigdy nie będziesz miał pewności! Nigdy, słyszysz, wiedźminie?

– Precz.

– Jak chcesz – czarodziej odwrócił się, uderzył posochem o bruk. – Wracam do Koviru, nie zostanę ani dnia dłużej w tej dziurze. Chodź ze mną, nie zostawaj tu. Ci ludzie niczego nie wiedzą, widzieli tylko, jak zabijasz. A ty paskudnie zabijasz, Geralcie. No, idziesz?

Geralt nie odpowiedział, nawet nie patrzył na niego. Schował miecz. Stregobor wzruszył ramionami, odszedł szparkim krokiem, rytmicznie postukując laską.

Z tłumu poleciał kamień, dźwięknął o bruk. Za nim drugi, przelatując tuż nad ramieniem Geralta. Wiedźmin, wyprostowany, uniósł obie dłonie, wykonał nimi szybki gest. Tłum zaszumiał, kamienie poleciały gęściej, ale Znak odpychał je na boki – mijały cel, chroniony niewidzialnym, obłym pancerzem.

– Dość!!! – ryknął Caldemeyn. – Koniec z tym, psia mać!

Tłum zahuczał jak fala przyboju, ale kamienie przestały lecieć. Wiedźmin stał nieruchomo.

Wójt zbliżył się do niego.

– Czy to – rzekł, wskazując szerokim gestem na rozrzucone po placyku nieruchome ciała – już wszystko? Tak wygląda mniejsze zło, które wybrałeś? Czy już załatwiłeś, co uważałeś za konieczne?

– Tak – odpowiedział Geralt, z wysiłkiem, nie od razu.

– Twoja rana jest poważna?

– Nie.

– W takim razie zabieraj się stąd.

– Tak – powiedział wiedźmin. Stał jeszcze chwilę, unikając wzroku wójta. Potem odwrócił się, wolno, bardzo wolno.

– Geralcie.

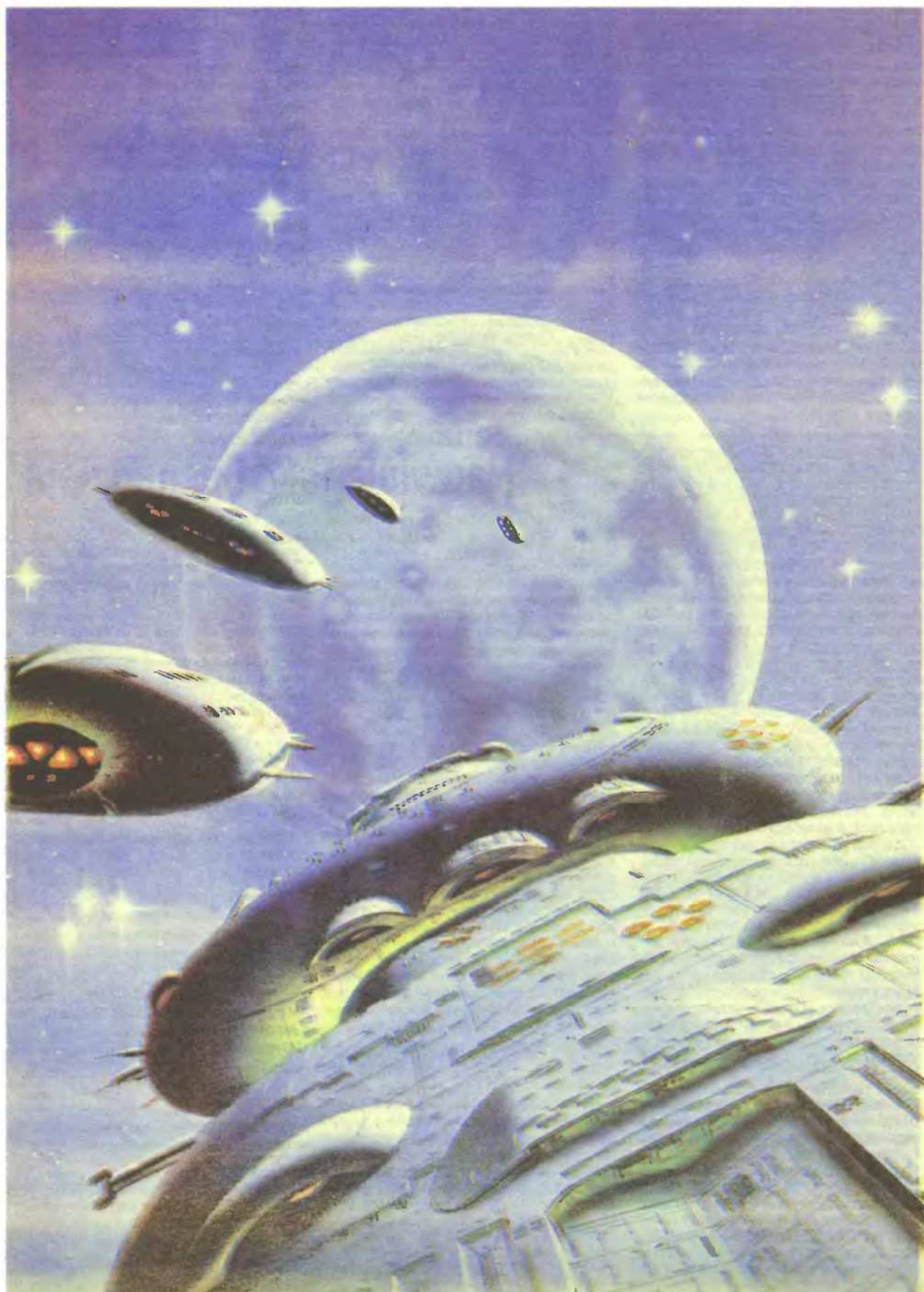
Wiedźmin obejrzał się.

– Nie wracaj tu nigdy – powiedział Caldemeyn. – Nigdy.

Andrzej Sapkowski

■

Chris Moore



Warchał Andrzej
(ur. 1943)
Reżyser filmowy, autor SF

Urodził się w 1943 r. w Krakowie. W latach 1961-1970 studiował w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na wydziałach Architektury Wnętrz, Scenografii i Tkaniny Artystycznej. Autor tekstów i wykonawca utworów w „Piwnicy pod Baranami". Od 1974 r. redaktor w krakowskim Studiu Filmów Animowanych; od 1977 r. reżyser tejże wytwórni. Autor 15 filmów animowanych, dokumentalnych, krótkich form fabularnych. Swoje teksty zamieszczał m.in. w „Przekroju". W 1983 r. opublikował zbiór groteskowych opowiadań **„Zagęszczenie, czyli opowieści futurologiczne"** (Wydawnictwo Literackie, Kraków; zawartość: Desant, Ewolucja, Zapora, Ekspedycja, Woda, Słońce chyliło się ku upadkowi, Wkładka, Samotność, Kataklizmy, Wyprawa, Pochód, Narada, Wielka Gra, Barykada – sztuka w jednym akcie, Stół, Zagęszczenie, Tatuaże, Wizyta). W opowiadaniach tych demaskuje schematyczność wyborów konstrukcyjnych science fiction i sposobów prognozowania przyszłości.

Wat Aleksander
(Chwat Aleksander) (1900-1967)
Pisarz, tłumacz, edytor

Urodził się 1 maja 1900 r. w Warszawie. Ukończył Wydział Filologiczny UW. Studiował filozofię, logikę i psychologię. Współtwórca polskiego futuryzmu, współautor jednodniówek futurystycznych. W latach 1921-1925 redaktor awangardowych czasopism „Nowa Sztuka" i „Almanach Nowej Sztuki", 1929-1931 redaktor „Miesięcznika Literackiego", 1932-1939 kierownik literacki wydawnictwa Gebethner i Wolff. W 1946 r. powrócił do Polski. W 1948 r. naczelny redaktor PIW-u. Członek Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, zarządu PEN-Clubu. Od 1963 r. na emigracji politycznej. Opublikował m.in.: tom prozy dadaistycznej „Ja z jednej strony i Ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka" (1920), zbiory poezji: „Wiersze" (1957), „Wiersze śródziemnomorskie" (1962), „Ciemne świecidło" (Paryż 1968). Swoje wspomnienia zawarł w mówionym pamiętniku: „Mój wiek" (wyd. z zapisu magnetofonowego ze wstępem Cz. Miłosza t. 1-2, Londyn 1978). Przełożył m.in.: „Braci Karamazow" F. Dostojewskiego (1927), „Annę Kareninę" L. Tołstoja (1929) oraz utwory I. Turgieniewa, A. Ostrowskiego, W. Korolenki, A. Czechowa, I. Erenburga, a także opowiadania H. Manna, O. Bernanosa, O. Henry'ego. Zmarł 29 lipca 1967 r. w Antony (Francja).

„Fantastyką intelektualną" nazwał Ignacy Fik tom opowiadań Aleksandra Wata **„Bezrobotny Lucyfer"** (F. Hoesick, Warszawa 1927; wyd. 2 niepełne – Czytelnik, Warszawa 1960; zawartość: Bezrobotny Lucyfer, Żyd wieczny tułacz, Królowie na wygnaniu, Historia ostatniej rewolucji w Anglii, Czyście nie widzieli ulicy Gołębiej?, Prima Aprilis, Hermafrodyta, Niech żyje Europa, Tom Till). Dziś uważa się raczej, iż jest to rodzaj groteskowych opowieści parabolicznych o tematyce ogólnocywilizacyjnej, że patronuje temu zbiorowi katastrofizm, przekonanie o kryzysie kultury, upadku i przemianach wartości moralnych, nadciągającej zagładzie wolności i prawa do samostanowienia. Zbiór opowiadań Aleksandra Wata można postawić obok utworów St. I. Witkiewicza, S. Jaworskiego, J. Kurka. Fantastyka naukowa nie pojawia się tu w gatunkowo czystej postaci, jest raczej bliższa odmianie, którą Witold Ostrowski określił mianem „fikcyjnej historii przyszłości" (np. Żyd wieczny tułacz).

Bibliografia wybrana

– I. Fik, Fantastyka (w:) Dwadzieścia lat literatury polskiej, Kraków 1939.
– (bezim), Wiadomości Literackie 1927/28-29,
– (bezim), Życie Literackie 1956/33.

recenzje
Nadwiślańska beznadzieja

Wydanie w Polsce najsłynniejszych światowych antyutopii można uznać chyba za największe wydarzenie w życiu literackim ostatnich miesięcy. Trwają na nowo ożywione dyskusje o „Roku 1984" Orwella, „Nowym wspaniałym świecie" Huxleya, „My" Zamiatina i utworach odwołujących się do ich tradycji. „Fantastyka" pisała już na ten temat. Przyszedł też w końcu czas na oficjalne wydanie „Małej Apokalipsy" – mitycznej niemal polskiej antyutopii politycznej. Ci, którym udało się przeczytać książkę Konwickiego w czasach minionych, w innym zupełnie świecie, sięgną po nią obecnie z lękiem i niepokojem. Co pozostanie z poprzedniej, potajemnej, zabarwionej niezwykle silnymi emocjami lektury? Czy obecna sytuacja osłabi oddziaływanie książki? Przyjrzyjmy się „Małej Apokalipsie" chłodnym okiem, z perspektywy dnia dzisiejszego.

Zwraca uwagę przede wszystkim specyfika gatunkowa „Małej Apokalipsy", którą można określić mianem antyutopii, lecz epitet fantastyczny raczej nie konweniuje ze światem przedstawionym książki. Taką sytuację wywołuje konstrukcja czasowa, przesunięcie akcji tylko o jedną chwilę od dnia dzisiejszego. Chwyt ten wspomaga kompletna dezorientacja czasowa głównego bohatera. Napotykane podczas wędrówki po mieście kalendarze wskazują różne lata, miesiące i dnie, zapytani ludzie udzielają odpowiedzi pokrętnych i przeczących sobie wzajem. Zabrakło jakichkolwiek wymiernych wzorców pomocnych w odmierzaniu upływającego czasu – *od dawna daty w gazetach jakieś takie rozgniecione, jakby ktoś na litery obcasem nastąpił*, nawet pogoda utrudnia orientację upodabniając deszczem i szarością dzień do dnia. Główny bohater nie znajduje oparcia w tym chaotycznym świecie, wraz z jego zagubieniem rośnie niepokój czytelnika, raz po raz powraca pytanie – czy to aby nie dzisiaj? Autor „Małej Apokalipsy" wykorzystuje te emocje z premedytacją, zmusza odbiorcę do przymiarki świata przedstawionego utworu z naszą codzienną rzeczywistością, każdy powinien odnaleźć swoją „Małą Apokalipsę".

Chcielibyśmy wierzyć, że wszystko w książce Konwickiego jest tylko fikcją, ale jakże trudno otrząsnąć się z wrażenia, że czytamy o dniu codziennym nadwiślańskiego kraju. Aluzje i odniesienia są niemal bezpośrednie, nie kryją się za zasłoną literackich chwytów i niedomówień – „Mała Apokalipsa" jest przede wszystkim utworem politycznym, wymierzonym w konkretne zjawiska i konkretne fakty. Forma antyutopii pozwala nadać im większą kondensację, ich nagromadzenie prowadzi do ogólniejszej metafory. „Mała Apokalipsa" przypomina wizerunek w krzywym zwierciadle, odbija swojską rzeczywistość, ale pozbawioną zupełnie stron jasnych, dobrych a nawet tylko słonecznych. Konwicki z olbrzymią konsekwencją buduje tło swojej powieści, pełne brudu, rozkładu i schyłkowości, szaro-bure, pokryte grzybem i pleśnią, błotem i śmieciami. W tym uniwersum rozkładu poruszają się ludzie: wymięci, szarzy, zmęczeni, ale też chciwi i pazerni, uwikłani w codzienne problemy i przeszkody, w pogoń za gazetą, brak gazu, w kilometrowe kolejki i przepełnione autobusy, nękani kacem i chandrą. Główny bohater porusza się w tym świecie jak po piekle Dantego, tylko że jego towarzyszem nie jest Wergiliusz a pseudopoeta-kapuś. Wszystko tutaj jakieś skarlałe: świat, myśli i uczucia.

Sam tytuł utworu Konwickiego jest symptomatyczny; słowo mała – to słowo klucz: Mała Apokalipsa małych ludzi, wszystko małe – małe problemy i bolączki, skarlałe bunty i skarlałe sukcesy, mały szaro-bury nadwiślański świat. Tutaj pisarz już nie chce (nie potrafi) pisać, dysputy filozoficzne prowadzi się w barze mlecznym, marionetkowa władza koegzystuje z etatową opozycją. Główny bohater ogarnięty obsesją śmierci, pozostawia swój testament: znajduje się w nim... recepta na miksturę na łupież. Mikstura na łupież jako dorobek całego życia i przesłanie do przyszłych pokoleń, nic dodać, nic ująć. Niektóre uczucia i emocje usiłują się bronić przed wszechogarniającym skarleniem, ale nawet miłość podlega chaosowi i „uspołecznieniu". Za zbliżenie miłosne w gmachu publicznym należy zapłacić dziesięć tysięcy.

Konwicki napisał niezwykle przekonywającą książkę o uwikłaniu człowieka w system, o tym jak chaos i rozkład przenikają do najdrobniejszej cząstki wszechświata. Pesymizm „Małej Apokalipsy" nie działa jednak już dzisiaj tak obezwładniająco jak przed laty. Największe chyba wrażenie robiła podczas stanu wojennego, w czasach zagrożenia i niepokoju, gdy wydawała się niemal profetyczną wizją. Lektura aktualna odsłania pewne niedociągnięcia, może właśnie zbyt wielką homogeniczność całości, pewną histeryczność narracji.

Dzisiaj najciekawsza wydaje się ironia i specyficzna obrazowość języka Konwickiego. Nie jest „Mała Apokalipsa" samą tylko goryczą przecież, celne określenia i zwięzłość zjadliwych point nadaje pewnych odcieni temu najbardziej z bezbarwnych światów. Ostrze ironii autora dotyka rzeczy najbardziej zakazanych i nietykalnych dotąd: W świecie „Małej Apokalipsy" Pałac Kultury i Nauki „to tylko wielki barak postawiony na sztorc", a w polskich flagach „przez lata czerwień rosła z wolna, a biel malała" aż pozostał tylko mały biały szlaczek u góry.

Emocje wokół lektury powieści Konwickiego słabną nieco dzisiaj. Wzrasta powoli znaczenie elementu fantastycznego nad politycznym. Jednak nie umielibyśmy jeszcze rozpatrywać „Małej Apokalipsy" w kategoriach onirycznej wizji czy metafory wewnętrznych niepokojów artysty. Miejmy nadzieję, że kiedyś dojrzejemy i do takiej lektury, gdyż będzie to świadczyło o względnym okrzepnięciu i zrównoważeniu naszej codzienności.

Małgorzata Skórska

Tadeusz Konwicki: *Mała Apokalipsa*. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1988. Cena 600 zł

Biały brat zabija świat

W jednym z programów świątecznych „Głosu Ameryki" nadano rozmowę z Indianinem Arapaho na temat zwyczajów jego plemienia, związanych z podobnymi okazjami jak Boże Narodzenie białych. Było koło północy; słuchałem lewym uchem o Święcie Ziemi czy czymś takim, co u Indian ma podobnie przełomową symbolikę. Czy w domu Indianina w Waszyngtonie kultywuje się tę tradycję? Nie bardzo. Czy jego dwaj synowie wiedzą coś na ten temat? Również nie. Panienka ze studia zaczęła zadawać naprawdę dobre pytania, co dla słuchacza przywykłego do tego, że z radia płynie przeważnie bełkot, i to głównie damski, stanowiło otrzeźwiający szok. Wyszło na to, że ów Arapaho, notabene realizator audycji w „Głosie", kompletnie odżegnał się od życia przodków, ich wielkiej tradycji, chciał jak najszybciej zapomnieć, że jest Indianinem i nawet w języku szczepowym przemówił z zastrzeżeniem, że może coś pomylić, bo nie zna dobrze tej mowy.

Lubię takie zaskoczenia, gdy bezpośrednie świadectwa kładą kres głupactwu obiegowych opinii. Siostra tego Arapaho wybrała życie w rezerwacie, ale on sam zrozumiał, że przyszłość jego i rodziny nie w cepeliadzie, tańcach wokół ognia i umizgach do turystów. Świat się zmienił i należało przystosować się do tej zmiany, jeśli chciało się mieć coś do powiedzenia na temat własnego życia, a nie tylko czekać, co przyniesie. Historia spychania Indian przez białych kolonistów była może i tragiczna, właściwie na pewno, ale przy tym logiczna, zwyciężyła cywilizacja bardziej wydajna, która potem wiele razy udowodniła swą skuteczność na arenie szerszej, bo światowej. Brak sentymentu do przeszłości własnej rasy musi u tego Arapaho zdumiewać i szokować; w jego głosie dało się zresztą wyczuć swego rodzaju zażenowanie. Uświadomiłem sobie, że podobnie jak przepytująca go Polka, i on jest emigrantem, innego wprawdzie rodzaju, wewnętrznoamerykańskim jakby, który stoi jednak wobec tych samych dylematów adaptacji. Zmian w świecie nie da się odwrócić, więc trzeba zmienić siebie, trzeba to pojąć i wygnać z łba szkodliwe sentymenty.

„Mały wielki człowiek" Thomasa Bergera jest właśnie powieścią o Indianach, Czejenach, Arapaho i innych. Jest także powieścią o wielkiej zmianie, o czasach, kiedy na preriach dobiegała kresu era czerwonego człowieka, a wschodziła era bladych twarzy. Podobnie jak przytoczona rozmowa radiowa, powieść Bergera kładzie kres mnóstwu stereotypów. Dlaczego cywilizacja Indian musiała upaść? Z powodu zacofania technicznego, powie trzeźwy realista. Zapewne, przewaga białego człowieka, wyposażonego w brzmiące kije, nie podlegała dyskusji. Indianie mogli im początkowo przeciwstawić jedynie łuki i strzały, do których groty wykonywali z blach i obręczy wykradzionych albo wyhandlowanych od białych. Nie ulega też wątpliwości, że ilościowa przewaga była po stronie białego człowieka: zza Atlantyku nadpływały ciągle okręty pełne emigrantów, zaś za plecami pionierów rozpościerało się coraz bardziej zaawansowane przemysłowe państwo, które po wojnie domowej zostało na trwałe zjednoczone. Biali łowcy wybili bizony dla futer – i to prawda. Nadto Indianie nie ustawali w potyczkach plemiennych, które swoje żniwo zbierały. Przeciw molochowi nowoczesnej cywilizacji działali bez planu, w rozproszeniu, zbyt słabi, niejednomyślni, zbyt słabo orientujący się, co właściwie zachodzi.

Jeśli wierzyć Bergerowi, za jedną z naczelnych przyczyn klęski czerwonoskórych uznać trzeba fakt, że świat, w jakim się obracali, wykazywał znaczną rozbieżność ze światem białych zdobywców. Owszem, stykał się z nim w kilku punktach, gdzie Indianie z reguły brali w skórę albo dawali się ordynarnie oszukiwać. Blade twarze ściągnęły Indian z obłoków, wyrwały ich z jakiegoś rodzaju transu, a Indianie budzili się niechętnie, jakby z niedowierzaniem, i nawet kiedy widmo zagłady zajrzało im w oczy, zdawali się nie ogarniać powagi sytuacji. Całe drugie półwiecze XIX wieku północnej Ameryki to starcie cywilizacji pragmatycznej, żerującej blisko ziemi, z cywilizacją baśniową, magiczną, nie z tego świata. Książka Bergera pokazuje bez litości, jak poezja przegrywa w konfrontacji z mechaniką, jak duchy przodków i Wielki Manitou pierzchają przed krzywą balistyczną.

Sędziwy wódz, Skóra Ze Starego Szałasu, podejmuje w pewnym miejscu kwestię rozróżnienia między Amerykanami a Ludźmi (czyli Czejenami). *My, Ludzie, wierzymy, że wszystko żyje, nie tylko ludzie i zwierzęta, lecz także woda, ziemia, kamienie, także umarli i ich części, jak te włosy. Człowiek, do którego należały, chodzi łysy po Tamtej Stronie, bo ja mam teraz jego skalp. Taka jest prawda. Ale biali ludzie wierzą, że wszystko jest martwe: kamienie, ziemia, zwierzęta i ludzie, nawet oni sami. I jeżeli rzeczy mimo wszystko usiłują żyć, biali ludzie je zabijają.* Powieść, pisana z punktu widzenia człowieka białego, którego perypetie życiowe rzucają raz na jedną, to znów na drugą ze zwaśnionych stron, siłą rzeczy bazuje na nieustannym kontraście. Filozoficznowę drownemu trybowi życia Indian przeciwstawia parcie, rozpychanie się osadników; indiańskiej nędzy – pogoń białych za dobrem doczesnym i szybko rosnące nowobogackie miasta.

Bodaj najciekawsze są jednak magiczne praktyki Czejenów. Wygląda na to, że niektórzy Indianie posiadali dar jasnowidzenia czy przepowiadania przyszłości. Wielka scena polowania na antylopy, które osaczone przez magiczne zabiegi nie potrafią wyrwać się z zaklętego kręgu i w rezultacie zostają wytłuczone do sztuki, została napisana bez krzty ironii. W wigwamie Czejenów obowiązuje poruszanie się po okręgu, wokół centralnie usytuowanego ogniska. Czejenowie w ogóle nie uznawali linii kanciastych (*Kwadrat nie ma siły*, powiada stary wódz). Nikogo nie dziwią odzywki typu: *Zobaczyłem, że to nie jest dzień naszej śmierci* albo *Myślałem, rozmawiałem, paliłem i jadłem na ten temat. Moja decyzja jest taka...* O czytaniu śladów nie ma co wspominać. Bardziej zaawansowani tropiciele po odciskach kopyt potrafią określić wiek konia albo muła.

Bez wątpienia jest to genialna książka (nie widziałem jej w żadnej księgarni). Wyświetlany w Polsce film Arthura Penna pod tym samym tytułem nie zepsuł przyjemności lektury, gdyż po ponad dziesięciu latach spokojnie zdążyło się go zapomnieć. Sceny walk i pogromów opisane są z naturalistyczną wnikliwością i dają pojęcie o rozmiarach eksterminacji, która legła u fundamentów Ameryki. Na pierwszym planie stoi jednak pojedynczy człowiek, jego przeżycie i zdziwienie na widok rozpościerających się przed nim dziwów. *Przeżywałem jeden z nielicznych momentów, kiedy czułem: wszystko jest tak, jak być powinno. Miałem wtedy mocne czary, to jest właściwe słowo. Wiedziałem, gdzie jest środek świata. Wspaniałe uczucie, kiedy czas krąży wkoło i ten, kto stoi w środku, ma władzę nad wszystkim, co przybiera formę linii, kąta lub kwadratu. Jak Skóra Ze Starego Szałasu ściągający antylopy do małego kręgu swoich ludzi, wokół których znajdowali się wszyscy Czejenowie z teraźniejszości i przeszłości, żywi i umarli, bo Tajemnica jest czymś wiecznotrwałym.*

Telewizja pokazała kiedyś pojedynek węży brazylijskich. Jakieś mocowanie, jakieś oploty, w sumie nic groźnego. Tyle że w pewnym momencie jeden z węży osłabł, zwiotczał i dał za wygraną. Zwycięzca, czarna żararaka, zaszedł intruza od głowy i po prostu nasunął się na niego jak monstrualna prezerwatywa. Pokonany zaś zamerdał ogonem, gdy dotarło doń, że odcięto mu dopływ tlenu, po czym bez dalszych ceregieli pozwolił się połknąć. Coś podobnego zaszło w opisywanej przez Bergera epoce. Indianie zostali wchłonięci i rozpuszczeni w brzuchu wielkiej cywilizacji amerykańskiej, mimo ostatnich podrygów w postaci bitwy nad rzeką Mały Wielki Róg, 25 czerwca 1876 roku, i klęski zadanej kawalerii generała Custera.

Arapaho z waszyngtońskiego studia miał zapewne rację: zwyciężyła cywilizacja wydajniejsza. Jednak im dłużej myślę o tej sprawie, tym częściej dochodzę do wniosku, że było to zwycięstwo pyrrusowe. Biały człowiek objął świat we władanie, lecz z perspektywy czasu wydaje się, że uczynił to po to, by go zabić. Ku temu zdaje się prowadzić większość jego działań. Czyżby taka była zemsta Opala Się Na Czerwono, Ptaka Niedźwiedzia i Cienia, Który Się Pokazuje?

Marek Oramus

Thomas Berger: *Mały wielki człowiek*. Tłumaczył Lech Jęczmyk. Klub Interesującej Książki. PIW, Warszawa 1988. Cena 750 zł.

Twórcom zachodnioniemieckiej science fiction zarzucano i zarzuca się nadal, że pisząc swoje utwory zbyt często opracowują tematy podobne do tych, jakie występują u pisarzy anglojęzycznych. Zarzut ten jest poszerzany również na sferę warsztatową i językową.

Zielona fala w zachodnioniemieckiej SF

Wawrzyniec Sawicki

Zastrzeżenia te nie są bezpodstawne, tyle że powyższe fakty nie tyle wynikają z mody, ile są konsekwencją powojennej historii Niemiec. Na terenach znajdujących się po zakończeniu II wojny światowej pod kontrolą armii brytyjskiej, a szczególnie amerykańskiej, rozpowszechniano w dużym stopniu jedynie utwory amerykańskiej science fiction i do tego wcale nie najwyższych lotów literackich. W przeważającej części były to tak zwane „Dreigroschenromane", czyli bardzo tanie i popularne wydawnictwa zeszytowe przeznaczone w pierwszym rzędzie dla żołnierzy. Później zaczęto je tłumaczyć na język niemiecki. Pojawiające się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych utwory niemieckojęzycznych pisarzy SF były więc siłą rzeczy zorientowane na metodę tworzenia i tematykę poruszaną przez autorów amerykańskich. Ich twórcy pozostawali w zasadzie nie znani szerszej rzeszy czytelników, tym bardziej że nader często posługiwali się pseudonimami, by uniknąć swoistej atmosfery, jaka zazwyczaj otacza autorów literatury rozrywkowej, bo tylko w takich kategoriach należało traktować ówczesną, zachodnioniemiecką twórczość science fiction.

Sytuacja ta z wolna zaczyna się zmieniać dopiero na początku lat siedemdziesiątych. Przyczyną tego było między innymi przejście (ale oczywiście nie całkowite zarzucenie tej formy) od wydawnictw zeszytowych do książek. Powstały pierwsze serie tematyczne, na przykład w wydawnictwie Heynego, a pisarze science fiction przestali już być anonimowymi twórcami. Ciekawostką dla nas może być fakt, że właśnie w jednym z zachodnioniemieckich wydawnictw zeszytowych zadebiutował za zachodzie Europy Stanisław Lem. Podobnie jak inni twórcy pozostałby zapewne nie znany, gdyby jeden z wydawców nie zdecydował się włączyć jego powieści do wydawanej przez siebie serii książkowej. Wtedy też do głosu zaczynają dochodzić pisarze traktujący poważnie swoją twórczość i nie orientujący się tylko i wyłącznie na słaby gust czytelnika powieści zeszytowych.

Już wtedy autorzy zachodnioniemieccy próbują stworzyć własny styl i poruszać problemy bliskie społeczeństwu swojego kraju. Stąd, poza wyjątkami opierającymi się na typowo anglojęzycznych trendach mody, zachodnioniemiecka science fiction zaczyna odchodzić od apoteozy techniki w kierunku social i political fiction. Jak stwierdził kilka lat temu znany pisarz i krytyk tego gatunku, Reinhard Cunis, zachodnioniemiecka literatura SF nie jest twórczością zajmującą się zagadnieniami przyszłości i niezobowiązującym prognozowaniem możliwych kierunków rozwoju, ale współczesną literaturą w pełnym tego słowa znaczeniu, a w jej centrum znajduje się przede wszystkim człowiek. W tej sytuacji, każdy z pisarzy poważnie traktujący swoją twórczość literacką, wcześniej czy później musi więc sobie postawić pytanie, jak w jego pojęciu wygląda rzeczywistość, co uważa za realne, za ważne. Oczywiście, problem ten dotyczy literatury jako całości, tyle że twórcy zachodnioniemieckiej SF wzięli go sobie szczególnie do serca.

Podobnie jak i w początkach powojennej twórczości science fiction w Republice Federalnej Niemiec, dużą rolę znowu zaczęła odgrywać polityka, a szczególnie tendencje ekologiczne i koncepcje systemowe reprezentowane przez partię Zielonych. Nowa generacja pisarzy to twórcy już dojrzali, ukształtowani światopoglądowo i z dużym doświadczeniem życiowym. Większość z nich urodziła się w połowie i pod koniec lat czterdziestych. Są z wykształcenia naukowcami, socjologami, menagerami przemysłu i handlowcami i doskonale orientują się w zawiłościach aktualnego systemu społecznego Republiki Federalnej Niemiec i wszelkich implikacjach z niego wynikających. To z tych właśnie uwarunkowań systemu gospodarczego i politycznego coraz bardziej wybija się żądanie, jakie sformułował jeden z reprezentantów „Zielonej Fali", Harald Pusch, który stwierdził w swojej wypowiedzi dla „Science Fiction Times", że nadszedł już czas, aby zachodnioniemieccy autorzy science fiction poważnie zajęli się analizą i dyskusją dotyczącą zmiany swojego stosunku do wzorów angloamerykańskich, z zachowaniem oczywiście pewnych tendencji, które uznawać będą za słuszne. Dlatego też można częściowo porównywać ich twórczość z utworami amerykańskiej „New Wave", znajdując podobieństwo stylu literatury uprawianej na przykład przez Karla Michaela Armera do utworów Ballarda, tyle że jest to podobieństwo w dość wyraźny sposób określone historią i rzeczywistością Republiki Federalnej. W jednym z ostatnich swoich opowiadań, „It's all over now, Baby Blue", Armer ukazuje zbliżający się koniec cywilizacji europejskiej. W sytuacji kryzysu społecznego bohaterowie – młodzieżowa banda punków – dają się wchłonąć ponownie zyskującej na znaczeniu partii neofaszystowskiej. Podobnie ma się rzecz w utworach Guido Reimanna czy Gerda Maksimoviča, którzy z dużą nieufnością podchodzą do pozornej perfekcji systemów społecznych, obracających się w sumie przeciwko człowiekowi oraz do tak zwanej prawdy obiektywnej.

Oceniając twórczość „Zielonej Fali" trzeba stwierdzić, że jej polityczne przesłanie nie jest skierowane przeciwko jednemu, konkretnemu systemowi, ale krytykują oni kompleksowo sposób konstrukcji aktualnie istniejących na świecie powiązań społecznych. Siłą rzeczy zajmują się oni jednakże przede wszystkim zagrożeniami obywateli własnego kraju, a właściwie mieszkańców Europy Zachodniej, tyle że znalezienie wyjścia z tej sytuacji przy stale postępującej amerykanizacji zachodniego świata jest szalenie trudne, nawet w sferze literackiej, pojawia się bowiem pytanie, czy rzeczywiście obywatel krajów zachodnioeuropejskich tak bardzo różni się, jeśli idzie o gnębiące go podstawowe problemy, od przeciętnego Amerykanina czy Anglika.

Próbując znaleźć to wyjście twórcy „Zielonej Fali" w przeważającej większości posługują się bardzo ciekawą metodą konstrukcyjną w swoich utworach. Otóż akcje ich powieści toczą się przeważnie w Europie Zachodniej (lub się w niej rozpoczynają), w aktualnym przedziale czasowym, sięgając najdalej do początków lat dziewięćdziesiątych. Sceneria tych utworów jest więc jak najbardziej współczesna, podobnie jak i język, czego przyczyną jest zapewne fakt, że wielu z tych autorów było lub jest nadal dziennikarzami, stąd wymowa ich powieści czy opowiadań jest jeszcze bardziej uprawdopodobniona. Około trzech czwartych utworów jest absolutnie pozbawiona fikcji i oparta na autentycznych wydarzeniach, zaś pozostała część staje się swoistego rodzaju spekulacją, której głównym celem jest wprowadzenie do akcji elementów, mogących co prawda sprawiać wrażenie fantazji, ale nie do końca. Przykładem tego sposobu konstrukcji mogą być powieści Christiana Schadego pt. „Des genetische Krieg" („Wojna genetyczna") lub Petera Schmidta „Dar Prinzip von Hell und Dunkel" („Zasada światła i ciemności"). W obu przypadkach idzie o manipulacje genetyczne dokonywane na materiale roślinnym i ludzkim. W „Wojnie genetycznej" bohaterem jest młody naukowiec, biorący udział w realizacji programu pomocy dla krajów nisko rozwiniętych. Pewnego dnia zostaje uprowadzony w Nepalu przez organizację nacjonalistyczną, której przywódcy sprzeciwiają się dokonywanym konsekwentnie przez instytucje finansujące program totalnym zmianom kulturowym w ich kraju. Dzięki tak zwanej pomocy zlikwidowane zostały uprawy tradycyjnych roślin od tysiącleci dostarczających mieszkańcom pożywienia, na skutek forsowania programów rozwojowych giną stare powiązania społeczne. Jednocześnie, mimo zwiększającej się pomocy, pogłębia się niedobór żywności. Przywódcy organizacji podejrzewają w tym celową działalność jednego z amerykańskich koncernów chemicznych, którego szef chce zdobyć władzę nad światem wykorzystując nowy środek nacisku, żywność.

Okazuje się, że w celu maksymalizacji zysków władcy koncernu wyprodukowali, prowadząc uprzednio odpowiednie doświadczenia genetyczne, nasiona zbóż, które są uwrażliwione na pewne, konkretne choroby, tym zaś można zapobiec jedynie za pomocą środków chemicznych produkowanych przez ten sam koncern. Jednocześnie opłacane przez właściciela firmy grupy terrorystyczne niszczą wszystkie światowe banki nasion. Planecie grozi głód.

W części fikcyjnej tego utworu pojawia się często wykorzystywany wątek stwo-

rzenia nowego człowieka, pozbawionego instynktu samozachowawczego i agresji, a na dodatek podatnego na wszelkie rozkazy. Według pomysłodawcy, właściciela koncernu, jest to jedyna droga do zapewnienia pokoju na Ziemi i wiecznego szczęścia ludzkości. Ten wątek nie jest niczym nowym w twórczości SF na świecie, zastanawia natomiast jego bardzo duże prawdopodobieństwo, szczególnie w świetle ostatnio opublikowanych wyników badań naukowych czy przeprowadzonych już eksperymentów medycznych, jak częściowe przeszczepienie tkanek mózgowych przez lekarzy meksykańskich czy przerwana na szczęście (przynajmniej oficjalnie) próba włoskiego naukowca, chcącego stworzyć za pomocą inżynierii genetycznej nowego podczłowieka, przeznaczonego do wykonywania prac szczególnie ciężkich i uwłaczających jego zdaniem rodzajowi ludzkiemu.

Podobnie jest w powieści Petera Schmidta. W wyniku totalnego konfliktu Ziemia zostaje zniszczona w dużej części. Większość ludzi zginęła jednakże nie na skutek wybuchów bomb atomowych i wodorowych, ale w wyniku działania tajemniczego wirusa. Po kilku latach na planecie zaczyna pojawiać się coraz większa liczba tzw. nowych ludzi, odpornych nie tylko na działanie owego wirusa ale także nie posiadających cech, które zdaniem rządzącej Ziemią grupy naukowców (twórców tej nowej rasy) spowodowały wybuch konfliktu, a więc agresji itp. Dochodzi do konfliktu między nielicznymi już Starymi a naukowcami. Kończy się on tak jak większość powieści „Zielonej Fali", czyli źle. Właśnie pesymizm i niewiara w możliwość uratowania gatunku ludzkiego jest jedną z głównych cech tego kierunku. Należy więc ją, a także i inne elementy konstrukcyjno-fabularne charakteryzujące tę tendencję uznać raczej za odbicie aktualnego stanu ducha zachodnioniemieckich pisarzy niż próbę przewidywania czy ostrzeżenia. Twórcy „Zielonej Fali" wychodzą bowiem z założenia, że niebezpieczeństwa wynikające z rozwoju stechnicyzowanego świata i panujących na nim systemów społecznych nie pojawią się dopiero w przyszłości. One zamieniły się lub właśnie zamieniają w otaczającą nas rzeczywistość.

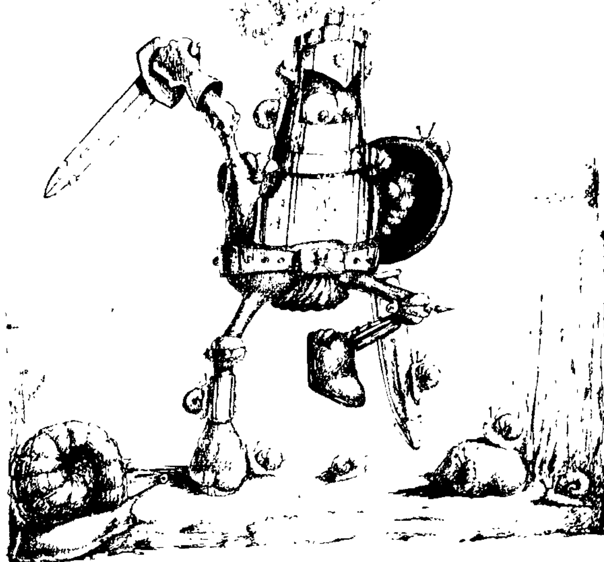
Sądząc po efektach wydawniczych w roku 1986, czyli spadającej liczbie nowych tytułów, ograniczaniu serii i wznowieniach (mimo iż dla polskiego czytelnika nadal pozostanie ono w sferze marzeń) ta nowa tendencja w literaturze science fiction w Republice Federalnej Niemiec nie będzie miała większych szans, aby w najbliższej przyszłości dotrzeć do czytelnika w szerszych rozmiarach niż to jest w przypadku fantasy czy tradycyjnych kierunków SF. Autorzy „Zielonej Fali" starają się bowiem konsekwentnie realizować swoje wyobrażenie świata w praktyce literackiej, co niekoniecznie musi odpowiadać zapotrzebowaniu ze strony rynku wydawniczego. Jednakże propagowanie utworów „Zielonej Fali" przez wydawców należy uznać za pozytywną próbę wyjścia z getta, w jakim znajdowała się do tej pory literatura science fiction i dotarcia do innego, nowego czytelnika. Z tego to właśnie powodu należy ją zauważyć i docenić, tym bardziej że również i w innych krajach zachodnioeuropejskich, w których także działają partie Zielonych, zaczynają pojawiać się utwory o podobnej tematyce i sposobie konstrukcji, tak jak to się dzieje ostatnio na przykład we Francji.

■

Nie usatysfakcjonowała mnie polemika pomiędzy Jackiem Inglotem a Maciejem Parowskim, dotycząca fantastyki socjologicznej. Inglot napisał tekst nazbyt obliczony na prowokację, nieco efekciarski w swej przekorze wobec obiegowych sądów. Przy czym zachował się niczym – wybacz, Jacku – marksista: darował sobie mozolne przepatrywanie omawianego materiału, śledzenie przesłanek i wysnuwanie wniosków. Znał je, zanim jeszcze zabrał się do pracy, a przerzucając karty socjologicznych powieści szukał na nich tylko tego, co dałoby się użyć jako argument na rzecz jego nauczyciela i mistrza, Ericha Fromma.

Oto jest pytanie

Rafał A. Ziemkiewicz



Piotr Zdrzynicki

Dla wyjaśnienia czytelnikom, którym obcowanie z nudnymi traktatami jest głęboko obce: rzeczony Fromm był jednym z całego mrowia uczonych, starających się udzielić odpowiedzi na pytanie o istotę natury ludzkiej. Jak wszyscy podobni mu naukowcy znalazł jakąś cząstkę prawdy i jak wszyscy ogłosił swoje domysły za prawdę objawioną i ostateczną. Słowem, Fromm zrobił to, za co się w cywilizowanych społeczeństwach naukowcom płaci. Inglot natomiast zrobił z nim to, co często zdarza się obywatelom społeczności niedocywilizowanych, żywiącym wobec racjonalistycznego zarozumialstwa tychże naukowców nadmierne nabożeństwo: uwierzył bez zastrzeżeń i prób weryfikacji. To gruby błąd, który w historii spowodował już wiele straszliwych kataklizmów (vide równania: Diderot + Voltaire = gilotyna, albo Marks + Pawłow + psychologia behawiorystyczna = Stalin), a w krytyce literackiej zaowocował stertami radosnych idiotyzmów. Z rozrzewnieniem wspominam ze stiudów wynurzenia jakiejś pani, nie pomnę już jej nazwiska, która naczytawszy się Freuda wyjaśniła wszystkie niuanse prozy Poe'go „kompleksem uzębionej pochwy" (po łacinie *vagina dentata*), tudzież eseje pewnego badacza tłumaczące dzieła Sienkiewicza tłumionym homoseksualizmem autora – dowodem koronnym była scena nawlekania na pal Azji Tuhajbejowicza, interpretowana jako symbol stosunku analnego.

Inglot skrywa się w cieniu nieżyjącego już profesora, ufny, że obco brzmiące nazwisko mistrza zamknie usta polemistom. Cóż, łatwo by sobie z nim poradzić – starczy założyć, że rację ma nie psychoanaliza, z której czerpał Fromm, a psychologia humanistyczna Maslowa i Rogersa, i już całą „ucieczkę od wolności" można o kant potłuc. Ba, łatwo by nawet wykpić, mnożąc przykłady przeczące cytowanym przez Inglota teoriom – jak choćby przykład samego Fromma, który wszak mogąc do woli zażywać rozkoszy zniewolenia pod władzą Hitlera, wybrał męki egzystencjalnej samotności w Meksyku.

Ale wykpienie jest czynnością zbyt prostą, by na niej poprzestać i w końcu nie o tłuczenie o kant tu chodzi, lecz o zbliżenie się do prawdy. Dlatego też trzeba Inglotowi oddać sprawiedliwość i przyznać, że nawet błądząc napisał sporo rzeczy brzmiących rozsądnie, godnych uwzględnienia przy rozpatrywaniu fantastyki socjologicznej. Z tego względu nie mogę zgodzić się również z Maciejem Parowskim, po którym wszystkie argumenty Inglota spłynęły jak woda po wytłuszczonych kaloszach. Właściwie, oba te teksty ukazały się w odwrotnej niż powinny kolejności. W istocie to Inglot polemizuje z Parowskim, i jego sądem o social fiction, nie znanym jeszcze (wskutek mizerii polskiej poligrafii) szerszym kręgom czytelników, ale funkcjonującym od lat w fanowskich dyskusjach. Że przystąpił do ataku na tezy Parowskiego nie czekając, aż zostaną wydrukowane, to tylko kolejny objaw dojmującej paranoi naszego życia literackiego. Ale nie można powiedzieć, żeby atakował nieprzytomnie i argumentował od rzeczy.

Są w historii dowody, że nie zawsze człowiek zachowuje się wobec totalitaryzmu tak, jak chce tego Fromm. Ale są też dowody, że c z ę s t o tak się właśnie zachowuje. To „często" wystarcza, by potraktować dociekania Inglota poważnie, odrzucić z nich to, co jest przesadą i nad-

☞



użyciem, a to, co słuszne, przyjąć. Uważam za błąd postępowanie mojego redakcyjnego kolegi, który kontrując atak na swoje nie wyłożone dotąd w druku tezy po prostu jeszcze raz tezy te powtórzył, bez najmniejszej próby ich zmodyfikowania.

Sama literatura, o którą idzie spór, wydaje się mądrzejsza od obu krytyków. Znajdzie w niej argumenty i dekadent Inglot, dla którego człowiek jest istotą z natury plugawą, i niepoprawny optymista Parowski, rad widzieć aniołów w szarych zjadaczach chleba. Podkreśla social fiction irracjonalny pęd człowieka ku dobru, jego wiarę, nadzieję i potrzebę pamięci (zgadzam się z Parowskim w ocenie pointy „Limes inferior" i cenię sobie kreację bohaterów „Rozpadu połowicznego"). Ale równie często mówi też: jesteście niewolnikami, bo sami tego chcecie, bo wam z tym wygodnie, i marzycie tylko o tym, by mieć własnych niewolników (zwłaszcza w filmach Szulkina, ale także w najnowszej powieści Oramusa i w... „Twarzą ku ziemi" Parowskiego). Zbyt trudne to sprawy, by cokolwiek sensownego o nich powiedzieć, jeśli operuje się wyłącznie skrajnościami.

Zresztą nie podoba mi się linia obrony, jaką wobec fantastyki socjologicznej stosuje Parowski. Za zasługi w walce z komunizmem będziemy rozdawać odznaczenia państwowe i, gdy przyjdzie na to czas, emerytury. Laury artystyczne przyznawać można za co innego: za tegoż komunizmu literackie oddanie i objaśnienie.

Sytuacja fantastyki socjologicznej w późnych latach siedemdziesiątych, jej geneza, nie wydają mi się tak proste, jak to twierdzi Parowski: nie godziliśmy się na komunę, ale nie byliśmy w stanie nic zrobić, więc „nadawaliśmy artystyczne sygnały" o tym, że jeszcze żyjemy, dla zmylenia cenzury ubierając je w kostium SF. Chyba nie tak. Zrobić może istotnie wiele się wówczas nie dawało, byli tacy, co uparcie walczyli o lepsze jutro – ale naród, w swej masie, godził się, krzyczał „pomożemy", defilował w pierwszomajowych pochodach i głosował bez skreśleń. Przynajmniej dopóki nie zabrakło kiełbasy. Za Gierka około 30% polskiej inteligencji, także z tak hołubionego przez Parowskiego, „kontestującego" ponoć pokolenia, należało do partii. Czy naprawdę żaden z tych ludzi nie wiedział o Katyniu, zbrodniach NKWD i UB, gehennie zesłańców oraz postępującym wyniszczeniu kraju, dopóki nie przeczytał o tym w „Trybunie Ludu"? Czy też w o l e l i oni o tym nie wiedzieć, pnąc się po szczeblach partyjno-urzędniczej kariery? A dziś – nie mogę się oprzeć przed użyciem ulubionego przez Parowskiego zwrotu Kisiela – zgadnij, kotku, ilu z tych, co już te kariery porobili, wierzy, że Rewolucja Październikowa była pasmem bohaterskich czynów, Lenin cnotliwym bojownikiem o dobro ludzkości, idee bolszewików świetlane i tylko jeden Stalin okazał się draniem, bo zaczął rozwalać także komunistów?

W powieściach socjologicznych kiełbasy jeszcze pod dostatkiem, opozycji jak na lekarstwo, a po nadzieję sięgać trzeba do baśni. Bohaterowie przeważnie łatwo tracą cnotę i sprzedają się systemowi. Parowski – autor „Twarzą ku ziemi" – okazuje się mądrzejszy i bardziej przenikliwy od starszego o dziesięć lat Parowskiego-kombatanta. Ten pierwszy potrafił dać najlepszą w social fiction psychologiczną analizę jednostki wybierającej zniewolenie. Ten drugi bije w narodowe dzwony, przeczy wszelkim posądzeniom, jakoby ktokolwiek od wolności uciekał i jakoby właśnie social fiction to dostrzegła, a całego Fromma skreśla twierdzeniem, że to o Niemcach i do nas się nie stosuje. Jest taka rozpowszechniona teza, że Polacy są „narodem bez Quislingów"; jest i taka, że nasze dzieje nie znały zbrodni królobójstwa. Obie bardzo krzepiące i obie, w świetle faktów historycznych, absolutnie nie do obrony.

Widzę różne motywacje fali powieści socjologicznych sprzed dziesięciolecia. Była wśród nich chęć demaskacji przeciwnika i jego łgarstw, był zamiar wrażenia mu w siedzenie jadowitej szpili, skoro miecza ani dostępu do ważniejszych części ciała autorzy nie mieli. Była także potrzeba zaprotestowania przeciw samooszustwom, bierności i małości, które pisarze dostrzegali wokół siebie. Do tej warstwy social fiction spostrzeżenia Inglota pasują jak ulał, choć popełnia on błąd w proporcjach. Zgódźmy się: fantastyki socjologicznej nie wydało pokolenie tych Polaków, którzy za wolność byli gotowi umierać. Tacy zostawiliby w literaturze raczej wzniosłą, romantyczną poezję. Ta proza jest dziełem pokolenia tych, którym przeważnie wystarczało napomknąć, że mogą mieć kłopoty z awansem...

Kolejna istotna sprawa: w chęci obrony social fiction pomniejsza ją Parowski, sugerując iż sięgnięcie po konwencję SF służyć miało jedynie ezopowym szyfrom. Osobiście wolę widzieć w tym wyborze zabieg artystyczny, nie taktyczny. Forma dystopii, choć w jakimś stopniu narzucona przez sytuację, pozwoliła jednak na pewne oderwanie się od polskiego piekiełka „małej stabilizacji" w cieniu namiestniczego tronu. Każąc ukazywać nie szczegóły, lecz mechanizmy, nie tyrana, lecz konstytuujący go system, pozwalała na szersze spojrzenie i rozważenie prawidłowości bardziej uniwersalnych. Hitler, Lenin, Stalin, *fra* Torquemada, ba, nawet para antycznych cesarzy-świrów, Kaligula i Neron, nie byli wszak wynalazcami. Oni tylko doskonalili dziedzictwo despotyzmu, dokładali nowe cegiełki do gmachu, którego fundamenty opierają się na pewnych odwiecznych ludzkich zachowaniach: podatności na ideologiczny obłęd, gotowości do poświęcenia ideałów dla pełnego brzucha, chęci zawierzenia przemocy i zaufaniu do niej jako do panaceum na wszelkie zło. Ale też „systematy gwałtów", którym wspomniani osobnicy przewodzili, prędzej czy później upadały, rozsadzane równie odwiecznymi i równie głęboko tkwiącymi w ludziach marzeniami o wolności, choćby najtrudniejszej, wiarą w prawa człowieka i gotowością do największych wyrzeczeń w imię spraw wyższych. Dystopia dostrzega ten wieczny taniec życia i śmierci, wieczną walkę dobra i zła w historii i w duszy człowieka. Żurnalistyka, choćby najzacniejsza, dostrzec by go nie umiała.

Powtarza się często, że rolą literatury nie jest udzielanie odpowiedzi, lecz stawianie pytań. Nie takich, oczywiście, które dałoby się sformułować w jednym, prostym zdaniu. Literatura operuje językiem znacznie bogatszym niż zwykły odautorski dyskurs; jeśli powieść można streścić niczego z niej nie roniąc, to znak, że nie była warta napisania (stąd też uważam za głupią robotę pisanie streszczeń nie napisanych książek). Literatura zadaje pytania często pomijając te partie mózgu odbiorcy, które mają za zadanie wszystko zwerbalizować – czasem celuje prosto w serce, czasem i w genitalia. Dobre pytanie, cel i obowiązek pisarza, to nie hasło na transparent – to emocjonalne przeżycie książki, przygryzanie przy lekturze warg, zasianie ziaren niepokoju w duszy czytelnika. „Dlaczego i jak to się dzieje, że w pewnych epokach zapominamy o wartościach najwyższych, lub w ich imię gotowi jesteśmy dokonywać czynów będących ich zaprzeczeniem? Dlaczego od wieków po sytości i rozlazłości demokracji przychodzi barbarzyńska przemoc totalitaryzmów? Skąd ta wiara w miraż karnych kolumn, kroczących przez świat, by mordować ludzi w imię miłości do ludu? Skąd biorą się barbarzyńcy w czarnych, brunatnych lub zielonych koszulach, skąd terroryści, skąd wielcy zbrodniarze i drobne szujki?" – gdzieś w stronę takich pytań idzie social fiction. Nie twierdzę, że już się z nimi uporała, żadne z polskich jej dokonań nie zasługuje na miano arcydzieła. Dla następców zostało dość pola do popisu, ale i tego, co już napisane, nie da się obsłużyć ani prostymi freudowsko-adlerowskimi formułkami, ani frazesami z narodowych mszy.

Współczesna dystopia, wmontowana w krwiobieg popularnej SF, wyrosła i z doświadczeń stuleci poprzednich, i z najbardziej barbarzyńskiego z dotychczasowych wieku dwudziestego. Stara się zapisać doświadczenia faszyzmu, komunizmu, polpotów i maotsetungów, kadafich i chomeinich, kimirsenów i czauczesków, (długo by tak można wyliczać), objaśnić obłęd swego czasu na użytek pokoleń potomnych. To ważne zadanie. Jeśli dziś uda się pisarzom postawić trafne pytanie, być może nasi wnukowie znajdą na nie odpowiedź. Być może ocali ich to przed naiwną wiarą w błogosławione skutki rewolucji oraz marszów z pochodniami i przed wpakowaniem się po raz enty w to samo bagno, w którym wciąż grzęźnie ludzkość. Sądzę, że są na to pewne szanse – i dlatego też uznałem za stosowne wtrącenie do rozmowy o social fiction swoich trzech groszy.

listopad 89

Rafał A. Ziemkiewicz

Ad vocem

Dziękuję Rafałowi za „pisarza mądrzejszego niż krytyka"; mówiono mi, że jest odwrotnie i ja, głupi, zdążyłem z tego wyciągnąć wnioski praktyczne. Fakt, nie mogę zapomnieć jak na giełdzie książek w SFanie koledzy Rafała z grupy TRUST licytowali w 1982 roku „Twarzą ku ziemi" do dołu; pewnie za karę, że wyprodukowałem powieść psychologiczną zamiast rozrywkowej. Nie jestem jednak aż tak kiepskim krytykiem, żebym nie rozumiał tego co sam napisałem. „Twarzą..." nie stanowi ilustracji abstrakcyjnych (metaliterackich?) tez Jacka Inglota. Neut jest małym człeczyną, chciałem by był taki, ale jedno można o nim powiedzieć dobrego – nie zabija w sobie rozróżnienia między Dobrem a Złem, idzie na dno moralne z jękiem skruchy. Cierpi, nie jest mu wszystko jedno (jak Sneerowi, Deograciasowi, Dogowowi, Earlowi...), a w ostatnim odruchu prosi Boga o pomoc. „Proście a będzie wam dane" – cholera wie, więc może Neut jednak taką pomoc uzyskał? Byli przecież w Polsce i w polskiej SF lepsi od Neuta (70% młodych bezpartyjnych inteligentów to w czasach Gierka nie jest zły wynik!), trafiali się znacznie gorsi, ale gdyby ci gorsi przeważali, Polska nie byłaby dziś tym czym jest.

I jeszcze jedno: W sprawie odznaczeń za antykomunizm dochodzi do głosu ta cecha pióra Rafała, którą Oramus nazwał „zajazgliwością". Spieramy się o kwestię wolności w polskiej SF politycznej; kombatanckie akcenty stają się przy takich okazjach nieuchronne, zwłaszcza jeśli jeden z autorów nie żyje. Tak więc, nie targując się o piękności literackie, które tematem dyskusji de facto nie były – pierwszy order dla ś.p. J. A. Zajdla mógłbyś Rafale odżałować już teraz.

M. Parowski

Pewnego razu do wielce uczonego rabina przyszło dwóch zwaśnionych mężczyzn. Rabin wysłuchał ich uważnie, po czym przyznał rację obydwu skłóconym stronom. Obecny przy tym uczeń rabina wykrzyknął: to przecież niemożliwe, aby obydwaj mieli rację! I ty masz rację – odparł na to świątobliwy mąż.

Mam niejasne wrażenie, iż w podobnej sytuacji znajdują się wszyscy uczestnicy polemiki wywołanej przez mój szkic „Dystopia: ucieczka od wolności?!", pomieszczony w 1/90 numerze „Fantastyki". Nie jest to przyjemna konstatacja, ponieważ jeśli przyznamy rację wszystkim stronom sporu, będzie to oznaczać, że właściwie nie ma jej nikt.

Spowiedź heretyka

Jacek Inglot

Przed przejściem do dalszego ciągu mych wywodów chciałbym załatwić porachunki. Po pierwsze, Fromm nie był duchowym ojcem mej dystopijnej herezji, dostarczył mi jedynie metody porządkującej dręczące mnie od dawna zastrzeżenia. Jest to metoda równie dobra jak każda inna – co nie oznacza bynajmniej, że można ją z tego powodu wyrzucić poza nawias oficjalnie uznawanej nauki, co tak beztrosko czyni Rafał A. Ziemkiewicz. Poniekąd go rozumiem – z Frommem zetknął się za pośrednictwem wulgaryzatorów, którzy potrafią załatwić każdego giganta. Kiedyś pewnie załatwią i Rafała A. Ziemkiewicza.

Po drugie – do swoich poglądów na dystopię doszedłem zupełnie samodzielnie, bynajmniej nie ślęcząc po nocach nad krytycznymi tekstami Macieja Parowskiego. Z racji żywionego do niego szacunku po prostu ich nie czytuję. Mój szkic wystrzeliłem trochę w ciemno – wiedziałem, że ktoś zareaguje, nie sądziłem jednak, iż z tak wściekłą furią natrze na mnie akurat „mp". Jak słusznie zauważył Rafał A., odprawiona przezeń na paru stronach znormalizowanego maszynopisu narodowa msza nie przekonała mnie, wiadomo, nihilisty i dekadenta. Do takich typów należy podchodzić bardziej hermeneutycznie, a mniej patriotycznie. Już bardziej wziąłbym pod uwagę trzeźwe skądinąd sądy Rafała A. – ten przynajmniej po skopaniu zaczął się zastanawiać nad tym co właściwie napisałem.

I to wszystko – resztę przewinień odpuszczam mym adwersarzom ze szczerego serca i bez wyciągania wniosków na przyszłość. Mam nadzieję, że nasze odczucia są wzajemne.

Tak się jakoś stało, że nasze teksty ułożyły się na podobieństwo heglowskiej triady. „Dystopia: ucieczka od wolności?!" to teza, „Z pozycji Małego Brata?" Parowskiego jest jak najbardziej wyraźną antytezą, zaś Ziemkiewicz w „Oto jest pytanie" próbuje zebrać to wszystko do kupy i stworzyć jakby syntezę. No i prawie mu się udaje.

Każde postawienie tezy zakłada w swej istocie pewną, dość mocną przesadę. Wcale nie twierdzę, że mój szkic o dystopii nie jest tendencyjny. Oczywiście, że jest, nawet musi być, skoro przyjęte na początku przesłanki zostały konsekwentnie doprowadzone do krańcowej postaci. Zdołałem jednak uniknąć (taką przynajmniej mam nadzieję) emocjonalnego zaangażowania, tekst jest właściwie strukturalistyczny i praktycznie nie wykracza poza analizę świata przedstawionego omawianych powieści. Parowski obrał metodę dokładnie odwrotną, przykładami z życia obalając moje metaliterackie – czyli dotyczące zasadniczo tylko literatury – stwierdzenia. Rozumiem – byt określa świadomość, itp. Mnie też kiedyś, w czasie uniwersyteckich jeszcze dyskusji, zarzucono, że zwalczam marksizm... marksizmem. Dziś wiem, że byłem trockistą. Bóg da, tak myślę, i Parowskiemu doczekać chwili swego oświecenia.

Nie to jest jednak przedmiotem naszego sporu – naprawdę to chodzi nam o ocenę czegoś, czego czas dobiegł końca. Fantastyki socjologicznej nie można już pisać tak, jak pisało się ją w końcu lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych. Przestał istnieć wyznaczający ją kontekst społeczny. Oczywiście można wszystko, nawet pisać nie zmieniając konwencji – z tym, że byłoby to tworzenie książek historycznych, co ma się nijak do podstawowych zasad wyznaczających science fiction. Także wśród czytelników narasta przekonanie o końcu pewnej epoki, o zamknięciu modelu zajdlowskiego w social fiction. Powstają wtedy dwa pytania: jak ocenić to, co już było, i co będzie dalej?

Wyznam teraz coś, co z pewnością ucieszy Macieja Parowskiego – mój szkic o dystopii nie może być uważany za całościową ocenę gatunku. Naświetliłem jedynie pomijane dotąd problemy i strony zjawiska literackiego zwanego social fiction. Z drugiej strony i replika „Z pozycji Małego Brata?" nie może być za takową ocenę uważana – Parowski okazał się równie jednostronny, a na dodatek dał się ponieść emocjom. A gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Rafał A. Ziemkiewicz umiejętnie wypośrodkował sądy, starannie zważył za i przeciw. I to on chyba zbliżył się najbardziej do sedna zagadnienia, choć w tym całym ważeniu jednocześnie gdzieś je zgubił. Sądzę, że ten czas nie sprzyja głębszej refleksji i tak naprawdę to chłodnego i obiektywnego sądu należy się spodziewać za lat dziesięć czy dwadzieścia. Teraz jest na to za wcześnie.

Co będzie dalej? Trudno powiedzieć – wydaje się, że zawsze będzie istniała jakaś fantastyka socjologiczna. O ile będzie istniało społeczeństwo. Social fiction z pewnością przejdzie gwałtowną mutację, polegającą na zerwaniu z tradycyjnym modelem dystopii. Musi wypracować nową konwencję i nowe tematy. Na razie panuje stan dziwnego zawieszenia – wydawnictwa drukują jeszcze ostatki napisane w połowie lat osiemdziesiątych, vide choćby ostatnia powieść Oramusa. Wszystko jest jedną wielką niewiadomą i mówienie o tym stanowiłoby czystą futurologię.

Cóż zatem wynika z popełnionej przez nas triady? Czy to samo co z przytoczonej na wstępie historyjki o rabinie? A może problem racji nie ma tu najmniejszego znaczenia? O tym już musi zadecydować P.T. publiczność – o ile w ogóle ją nasze homeryckie zmagania zainteresowały.

grudzień 1989

Ad vocem

Jacek Inglot, jak fałszywa matka przed sądem Salomona, godzi się wielkodusznie, by pokroić dziecko (rację!) na „trzy równe połowy". Ponieważ sądzę, że większa część racji jest po mojej stronie, będę bardziej uparty.

Istnieją granice uprawiania krytyki metaliterackiej. Poza nimi rozciągają się niezmierzone obszary pisaniny często nawet błyskotliwej, ale zawsze bałamutnej. I tak na przykład sugestię Inglota, że ludzie odwołujący się do rzeczywistości są marksistami, uważam za niezasłużone dowartościowywanie marksizmu. Marksizm jest teorią idealistyczną, postheglowską, a w części postulatywnej (prognostycznej?) wręcz abstrahującą od rzeczywistości bądź nakładającą rzeczywistości doktrynalne gorsety.

Kontekst wyznaczający naszą SF socjologiczną skończył się w Polsce, ale trwa jeszcze w parunastu miejscach świata. SF socjologiczna będzie oczywiście ewoluować, jak wszystko, lecz pytanie – czy pisarze uprawiający dystopie bronią wolności, czy przed nią uciekają? – pozostaje aktualne. Podtrzymuję pogląd, że odpowiedź, jakiej w tej kwestii udzielił Inglot, zabrzmiała fałszywie. W istocie nasz spór dotyczy wizji człowieka: Czy jest on absolutnie plastyczną istotą, z którą totalitaryzm robi co zechce? Czy może chowa człowiek w sobie nienaruszalną wielkość i dobro, którym czasem nawet zaprzecza, ale których nie zdoła zniszczyć do końca? Opowiadam się za tą drugą, religijną koncepcją – uważam, że świadomie czy nie, przyświecała ona wszystkim autorom i niektórym bohaterom polskiego nurtu socjologicznego. Frommowsko-strukturalistyczne narzędzia, którymi posłużył się Inglot okazały się po prostu nadto grube, by to wychwycić.

A wracając do rodaków, których Inglot wyraźnie nie lubi. Potrafię to uczucie zrozumieć. Bardzo wielu Polaków nie uciekało od wolności – była to kwestia smaku, właściwego nam instynktu przekory, silnego uczucia narodowego; sentymentów religijnych, które komunizm bezskutecznie próbował wytrzebić. Natomiast zdarzało się Polakom i zdarza gremialnie uciekać od moralności. Jest to problem wart oddzielnego eseju, dlatego na tym rzecz skończę.

M. Parowski

Wiek XX dobrze przysłużył się nauce, chociaż zapewne w historii ludzkości nie będzie wspominany najlepiej. Czy przedostatnia dekada tego stulecia, lata osiemdziesiąte, wyróżniły się właśnie w nauce czymś szczególnym? Myślę, że tak i spróbuję zastanowić się, które z licznych wydarzeń w sferze nauki mogą pozostawić jakiś trwały ślad, otworzyć nowe perspektywy. Nie chodzi tu tylko o konkretne odkrycia, czy wynalazki, ale także – a może zwłaszcza – o pewne nowe nurty w samym myśleniu o przyrodzie, o początek zmian w patrzeniu na świat.

Szkatułka w szkatułce...

Maciej Iłowiecki

1. Ponieważ wszelki postęp w poznaniu zaczynał się zawsze od zmiany w myśleniu o świecie, zastanowimy się najpierw, czy w ostatnich latach można było dostrzec takie zmiany. Otóż wydaje mi się, że były one nawet bardzo wyraźne, choć oczywiście zaczęły się już wcześniej. W każdym razie były na tyle wyraźne, że uczeni mówią o dokonującej się właśnie „zmianie paradygmatu nauki". W ludzkim języku oznacza to zmianę pewnego powszechnie dotąd obowiązującego sposobu pojmowania rzeczywistości, pewnego modelu naukowego opisu świata. Ową zmianę bardzo trudno jest przedstawić w krótkim tekście i w prosty sposób. Proszę więc o wyrozumiałość, mogę tylko pewne rzeczy zasygnalizować. Jest to jednak o tyle ważne, że dotyczy nie jakiejś wyróżnionej dziedziny, ale w ogóle całej nauki. Rzec można – ustawia w nowym świetle naszą dotąd zgromadzoną wiedzę o rzeczywistości. Dlatego powinniśmy sobie z tego zdawać sprawę.

Otóż właśnie w ostatniej dekadzie zaczyna się ugruntowywać podejrzenie, iż cała nasza ogromna wiedza przyrodnicza jest jednak dość powierzchowna i jednostronna – pomimo rzeczywiście świetnych sukcesów naukowych i technicznych. W tym miejscu trzeba bardzo silnie i wyraźnie stwierdzić: wcale nie oznacza to, iż błędne są zebrane dotąd i potwierdzane informacje o przyrodzie, albo że fałszywe są teorie, które je wyjaśniają i uogólniają. Nie, nie o to chodzi. Wręcz przeciwnie – dotychczasowa wiedza o przyrodzie była niezbędna, byśmy mogli dostrzec właśnie niepełność tej wiedzy. Oczywiście, ludzka wiedza zawsze była i będzie niepełna – i tylko co pewien czas osiągamy kolejny próg, kolejny stopień w tej uciążliwej wspinaczce. Za kolejnym progiem otwierają się nowe horyzonty i nowe stopnie do zdobycia – i oto pod koniec XX stulecia jesteśmy świadkami takiego nowego otwarcia.

Na czym rzecz polega? Musimy uciec się do bardzo upraszczających analogii. Zatem, powiedzmy, badaczowi przyroda jawiła się dotąd jako coś w rodzaju czarnej skrzynki, z której różnymi metodami odczytywało się („wyciągało") informacje. Albo inaczej – był to bezdenny „worek z faktami", do którego sięgało się, by wydobyć fakt kolejny. Teorie służyły do składania swoistej „układanki" z tych faktów, do uświadomienia sobie sensu tej układanki.

Dziś zaczynamy przypuszczać, iż zasada „układanki" nie wystarcza. Przyroda przypomina, owszem, czarną skrzynkę, ale bardziej jeszcze złożoną. Jest to bowiem (tu następna, nie najlepsza analogia) coś w rodzaju starej rosyjskiej zabawki, zwanej matrioszką – baba-szkatułka, w której po otwarciu znajduje się drugą mniejszą babę-szkatułkę, w niej trzecią, w trzeciej czwartą... i tak dalej. Baby-szkatułki reprezentują jakby kolejne poziomy rzeczywistości. Niezależnie od tego, do którego poziomu dotarło już nasze poznanie, teraz właśnie ukazuje się w głębi nowa baba-szkatułka, kolejny poziom rzeczywistości.

Chodzi zatem o to, że z ogromu zebranych informacji i stworzonych na ich temat teorii wyłania się dziś znowu coś innego, nowy rodzaj rzeczywistości, czy raczej dopiero jej mglisty zarys. Co to znaczy: coś innego? Ano, dotąd rzeczywistość jawiła się nam w postaci materii, energii, przestrzeni, czasu, życia itd., ściśle wprawdzie powiązanych, ale jednak dość odrębnych jakościowo kategorii (czy bytów). Teraz zaczynamy się domyślać, że te wszystkie – i inne także – byty są tylko f o r m a m i, w jakich wyraża się jakaś głęboka rzeczywistość, do której właśnie docieramy. Na tym głębszym poziomie – ogólniejszym, jakby bardziej wszechobejmującym – zupełnie zmieniają się granice niemożliwego. A także zacierają się w ogóle właśnie te granice, które zawsze wydawały się tak wyraźne: na przykład pomiędzy materią, energią, myślą, świadomością. Pomiędzy częścią a całością, pomiędzy przeszłością a przyszłością, nicością a bytem... Uff, wyjątkowo trudne sprawy, ciągle mam nadzieję, że poświęcę im odrębny artykuł i bliżej może wyjaśnię. Muszę dodać do tych dziwności jeszcze jedną dziwność: nasze poznanie posuwa się jakby od powierzchni zjawisk w głąb, od baby-szkatułki zewnętrznej ku wewnętrznym, ale przecież te wewnętrzne, głębsze, OBEJMUJĄ zarazem te zewnętrzne, płytsze. No cóż, widać po prostu niepełność analogii z matrioszką, przyroda jest o wiele bardziej złożonym i niepojętym systemem. Nie chodzi przecież teraz o wyjaśnienie tego systemu, tylko o stwierdzenie, iż właśnie na naszych oczach dokonuje się przełom w samym pojmowaniu przyrody.

2. Na drugim miejscu wśród znaczących w nauce wydarzeń lat osiemdziesiątych należy wymienić epidemię AIDS – choćby dlatego, że wydarzenie to wykracza szeroko poza naukę, związane jest ściśle z samą istotą współczesnej cywilizacji, kultury, z etyką, w ogóle z życiem, społecznym i biologicznym. Właśnie: AIDS przejdzie do historii nie tylko jako groźna epidemia, zagrażająca całej ludzkości. Jest to bowiem nowe wyzwanie dla całej medycyny, dla biologii, ale także i dla naszej cywilizacji, naszego stylu życia, dla naszej moralności. Sprawa AIDS uświadomiła ludziom wiele problemów. M.in. i ten, że równowaga w biosferze oparta jest na jakichś głębszych podstawach (znowu: głębszych!), niż sądziliśmy dotąd, że związek pomiędzy różnymi poziomami życia na Ziemi (znowu: różne poziomy!) są inne, bardziej złożone. Napisano na temat AIDS tysiące książek i artykułów, odbyły się wielkie międzynarodowe kongresy, ale nadal nie znamy odpowiedzi na podstawowe pytania: dlaczego taka epidemia wybuchła akurat teraz? Co się stało pod koniec XX wieku, że siedzący dotąd w ukryciu (?) wirus ruszył do ataku? I czym właściwie w końcu są wirusy, jaką pełnią rolę w przyrodzie, skąd się wzięły... (wiem, są przeróżne wyjaśnienia, ale ciągle niepełne i niepewne!). Dlaczego zresztą pasożyt zabija gospodarza (wirus człowieka), sam przy tym skazując się na śmierć? Wreszcie, jakie wnioski powinny wypływać z faktu, że najbardziej groźna i tajemnicza w historii ludzkości choroba tak ściśle wiąże się z pewnymi cechami współczesnej kultury? Na przykład takimi, jak nieuznawanie żadnych granic w pogoni za przyjemnością (seks) i w poszukiwaniu złudy ucieczki od świata (narkomania). Taki związek śmiertelnej choroby z grzechami ludzkości wydaje się w końcu XX wieku dziwnie „nienowoczesny", jakby wywodził się z innego świata... Zrodziła się też – fantastyczna przecież z punktu widzenia nauki – myśl, iż AIDS jest... zemstą przyrody za niszczycielską wobec niej działalność ludzi!

3. Na trzecim miejscu wśród znaczących doświadczeń ostatniej dekady postawiłbym zdobycie dowodów, że katastrofa ekologiczna Ziemi nie tylko nie jest wymysłem „przestraszonych naukowców", ale jest bardzo realnym i bardzo aktualnym niebezpieczeństwem. Bardziej realnym i bardziej możliwym, niż np. wojna atomowa...

Nie będę się wdawał w znane wszystkim opisy, stwierdzę tylko krótko: zaczynają być już widoczne skutki „efektu cieplarnianego", średnia temperatura atmosfery Ziemi powiększa się. Np. rok 1988 był najcieplejszy w całym stuleciu. Analiza komputerowa zjawisk klimatycznych wykazuje, że jeśli nie zatrzyma się tych procesów, niedługo nastąpi gwałtowna zmiana, wywołująca na zasadzie dodatniego sprzężenia zwrotnego dalsze zmiany, już katastrofalne – np. zaburzenia w rozwoju roślin, zatopienie wielu wybrzeży z wielkimi miastami i inne, przerażające skutki. Podobnie będzie z pokrywą ozonową, ze zmniejszaniem się zawartości tlenu (niszczenie lasów) i biologiczną śmiercią wód na planecie. Wszystkie te procesy można JESZCZE zatrzymać...

4. Odkrycie, o którym teraz wspomnę, przygotowywane i przewidywane było wprawdzie już od dawna (jest wynikiem całego cyklu badań, prowadzonych niemal od początków stulecia), ale w latach osiemdziesiątych zostało ostatecznie przesądzone. Istota tego odkrycia spro-

wadza się do stwierdzenia, iż geny dzięki którym pewne wirusy mają zdolność wywoływania nowotworów, istnieją nie tylko w tych wirusach. Są obecne we wszystkich komórkach wszystkich ssaków i ptaków, ale to nas mniej obchodzi, oczywiście są zatem i we wszystkich komórkach ciała każdego z nas! Są to tzw. onkogeny. Dzięki Bogu, dość rzadko uaktywniają się w tym kierunku, by wywołać raka. Niewątpliwie, ponieważ są w każdej komórce, muszą spełniać jakieś ważne funkcje, ale o tym wiadomo na razie niewiele. Można powiedzieć, że każdy z nas nosi w każdej komórce swego ciała coś w rodzaju bomby zegarowej! Nie są znane wszystkie przyczyny, które mogą wywołać wybuch tej bomby. Ale już samo jej odkrycie jest ważnym krokiem, przygotowywującym krok następny: nauczenie się rozbrajania tej bomby, a zatem skutecznej walki z rakiem! Daleka to droga, ale już na nią wkroczyliśmy.

5. Wydaje mi się, iż szczególne perspektywy otwierają się dzięki niezwykłemu doświadczeniu, wykonanemu jednocześnie w laboratoriach amerykańskich i kanadyjskich w 1989 r. Mam na myśli uzyskanie myszy z LUDZKIM układem odpornościowym! Pomysł polega na wszczepieniu pewnym mutantom mysim, które są pozbawione własnego układu immunologicznego – elementów takiego układu z ludzi. I oto układ ludzki zaczyna działać w organizmie myszy i nie trzeba mieć specjalnej wyobraźni, by przewidzieć, jak niezwykłe otwiera to możliwości badań! Wydaje mi się, że jest to podstawowy krok na drodze do umieszczania różnych ludzkich układów w organizmach zwierząt – po to, by móc te układy badać bez przeszkód, a przede wszystkim zyskiwać nowe, wielkie możliwości wypróbowania nowych, skutecznych metod leczenia wielu chorób. Dla medycyny myszka z ludzkim układem odporności jest zwierzątkiem naprawdę bezcennym!

6. W latach osiemdziesiątych naszego stulecia przedstawiono nowe hipotezy na temat wydarzenia, które odbyło się 65 milionów lat temu, pod koniec ery mezozoicznej (był to koniec okresu geologicznego, zwanego kredą). Nastąpiło wtedy WIELKIE WYMIERANIE dinozaurów, stworzeń, które zdawały się być panami Ziemi, tak ogromnymi i rozpowszechnionymi, że nic nie mogło im zagrozić. I nagle COŚ SIĘ WYDARZYŁO – w ciągu krótkiego czasu zniknęły gigantyczne gady i nie tylko one – zginęło wtedy ok. 75% gatunków żywych istot, zamieszkujących planetę (m.in. także liczne rośliny kwiatowe, wiele zwierząt morskich i lądowych). Katastrofy tej nie przetrwał żaden lądowy kręgowiec, jeśli jego waga przekraczała 25 kg – przeżyły więc tylko zwierzęta małe. Istnieje oczywiście wiele hipotez, usiłujących wyjaśnić CO się właściwie wtedy wydarzyło, jednak coraz więcej dowodów zyskuje hipoteza zderzenia Ziemi z wielkim asteroidem albo kometą. Katastrofa ta wywołała tak ogromne zaburzenia klimatu, że zwierzęta musiały zginąć. Ale w tym wypadku nie chodzi o wielkie wymieranie, tylko o hipotezę katastrofy. Otóż włączenie czynnika katastrofy, wydarzenia nagłego i niespodziewanego jako swoistego regulatora ewolucji, ma wielkie konsekwencje natury filozoficznej. Bo trzeba po prostu pogodzić się z tym, że niespodziewany kataklizm staje się trwałym i znaczącym elementem przemian



Mirosław Sołtys

naszego świata. Tym bardziej że mówi się już o pewnym czasowym cyklu katastrof, które okresowo jakby „przestawiały zegar ewolucji". Katastroficzna wizja historii życia (i świata) jest bardziej niepokojąca, niż wizja „powolnych przemian", zaś przypadek zyskuje wielkie znaczenie...

Nawiasem mówiąc, w marcu 1989 przemknął obok Ziemi olbrzymi asteroid, „prawie o planetę zawadzając", jak to określił któryś z astronomów. To „prawie" wynosiło około 600 tys. km – i jest to rzeczywiście bardzo blisko, jak na odległości astronomiczne. W każdym razie niewiele brakowało... i tylko przypadkiem Ziemia uniknęła strasznej katastrofy. Uderzenie tego asteroidu byłoby równe wybuchowi na Ziemi 20 tysięcy megatonowych bomb wodorowych. No cóż, jeśli katastrofy są swoistą koniecznością, w dodatku występują regularnie w dość stałych odstępach czasu, no to właśnie najwyższy już czas...

7. Do szczególnie ciekawych nowości ostatniej dekady zaliczam także potężny strumień informacji (nadesłany przez sondy kosmiczne) na temat Układu Słonecznego. Informacji tych było wiele i niektóre były tak zaskakujące, że warto im kiedyś poświęcić odrębny artykuł. Teraz tylko pozostaje stwierdzić: to, o czym dowiedzieliśmy się ostatnio na temat Słońca, planet (zwłaszcza tych najdalszych) i przestrzeni międzyplanetarnej, całkowicie zmienia naszą wizję Układu Słonecznego, wizję jego pochodzenia i ewolucji. Jest to właściwie inny system, niż był ten, jaki wyobrażaliśmy sobie dotąd. Mógłby ktoś powiedzieć, że wiedza o tym, jaki naprawdę jest układ, którego jeden z maleńkich zakątków zamieszkują ludzie, nie ma przecież zbyt wielkiego praktycznego znaczenia... Rzeczywiście, ale właśnie tym, co w ogóle zmusza nas do badania świata, do poznawania – jest chęć dowiedzenia się tego, JAK JEST NAPRAWDĘ.

Właściwie w tym punkcie należałoby jeszcze wspomnieć o nowych teoriach kosmologii – na temat powstania w ogóle całego naszego Wszechświata, jego początków i historii i... ewentualnego końca. Powstałe w ciągu ostatnich 10 lat nowe teorie są tak niezwykłe, tak fascynujące... no cóż, znowu odłożymy ten wątek na później. Dodam tylko, że właśnie nowe koncepcje kosmologiczne w bardzo istotnej mierze przyczyniają się do owej zmiany paradygmatu nauki, o której była mowa na początku.

8. Myślę, że na koniec tego niepełnego przeglądu pozostaje już tylko wymienić kilka dokonań z dziedziny nauk stosowanych – czyli przede wszystkim technologii.

Wśród zatem nowości, którym przepowiadam największą przyszłość i perspektywy – nie waham się powiedzieć – niewyobrażalne, trzeba umieścić tzw. mikrotechnologię i jej córkę – n[illegible] Krótko mówiąc, rzecz polega na wytwarzaniu różnego rodzaju maszyn, przyrządów i aparatów w skali milimetra i potem w skali... cząsteczek chemicznych. Jest to kolejna rzeczywista rewolucja techniczna, porównywalna (a może nawet większa) z zastosowaniem tranzystorów.

Oto w Berkeley, w Kalifornii, zbudowano normalny silnik elektryczny, który mieści się... w przekroju ludzkiego włosa. Istnieją projekty robotów wielkości komara (notabene – St. Lem dawno przewidział takie rzeczy!), zdolnych do różnych dzia-





łan na przykład w przestrzeni kosmicznej, albo do prowadzenia zabiegów chirurgicznych wewnątrz ludzkiego organizmu (np. w sercu, w naczyniach krwionośnych, w jelitach itd.). Możemy sobie tylko pomyśleć, co przyniesie tego typu miniaturyzacja elementów we wszystkich urządzeniach naszej technicznej cywilizacji.

Ale to jeszcze nic: oto czynione są próby zastosowania mikrorobotów i mikronarzędzi do montowania urządzeń technicznych... z pojedynczych cząstek i atomów. To jest właśnie owa nanotechnika (od nanometra – nm – jednej miliardowej części milimetra, czyli 1^{-9}mm; średnica atomu wodoru mierzy około 10 nanometrów).

Zbudowane w tej skali urządzenia byłyby 2 tysiące razy mniejsze od średnicy ludzkiego włosa! Pozostawiam wyobraźni Czytelników możliwości zastosowania takich maszyn i zmiany w cywilizacji technicznej, które takie zastosowania wywołają.

Wydarzeniem, które może również wpłynąć na zmianę „oblicza cywilizacji" było przełamanie dogmatu, że zjawisko nadprzewodnictwa nie występuje w temperaturach „normalnych", czyli tzw. pokojowych. Przypomnę: chodzi o przewodzenie prądu bez oporu, czyli w ogóle bez strat energii. Myślano od czasu odkrycia tego zjawiska (na początku tego wieku), że występuje ono tylko w przewodnikach, ochłodzonych do temperatury zera bezwzględnego – i rozumiemy, jak bardzo ogranicza to jakiekolwiek zastosowania praktyczne. W połowie lat osiemdziesiątych okazało się, że nadprzewodnictwo zależy nie tylko od temperatury, ale od samej struktury przewodnika (choć nadal nie wiadomo, na czym to zjawisko naprawdę polega). W 1987 r. odkrywcy – Karl Muneller i Johannes Bednorz z Zurychu – otrzymali Nobla i był to chyba pierwszy przypadek w historii nagród, kiedy przyznano to wyróżnienie zaraz po odkryciu.

Możemy sobie wyobrazić, jakie kolosalne oszczędności energii przyniesie kiedyś zastosowanie nadprzewodników.

Ostatnia sprawa wreszcie, o której tu wspomnę: tworzenie tzw. sztucznej inteligencji (i w ogóle także tzw. modelowanie komputerowe). Jeśli rzeczywiście się to uda, a jesteśmy na początku drogi, stanie się możliwe, by komputery same tworzyły nową wiedzę na podstawie informacji, zgromadzonych w swej pamięci. Nie ma już miejsca na rozważanie tej fascynującej perspektywy. Sądzę, że wystarczy, gdy uświadomimy sobie, iż niedługo już MASZYNA będzie w stanie dać LUDZIOM odpowiedź na pytanie (w każdej prawie dziedzinie): „co by było gdyby...". Niektórzy twierdzą, że metody symulacji komputerowej, oparte na sztucznej inteligencji są – obok wymyślonych przez ludzi teorii i prowadzonych przez nich badań doświadczalnych – trzecią metodą poznawania świata.

*

Wybrałem osiem „sfer", które w latach osiemdziesiątych stanowią początek nowych dróg ku przyszłości, albo też uświadamiają nam nasze ograniczenia. Można dokonać innego wyboru, ale nie o to chodzi. Chodzi – jak zawsze – o pomyślenie nad dziwnością naszych czasów.

Maciej Iłowiecki

Jakże zmieniają się czasy, jakże zmienia się nauka – jak staje się ona antyklasyczna, a z punktu widzenia literatury i filozofii – antylemowska. Tragiczną martwotę wszechświata, jego zobiektywizowaną bezduszność przeciwstawiał Stanisław Lem słabej fizycznie i delikatnej ludzkości, skłóconej, nie potrafiącej się wzajemnie porozumieć. I miała ta filozofia ostrzegać nas przed samounicestwieniem.

Nauka – Filozofia – Pomysły

Ziemia żyje? Naprawdę żyje?

A tymczasem w polityce i filozofii oraz w nauce dzieje się coś wręcz przeciwnego, przeciwstawiającego się tym pesymistycznym poglądom autora „Fiaska". Nagle i niespodziewanie zaczyna się klarować porozumienie między narodami, politycy ogłaszają koniec zimnej wojny, a o „gorącej" już nawet mowy nie ma. Jednocześnie w sferach naukowych i między filozofami toczy się dyskusja, której początki sięgają czasów starożytnych i głęboko wnikają w istotę nowoczesnych fizycznych i biofizycznych badań. I w tym momencie spotykają się z... religią, kwestionując akcydentalność powstania i rozwoju życia na Ziemi, czyli to co astronom światowej sławy Anglik Jeans, pisząc o życiu na naszej planecie nazwał pleśnią, czyli o tym co zrodziło się niby – jako produkt uboczny egzystencji martwej materii. Jak widać, nie tylko polski największy twórca SF był skrajnym pesymistą.

W tej naszej epoce na przełomie dwóch wieków – może będzie się ona kiedyś nazywać erą Nowego Odrodzenia, czy Nowym Renesansem – nie tylko w samej polityce dzieją się cuda. Amerykanin James Lovelock, wynalazca i uczony, wykorzystuje zdjęcia astronomów i ich wrażenia budując nową teorię, której korzenie tkwią w starożytnych greckich mitach – nasza ziemia, nasza Gea (tak nazywała się bogini uosabiająca tę naszą planetę w mitologii greckiej) to twór w pełni żywy! To rodzaj superorganizmu, w którego obrębie, podobnie jak i w obrębie naszych ciał, rozgrywają się procesy homeostatyczne, warunkujące życie, a oddzielające to co żywe od zewnętrznej martwoty. Teoria ta, rozwinięta przez jej głównego autora i współpracującego z nim drugiego uczonego – mikrobiologa Lynna Margulisa, zakłada celowość działania żywej ziemi, żywej Gei. W zeszłym roku doszło, pod egidą samej Amerykańskiej Unii Geofizycznej, do podsumowania dotychczasowych drobiazgowych badań na tą nową teorią. Pisze „Time", że to podsumowujące spotkanie uczonych zakończyło się entuzjastycznymi brawami dla Lovelocka. I nie jest to jakaś zabawa, jakieś mało poważne naginanie fragmentarycznych obserwacji do celów religijnych. Doświadczenia potwierdzają w pełni fakt, że *atmosfera ziemska byłaby niestabilna, nie sprzyjająca życiu, gdyby nie ulegała stałej regulacji, dokonywanej z biosfery, warstwy otaczającej ziemię, jak koperta otacza ważny list.* Poziom tlenu na przykład równa się stale około 21 procentom atmosferycznych gazów i to od 200 milionów lat. Jeśliby poziom tlenu podwyższył się o zaledwie 4 procenty, ziemię otoczyłyby niszczące płomienie! Gdyby spadł on poniżej 15 procent – unicestwione zostałyby wyższe formy egzystencji.

Klimatolodzy Tyler Volk z Uniwersytetu Nowojorskiego oraz jego kolega David Schwartzman – opublikowali w brytyjskim poważnym czasopiśmie „Nature" artykuł, w którym stwierdzają, że żywe istoty na ziemi w decydujący sposób przeciwstawiają się samym swoim istnieniem nadmiernej ciepłocie, nie dopuszczając, aby Ziemia była o kilkadziesiąt stopni gorętsza. Podobnie jak w organizmie procesy regulacyjne odbywają się na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Przykład takiego sprzężenia to wegetacja niektórych roślin. Planeta pokryta stokrotkami jasnymi i ciemnymi może w sposób prosty regulować temperaturę. Ciemne stokrotki pochłaniają ciepło słoneczne do momentu, w którym staje się ono nie do zniesienia dla tych roślin. Wówczas nad ciemnymi stokrotkami biorą górę jasne i one odbijają promieniowanie, ochładzając atmosferę do momentu, w którym zimno staje się dla nich nieznośne. A wówczas górę biorą stokrotki ciemne i tak dalej.

Przeciwnicy teorii wysuwają wiele argumentów, mówiąc między innymi o trującym działaniu nadmiaru tlenu, co miało doprowadzić do unicestwienia niektórych gatunków.

Uczony ewolucjonista – Richard Dawkins – powiada, że Ziemi nie da się rozpatrzyć jako żywej istoty, ponieważ się ona nie rozmnaża. Geaniści odpowiadają na to, iż wzrost ilości tlenu w atmosferze był na tyle powolny w historii planety, iż pozwolił na zbalansowanie mieszanych form egzystencji. Dawsonowi odpowiedział zaś fizyk Lewis Thomas, że eksploracja przestrzeni kosmicznej może stać się właśnie metodą rozsiewania po wszechświecie różnych form ziemskiego życia.

Dla wielu zarówno uczonych, jak i teologów teoria Gei oznacza ogromne zbliżenie nauki do religii. To, co wydawało się odległe od siebie ogromnie, przepaściście i niemożliwe do pogodzenia, nagle wyrasta na spójne. Teoria żywej ziemi, zdaniem jednego z teologów amerykańskich *ukazuje nowy moment, moment, w którym doświadczenie naukowe i religijne przyjmuje identyczny kierunek i podlega dyskusji w języku zrozumiałym dla wszystkich.*

A więc teoria Gei, obok teorii antropijnej, która uważa, że wszystko co nas otacza powstało i rozwija się właśnie dla nas (spychając w ten sposób na bok naukę kopernikowską o pośledniejszej roli człowieka) to signum nowych czasów, godzących ekstrema natury ludzkiej.

Adam Hollanek



Fantastyka w telewizji

Telewizja polska pokazała nam niedawno dwa filmy science fiction. Pierwszym była wyświetlona w ramach telewizyjnej Akademii Filmowej słynna „2001: Odyseja kosmiczna" Stanleya Kubricka. Film, który powstał w 1968 roku, przez wielu miłośników i krytyków gatunku uważany jest do dziś za najważniejsze osiągnięcie filmowej SF. Drugim był „Wehikuł czasu" George'a Pala z 1960 r., ekranizacja książki (też słynnej) George'a H. Wellsa pod tym samym tytułem. Otwierał on nowy cykl filmowy proponowany widzom przez Tomasza Raczka i Zygmunta Kałużyńskiego, zatytułowany „Perły z lamusa".

Mogłoby się wydawać, że są to filmy nieporównywalne. Pochodzą z dwóch różnych okresów kina. Te osiem lat, które dzieli ich powstanie, bardzo wiele zmieniło w technikach realizacyjnych. A jednak mają bardzo wiele wspólnego.

Po pierwsze, oba były przełomowe właśnie pod względem technicznym. Oba otrzymały Oskara w kategorii efektów specjalnych (chociaż Pal zastosował głównie przyspieszenie akcji, a przy kręceniu „Odysei" liczba zastosowanych nowych trików była ogromna – inne czasy, inne wymagania i możliwości). Mimo że „Odyseja" jest filmem lepszym i głośniejszym, na małym ekranie wypadła jednak słabiej niż „Wehikuł czasu", którego kameralność lepiej nadawała się do telewizji niż do kina i który zyskał na takiej prezentacji.

O „Odysei kosmicznej" można pisać bez końca (prawie), od lat stanowi ona stały punkt programu przeglądów filmów fantastycznych, do niej przyrównuje się inne, wielkie produkcje z tej dziedziny. Dlaczego więc we wtorkowy wieczór tak wielu widzów (i to wcale nie przypadkowych, ale i takich, którzy czekali na ten właśnie film) zniechęconych powyłączało telewizory?

„Odyseja kosmiczna" Kubricka, choć minęło ponad dwadzieścia lat od jej powstania, jest wciąż fascynująca, ponieważ stwarza odbiorcom wiele możliwości interpretacji i pozostawia widzowi wolne pole do spekulacji. Stawia hipotezy na temat przeszłości i przyszłości ludzkości, ale nie są one kategoryczne. Realizatorzy osiągnęli efekt spójnego pod względem filozoficznym, a jednocześnie otwartego filmu, operując głównie obrazem, prawie nie dodając do niego opisu werbalnego. „Odyseja" dzieli się na trzy oddzielne akty. Reżyser używa dialogu, i to dość skąpego, jedynie w środkowej sekwencji przenoszącej nas narracyjnie z przeszłości w przyszłość. Ta część filmu jest jednocześnie odrębną opowieścią w stosunku do ogólnego filozoficznego przekazu „Odysei" i zajmuje się relacją człowiek-maszyna myśląca. Natomiast ani w pierwszym akcie opowiadającym o rodzeniu się świadomego człowieka, ani w części końcowej, gdzie przedstawiciel naszej rasy nawiązuje kontakt z inną, znacznie wyżej rozwiniętą cywilizacją, nie pada ani jedno słowo. Był to jeden z zabiegów ustawiających aktorów bardziej w roli rekwizytów. elementów konstrukcji i kompozycji niż współtwórców filmu.

Kubrick stworzył dzieło, które hipnotyzuje widza. Obrazy w połączeniu z muzyką wciągają nas w wykreowany przez reżysera świat oschłej, zimnej, technologicznej przyszłości. Ważną w tym rolę odgrywał ogrom i rozmach realizacji. W „Odysei" nie ma scen kameralnych. Nawet kiedy akcja przenosi się do pomieszczeń, są one albo surrealistyczne, albo sterylnie techniczne. W tym filmie staroświecki, wygodny fotel wydaje się absurdalnie przypadkowy. Na dodatek poszczególne sceny, każda w zasadzie realistyczna, zostają połączone w taki sposób, żeby stworzyć efekt dziwności.

Odbierana w kinie atmosfera nie emanuje już niestety z małego ekranu, obrazy nie mają swojej ekspresyjności, zamierzony efekt nie działa (czy „Bitwa pod Grunwaldem" robi na nas wrażenie, kiedy oglądamy jej reprodukcję na znaczku pocztowym?).

„Wehikuł czasu" nie jest (i nie był) filmem tak znaczącym. Choć przeżył też czas swojej chwały. George Pal osiągnął sukces w Hollywood specjalizując się w animacji i efektach specjalnych. Uważa się, że to właśnie on rozpoczął nowożytny okres historii kina SF, realizując film „Kierunek Księżyc" („Destination Moon"), który nie tylko odniósł sukces komercyjny, ale i został nagrodzony Oskarem, właśnie w kategorii, za którą odpowiedzialny był Pal, czyli efektów specjalnych.

„Wehikuł czasu" powstał w 1960 roku. Pal był zarówno jego producentem, jak i reżyserem. Mimo pesymistycznej wizji Wellsa udało mu się zrealizować film w sumie rozrywkowy, w którym zatarta została bardzo ważna dla socjalizującego wówczas pisarza kwestia stosunków społecznych między Morlockami i Eloiami. Również wizja zagłady atomowej nie jest w filmie straszna. Strumienie lawy zalewające Londyn raczej fascynują niż budzą grozę.

Pal skupił się na samym pomyśle podróży w czasie, który dla Wellsa był tylko zabiegiem formalnym pozwalającym przekształcić naukowo-filozoficzną rozprawkę w zajmującą opowieść.

Konstrukcja samego wehikułu, który przenosi bohatera w coraz bardziej odległą przyszłość może nieco bawić dzisiejszego widza, przypomina bowiem wiktoriański fotel. Jest to jednak efekt zamierzony. Książka Wellsa powstała w 1895 roku. I można tu przypomnieć, że podczas gdy dla nas temat podróży w czasie jest jednym ze standardów w literaturze fantastycznej, to po raz pierwszy – jeżeli chodzi o podróż w czasie za pomocą urządzenia mechanicznego, a nie magii czy siły woli – został on zastosowany właśnie w tym utworze. Reżyser starał się zachować bardzo brytyjski charakter utworu, co mu się w dużej mierze udało. Konstrukcja wehikułu jest tak umowna, że nie może drażnić, mimo swej oczywistej niezgodności z zasadami fizyki.

*

Mamy więc dwa filmy. Jeden zrealizowany z ogromnym rozmachem, a przy tym wizjonersko-filozoficzny. Drugi kameralny, rozrywkowo-przygodowy. Cóż więc je łączy poza przynależnością do jednego gatunku i otrzymaniem Oskara w tej samej kategorii?

Otóż w obu przypadkach tematem jest podróż w czasie, wykorzystana do refleksji nad historią ludzkości. Kubrick wędruje od czasów, kiedy nasz przodek nie miał jeszcze świadomości swego człowieczeństwa, w przyszłość, gdzie następuje spotkanie z inną cywilizacją (może z Bogiem?). Dla tych innych istot (istoty) czas jest jedynie czwartym wymiarem, który można kontrolować. Wprowadzenie twórców czarnego monolitu (na szczęście reżyser nie usiłował ich pokazać) było takim samym zabiegiem jak wykorzystanie idei wehikułu czasu. Jest oczywiste, że zarówno w jednym jak i drugim przypadku miało to służyć celom dydaktycznym. Jak to się zresztą bardzo często w literaturze i filmie science fiction zdarza.

Choć filmy te różni stylistyka, sposób realizacji, wizja plastyczna, chodzi jednak o powiedzenie tego samego: rasa ludzka jest nieodpowiedzialna. Ktoś musi nad nią czuwać, inaczej czeka ją samozagłada.

Dorota Malinowska

2001: A SPACE ODYSSEY (2001: Odyseja Kosmiczna). Reżyseria: Stanley Kubrick. Scenariusz: Stanley Kubrick, Arthur C. Clarke według opowiadania Arthura C. Clarke'a. Zdjęcia: Geoffrey Unswirth, John Alcott. Muzyka: Richard Strauss, Aram Chaczaturian, Johann Strauss, Ligeti. Obsada: Keir Duella, Gary Lockwood, William Sylvester, Leonard Rossiter. USA 1968.

TIME MACHINE (Wehikuł Czasu). Reżyseria: George Pal. Scenariusz: David Duncan wg powieści H.G. Wellsa. Zdjęcia: Paul C. Vogel. Obsada: Rod Taylor, Yvette Mimieux, Alan Young, USA 1960.

Reprodukcja: Zbigniew Latała

Chris Moore

